

Alistair MacLean

Cyrk

Przełożyli J. T. Mirkowicz i Blanka Kuczborska

Rozdział pierwszy

- Fawcett, ty farbowany lisie! - zawołał Pilgrim. - Gdybyś był prawdziwym pułkownikiem, za to przebranie należałby ci się awans na generała. Wspaniale, mój drogi. Wspaniale!

Pilgrim był prawnikiem angielskiego para, i to w każdym calu. Wymuskany ubiór i nieco afektowany styl mowy sprawiały, że wszyscy mimo woli wypatrywali u niego monokla i krawatu ekskluzywnej szkoły Eton. Jego nienagannie skrojone garnitury pochodziły z Savile Row, koszule z domu Turnbull and Asser, a ukochaną parę dubeltówek kupił oczywiście w firmie rusznikarskiej Purdeys na West End, płacąc bez zmużenia oka cztery tysiące dolarów. Jedynym odstępstwem były buty; ręcznej roboty, ale szyte w Rzymie. Pilgrim byłby znakomitym odtwórcą Sherlocka Holmesa; każdy dobry reżyser powierzyłby mu tę rolę z pełnym przekonaniem, i to rezygnując ze zdjęć próbnych.

Fawcett nie zareagował ani na pochwały, ani na dyskretną świetność ubioru człowieka, którego miał przed sobą. Jego twarz rzadko zdradzała jakiegokolwiek emocje - może, dlatego, że była pulchna, pozbawiona zmarszczek i równie okrągła jak tarcza księżyca. Wyglądał jak pączek w maśle, w dodatku ciut głupawy; dziesiątki przestępców marniejących za kratami federalnych więzień często skarżyły się ze zrozumiałą goryczą, że wygląd Fawcetta jest tak perfidnie zwodniczy, iż wręcz niemoralny. Spojrzenie niewielkich oczek wyzierających spośród fałd tłuszczu przewędrowało po półkach wypełnionych oprawnymi w skórę tomami i spoczęło na kominku, w którym płonęły sosnowe szczapy.

- Szkoda, że w CIA awanse ani nie następują tak szybko, ani nie są tak spektakularne - powiedział, wzdychając smutno.

- Cóż ci tak spieszo, mój chłopcze? - Pilgrim był, co najmniej pięć lat młodszy od Fawcetta. - Pamiętaj, że w naszym zawodzie awans oznacza wskakiwanie w buty umarlaka.

Spojrzał przelotnie, choć z wyraźną satysfakcją na swoje włoskie pantofle, po czym przeniósł wzrok na dumną kolekcję baretek zdobiących pierś Fawcetta.

- Widzę, że nie żałowałeś sobie najwyższych odznaczeń - stwierdził.

- Uznałem, że pasują do stworzonej przeze mnie postaci.

- Rozumiem. A ten twój fenomen, Bruno. Jak na niego wpadłeś?

- Nie ja: Smithers. Odkrył go, kiedy byłem w Europie. Smithers to wielki amator cyrku.

- Rozumiem. - Pilgrim najwyraźniej lubił to słowo. - Bruno. Naturalnie ma jakieś nazwisko?

- Wildermann. Ale nigdy go nie używa; ani w życiu zawodowym, ani prywatnym.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Nie znam człowieka. Ale wątpię, żeby Smithers go o to pytał. Czy Pele, Callas albo Liberace potrzebują się przedstawiać z imienia i nazwiska?

- Stawiasz go w jednym rzędzie z nimi?

- Mam poważne wątpliwości, czy ktokolwiek ze świata cyrku zdecydowałby się postawić ich w jednym rzędzie z nim.

Pilgrim wziął do ręki kilka kartek.

- Zna język jak tubylec.

- Jest tubylcem.

- Reklamowany jako najlepszy na świecie ekwilibrysta. - Pilgrim nie dawał się zbić łatwo z tropu. - Chłopiec na lotnym trapezie, coś w tym stylu?

- Tak. Ale przede wszystkim jest linoskoczkiem.

- Najlepszym na świecie?

- Wszyscy w branży żywią tę opinię.

- Oby się nie mylili, jeśli nasze informacje o Krau pokrywają się z prawdą. Widzę, że

uważa się też za mistrza w karate i judo.

- Wcale się nie uważa. To ja, a raczej Smithers uważa go za mistrza, a jak ci wiadomo, Smithers jest ekspertem w tych sprawach. Obserwował go dziś rano, kiedy Bruno ćwiczył w klubie Samuraj. Tamtejszy trener jest posiadaczem czarnego pasa; w judo to najwyższy stopień wtajemniczenia. Kiedy skończyli, trener zmył się z maty jak ktoś, kto ma ochotę od ręki złożyć wymówienie. Wprawdzie Smithers przyznaje, że nie widział Bruna walczącego z żadnym karateką, ale twierdzi, że nie chciałby być świadkiem kolejnej jatki.

- Według tych akt, Bruno jest również magiem. - Pilgrim splótł ręce z miną Sherlocka Holmesa.

- Dzielny Bruno. Ale co to właściwie znaczy?

- W jego wypadku chodzi o zjawiska z zakresu parapsychologii.

Pilgrim z trudem opanował grymas.

- Posługuje się parapsychologią, żeby nie spaść z liny?

- Też. Ale nie w tym rzecz. Niemal każdy artysta cyrkowy oprócz swojej specjalności ma jakieś dodatkowe zajęcia. Niektórzy pracują po prostu jako siła robocza - ktoś musi przenosić góry ekwipunku i sprzętów. Inni, między innymi Bruno, mają dodatkowe występy. Obok, na placu, znajduje się coś w rodzaju lunaparku, gdzie przybywający do cyrku widzowie mogą pozbyć się drobnych. Bruno występuje tam w niewielkim teatrzyku, takiej składanej budzie. Czyta myśli, mówi ci imię twojego dziadka, podaje numery banknotów, jakie masz w kieszeniach, albo zgaduje, co ktoś napisał lub narysował na kartce schowanej w zalakowanej kopercie. I tak dalej.

- Nic nowego. Takie sztuczki umie robić pierwszy lepszy magik, byleby tylko miał kilku umówionych gości na widowni.

- Możliwe, choć podobno Bruno potrafi wykonywać różne rzeczy, które nie mają racjonalnego wytłumaczenia, i których żaden magik nie jest w stanie powtórzyć. Ale to, co interesuje nas najbardziej, to fakt, że posiada idealnie fotograficzną pamięć. Wystarczy, że kilka sekund popatrzy na rozłożoną gazetę, a będzie znał każde słowo i jego dokładne położenie. Jeśli spytasz go, na przykład, o trzecie słowo w trzecim wierszu trzeciej szpalty po prawej stronie, a on ci powie "kongres", możesz dać sobie rękę uciąć, że tym słowem jest "kongres". Co więcej, potrafi to robić z tekstem napisanym w dowolnym języku - sam nie musi go rozumieć.

- Muszę to zobaczyć. Zresztą, jeśli jest tak dobry jak mówisz, dlaczego nie występuje wyłącznie na scenie? Przecież mógłby zbić fortunę jako magik i nie musiałby narażać życia śmigając pod chmurami.

- Nie wiem. Choć z tego, co mówił Smithers wynika, że za te akrobacje też niezgorzej mu płacą. Jest gwiazdą numer jeden w najlepszym cyrku na świecie. Ale domyślam się, że to nie jest jedyny powód. Kieruje trzyosobową trupą akrobatów zwaną Orły Ciemności; bez niego pozostali nie daliby sobie rady. Nie mają właściwości parapsychologicznych.

- Hm. W interesującej nas sprawie nie ma miejsca na przesadne sentymenty i nadmiar lojalności.

- Zgadzam się, co do sentymentów. Ale co do lojalności, to cecha, na której powinno nam zależeć. Zwłaszcza, gdy chodzi o lojalność wobec nas. Choć ta bynajmniej nie wyklucza lojalności wobec braci. Młodszych braci.

- Rodzinna trupa?

- Myślałem, że wiesz.

Pilgrim potrząsnął głową.

- Orły Ciemności, powiadasz?

- Według Smithersa ta nazwa idealnie do nich pasuje. Wystarczy zobaczyć ich numer. Może nie wzbijają się hen w niebo i nie śmigają pod chmurami jak to ująłeś przed chwilą, ale też i nie człapią po ziemi. Kiedy trapez się dobrze rozhuśta, znajdują się dwadzieścia pięć

metrów nad areną? Czy spada się z dwudziestu pięciu metrów, czy z dwustu pięćdziesięciu, szanse skręcenia karku i połamania dwustu iluś kości, z których składa się ludzki szkielet, są mniej więcej takie same. Zwłaszcza, jeśli ma się zawiązane oczy i się nie wie, gdzie góra, a gdzie dół.

- Chcesz powiedzieć?

- Mają na rękach, czarne, jedwabne rękawiczki. Ludziom wydaje się, że kryją się w nich jakieś elektroniczne czujniki, które pomagają braciom odgadnąć, gdzie jest który trapez, kiedy koziołkują między nimi w powietrzu. Może jakieś druty czy płytki, naładowane ujemnie i dodatnio. Nic podobnego. Noszą te rękawiczki wyłącznie dla lepszej przyczepności. Nie mają żadnego elektronicznego systemu wspomagania, a opaski, którymi przewiązują oczy, są całkowicie nieprzejryste. Nigdy jednak nie zdarzyło im się chybić, czego najlepszym dowodem jest to, że wciąż są w komplecie. Najmniejszy błąd, a byłoby o jednego Orła mniej. Polegają na jakiejś formie postrzegania pozazmysłowego, cokolwiek to znaczy. Tylko Bruno ma ten dar; dlatego on łapie braci.

- Muszę to zobaczyć na własne oczy. Występ maga również.

- Nic prostszego. Wstąpimy do jego budy przed spektaklem. - Fawcett spojrział na zegarek. - Właściwie możemy już ruszać.

- Czy pan Wrinfeld spodziewa się nas?

Pilgrim bez słowa skinął głową. Jeden z kącików ust Fawcetta drgnął lekko, co mogło znamionować uśmiech.

- Co z tobą, John? - spytał. - Każdy, kto idzie do cyrku, cieszy się jak dziecko. A ty jakoś nie masz najszcześliwszej miny.

- Dziwisz się? W tym cyrku pracują ludzie dwudziestu pięciu narodowości. Co najmniej jedna trzecia pochodzi z Europy Wschodniej. Skąd mogę wiedzieć, czy nie natknę się na kogoś, kto ma powody mnie nie lubić? I kto nosi w kieszeni moje zdjęcie? Co drugi z nich może mieć moją fotografię!

- Taka jest cena sławy. Powinieneś się chyba przebrać. - Fawcett z satysfakcją popatrzył na własny mundur. - Może za podpułkownika?

Ruszyli do centrum Waszyngtonu służbowym wozem bez oznakowań. Pilgrim i Fawcett siedzieli z tyłu, a z przodu kierowca i trzeci pasażer, człowiek nijaki, nierzucający się w oczy, łysawy, w przeciwdeszczowym płaszczu, o twarzy tak przeciętnej, że nikt nie był w stanie jej zapamiętać.

- Pamiętajcie, Masters - zwrócił się do niego Pilgrim - że musicie pierwsi wskoczyć na scenę.

- Pamiętam, proszę pana.

- Wybraliście sobie słowo?

- Tak. "Kanada".

Zapadł już zmierzch; w oddali, poprzez mżawkę, dostrzegli ogromną, owalną budowlę z wysoką kopułą na szczycie, ozdobioną setkami kolorowych świateł, które zapalały się i gasły na przemian. Fawcett wydał polecenie kierowcy. Samochód zatrzymał się; Masters wysiadł bez słowa, i ze zwiniętą gazetą w dłoni, wtopił się w tłum gromadzący się przed cyrkiem. Miał dar do wtapiania się w tłumy. Samochód znów ruszył i stanął dopiero przy samym wejściu do budowli. Pilgrim i Fawcett wysiedli i weszli do środka. Szeroki korytarz prowadził wprost do głównego wejścia na widownię. Lata cyrkowych namiotów minęły bezpowrotnie, przynajmniej w wypadku dużych cyrków. Występy odbywały się wyłącznie w specjalnych budowlach albo w ogromnych halach mieszczących dziesięć tysięcy widzów, często i więcej; cyrki takie jak ten, którego występ miał się wkrótce rozpocząć, musiały sprzedawać, co najmniej siedem tysięcy biletów na każdy spektakl, żeby nie ponieść strat.

Na prawo od wejścia można było dojrzeć kulisy cyrku: lwy i tygrysy prychające w klatkach, spętane słonie kuśtykające nerwowo, konie, kucyki, szympansy oraz kilku

zonglerów ćwiczących swoje sztuczki; wysokiej klasy zongler musi trenować równie często i długo jak pianista koncertowy. W nozdrza uderzał zapach - charakterystyczny, niezapomniany zapach cyrku. Z tyłu stały przenośne budy mieszczące biura, a za nimi rząd przebieralni dla artystów. W rogu na wprost nich zaczynał się wybieg na arenę; zakręcał lekko, żeby kulisy były jak najmniej widoczne dla osób oglądających spektakl. Z korytarza wiodącego na lewo dobywała się muzyka; nie było to jednak żadne z nagrań Filharmonii Nowojorskiej, a hałaśliwe, atonalne, blaszane dźwięki, które jedynie przy maksimum dobrej woli można nazwać muzyką. W każdej innej sytuacji byłby to po prostu hałas nieznośny i niebezpieczny dla uszu, albo, dlatego, że tak silnie kojarzył się wszystkim z jarmarcznymi rozrywkami albo, dlatego, że faktycznie do nich pasował, wydawał się tu jak najbardziej na miejscu.

Pilgrim i Fawcett przeszli przez jedno z kilku otwartych drzwi i znaleźli się na zewnątrz, na placu mieszczącym towarzyszący cyrkowi lunapark. Chociaż sam plac był niewielki, panował tu nie lada ruch. Od typowych wesołych miasteczek lunapark różniła jedynie stojąca na uboczu spora budowla z płyt pilśniowych pomalowana w jaskrawe, krzykliwe barwy. Nie zwracając uwagi na inne wątpliwe atrakcje, Pilgrim i Fawcett skierowali się w jej stronę.

Nad wejściem biegł intrygujący napis: Wielki Mag.

Obaj mężczyźni zapłacili po dolarze, weszli do środka i stanęli dyskretnie z tyłu. Zresztą powodowała nimi nie tylko dyskrecja; na ławach nie było ani jednego wolnego miejsca. Sława wielkiego maga sprawiła, że salka pękała w szwach. Bruno Wildermann stał na maleńkiej scenie. Wzrostu nieco tylko większego niż średni, i o ramionach zaledwie nieznacznie szerszych od przeciętnych, nie wyglądał specjalnie imponująco – może, dlatego, że całą sylwetkę, aż po kostki, spowijała mu obszerna, jaskrawa szata chińskiego mandaryna, o sutych i potężnych rękawach. Pociągła, smagława twarz maga, widoczna pod szopą czarnych włosów, sprawiała inteligentne, sympatyczne wrażenie, ale nie było w niej nic wyjątkowego, nic, co by jakoś szczególnie przyciągało wzrok.

- Popatrz na te rękawy. Można w nich ukryć całe stado królików - szepnął Pilgrim.

Ale Bruno nie zamierzał zabawiać zebranych kuglarstwem. Jego występ w roli maga ograniczał się wyłącznie do prezentowania zdolności z zakresu parapsychologii. Nie musiał krzyczeć, żeby być dobrze słyszalnym; miał głęboki, donośny głos, z lekkim, obcym akcentem, ale zbyt słabym, żeby dało się go zidentyfikować. Poprosił jedną z kobiet obecnych na sali, żeby pomyślała o jakimś przedmiocie i szepnęła jego nazwę sąsiadowi. Po czym bez namysłu wymienił przedmiot; kobieta i jej sąsiad potwierdzili.

- Umówieni - syknął Pilgrim.

Następnie Bruno poprosił, żeby na scenę weszło troje ochotników. Po chwili wahania zgłosiły się trzy kobiety. Bruno posadził je przy stole, wręczył każdej kartkę papieru i kopertę, powiedział, żeby narysowały jakiś prosty znak lub symbol i schowały do koperty. Stanął do nich tyłem, przodem do widowni. Kiedy skończyły, wrócił do stołu i przez kilka sekund patrzył na koperty, cały czas trzymając ręce za sobą.

- W pierwszej jest swastyka, w drugiej znak zapytania, w trzeciej kwadrat z przekątnymi - oznajmił. - Proszę wyjąć kartki i pokazać widowni.

Kobiety spełniły jego życzenie. Wszystko się zgadzało: pierwsza podniosła kartkę ze swastyką, druga ze znakiem zapytania, trzecia z kwadratem z przekątnymi.

Fawcett pochylił się do Pilgrima:

- Też umówione?

Pilgrim, zamyślony, nic nie odpowiedział.

- Niektórym z państwa może się wydawać, że mam na widowni współników - rzekł Bruno - ale nie możecie przecież wszyscy być moimi współnikami, bo wtedy nie przychodzilibyście na spektakl, nawet gdyby mnie było stać na opłacanie was. Może jednak

uda mi się rozwiązać wasze wątpliwości. - Podniósł ze stołu kartkę papieru złożoną w samolocik. - Rzucę go pomiędzy państwa. Chociaż potrafię wiele rzeczy, nie potrafię ani przewidzieć, ani kontrolować lotu papierowego samolociku. Nikt tego nie potrafi. Proszę, żeby osoba, którą trafi, była tak uprzejma i weszła na scenę.

Rzucił kartkę na widownię. Samolot przez chwilę szybował w powietrzu, skręcając to w lewo, to w prawo, nieobliczalny jak wszystkie papierowe pociski, po czym zapikował nagle i niespodziewanie, choć zgodnie ze swoją naturą, i zakończył swój niechlubnie krótki lot uderzając w ramię kilkunastoletniego chłopca. Chłopak wstał nieśmiało z miejsca i wszedł na scenę. Bruno uśmiechnął się do niego zachęcająco i wręczył mu taką samą kartkę i kopertę jak wcześniej kobietom.

- Zadanie jest proste - rzekł. - Napisz na kartce dowolne trzy cyfry i schowaj ją do koperty.

Odwrócił się tyłem do chłopaka i obejrzał się dopiero wtedy, gdy ten skończył. Nie dotknął jednak koperty, nawet na nią nie spojrzął.

- Teraz dodaj je i podaj mi wynik - polecił.

- Dwadzieścia.

- Napisałeś siedem, siedem i sześć.

Chłopak wyjął kartkę i pokazał widowni. Faktycznie; widniały na niej dwie siódemki i szóstka.

Fawcett zerknął na Pilgrima, który miał jeszcze bardziej zamyślony wyraz twarzy niż poprzednio. Albo Bruno był bardzo cwany oszustem, albo naprawdę posiadał nadzwyczajne zdolności. Po chwili Bruno zapowiedział swój najtrudniejszy numer; żeby zademonstrować możliwości swojej fotograficznej pamięci, podjął się zidentyfikować dowolne słowo ze stron rozłożonej gazety, wydanej w jakimkolwiek języku. Masters wolał nie ryzykować, że ktoś go wyprzedzi; znalazł się na scenie, zanim mag skończył mówić. Bruno zerknął na niego z pewnym rozbawieniem, wziął od niego rozłożoną gazetę, rzucił na nią okiem, po czym oddał ją Mastersowi i spojrzął na niego wyczekująco.

- Lewa strona, druga szpalta, no powiedzmy, środkowe słowo w siódmym wierszu - wyrecytował Masters uśmiechając się z zadowoleniem, przekonany, że mag zaraz poniesie klęskę.

- Kanada - powiedział Bruno.

Uśmiech znikł z ust Mastersa. Jego pospolita, bezbarwna twarz jeszcze bardziej zszarzała i przygasała; wzruszył niedowierzająco ramionami i zszedł ze sceny.

Byli na zewnątrz, kiedy Fawcett znowu zwrócił się do Pilgrima:

- Chyba nie sądzisz, że Bruno zmówił się z twoim agentem, co? Dałeś się przekonać?

- Dałem. O której rozpoczyna się spektakl?

- Za pół godziny.

- Zobaczmy, jak spisuje się na linie. Jeśli równie dobrze, co tutaj, to człowiek, o jakiego nam chodzi.

Ogromna sala była wypełniona po brzegi. W powietrzu rozbrzmiewała muzyka, nie tylko lepsza od poprzedniej, ale autentycznie dobra, grana przez bardzo sprawną orkiestrę. Czuło się napięcie, podniecenie i nastrój oczekiwania; tysiące dzieci patrzyły wytrzeszczonymi oczami na bajkowe królestwo, w którym się nagle znalazły, niemal tak przejęte, jak towarzyszący im dorośli. Wszystko lśniło i migotało, lecz nie tandetnym połyskiem jarmarcznych świecidełek, ale prawdziwym cyrkowym blaskiem. Trzy areny ustawione przed widownią wysypane były brunatnym piaskiem, lecz wszystko inne mieniło się, wręcz kłuło w oczy, całą feerią najwspanialszych barw. Wokół centralnej areny piękne dziewczyny w nie mniej pięknych kostiumach jeździły na słoniach przystrojonych ze wschodnim przepychem, iskrzących się od złota, srebra i kamieni we wszystkich kolorach tęczy. Na trzech arenach kłowni i pierroci szli ze sobą o lepsze, usiłując się przelicytować

sztuczkami i śmiesznością odzień. Konkurowali z nimi fikający koziołki akrobaci i stąpający w majestatycznym korowodzie artyści na szrudłach. Widownia przypatrywała się im z fascynacją, ale i z pewnym zniecierpliwieniem, ponieważ ten barwny widok, choć niewątpliwie urzekający, był zaledwie rozgrzewką, wstępem do tego, co miało nastąpić. Żaden nastrój nie jest porównywalny z tym, jaki panuje w cyrku na moment przed rozpoczęciem spektaklu. Fawcett i Pilgrim siedzieli obok siebie; mieli doskonale miejsca, dokładnie na wprost wybiegu na środkową arenę.

- Który to Wrinfeld? - spytał Fawcett.

Nieznacznym ruchem Pilgrim wskazał mężczyznę siedzącego w tym samym rzędzie, co oni, zaledwie dwa miejsca dalej. Ubrany w elegancki granatowy garnitur, umiejętnie dobrany krawat i białą koszulę, miał szczupłą twarz, nie tyle nawet inteligenta, co intelektualisty, siwe włosy z równym przedziałkiem i grube okulary.

- To jest Wrinfeld?

Pilgrim skinął głową.

- Wygląda na profesora, a nie na właściciela i dyrektora cyrku.

- Kiedyś rzeczywiście pracował na uczelni. Wykładał ekonomię. Ale kierowanie współczesnym cyrkiem to nie przelewki. To piekielnie trudne zadanie wymagające odpowiednio dużej inteligencji. Tesco Wrinfeld ma głowę nie od parady.

- Tego się boję. Z takim imieniem, na takim stanowisku, może...

- Jest Amerykaninem w piątym pokoleniu.

Kiedy ostatni słoń znikł za kurtyną, nagle rozległy się trąby, orkiestra zagrała tusz i na arenę wpadły w pełnym galopie dwa strojne w pióra kare rumaki ciągnące złoty rydwan, a za nimi kilkunastu jeźdźców. Chwilami ciała jeźdźców stykały się z grzbietami koni, ale przez większość czasu fruwali nad nimi, wykonując zapierające dech w piersiach, wręcz samobójcze akrobacje. Tłum krzyczał, wył, klaskał. Widowisko się zaczęło. Spektakl, który nastąpił, w pełni potwierdził roszczenia cyrku do tego, że jest najlepszy na świecie. We wspaniale zaaranżowanym i świetnie wykonanym programie zaprezentowali się artyści należący do międzynarodowej czołówki: Heinrich Neubauer, niedościgły treser, który potrafił przemienić kilkanaście groźnych nubijskich lwów w stadko pokornych baranków; równy mu sławą i talentem Malthius, umiejący okiełzać jeszcze groźniejsze bengalskie tygrysy; Carraciola, treser szympansov, który potrafił sprawić, iż jego podopieczni wydawali się dziesięć razy mądrzejsi od niego; Kan Dahn, zapowiadany jako najsilniejszy człowiek na świecie, co chyba było prawdą zważywszy na łatwość, z jaką wykonywał jednoręczne ewolucje na linie i trapezie, jakby zupełnie nie czuł ciężaru kilku młodych, atrakcyjnych pańienek trzymających się go ze wzruszającym oddaniem; Lennie Loran, komik linoskoczek, którego sztuczki wydawały się tak niebezpieczne, że każdy agent ubezpieczeniowy prędzej połknąłby swój długopis, niż wypisał artyście polisę; Ron Roebuck wyczyniający takie cuda z lassem, o jakich kowboje występujący zawodowo na rodeo nie śmieli nawet marzyć; Manuelo, który z odległości sześciu metrów, w dodatku z zawiązanymi oczami, potrafił zgasić papierosa jednym rzutem noża; Duryanowie, bułgarska trupa, którym za jedyny rekwizyt służyła huśtawka, lecz ich popisy były tak niewiarygodne, że widzowie kręcili głowami w niemym podziwieniu. Na cały spektakl składało się jeszcze z dziesięć równie wspaniałych występów, od powietrznego baletu po kłownów na ogromnych drabinach, którzy balansowali na nich bez żadnych podpórek, ciskając w siebie ciężkimi maczugami.

Mniej więcej po godzinie Pilgrim pochylił się do Fawcetta i szepnął łaskawie:

- Nieźle. Zupełnie nieźle. A teraz, jeśli się nie mylę, nastąpi gwóźdź programu.

Światła przygasły, orkiestra zagrała odpowiednio dramatyczną, choć może zbyt pogrzebową melodię, po czym zapaliło się kilka różnobarwnych reflektorów skierowanych w górę na trzy postacie w obszytych cekinami trykotach tkwiące na platformie przy trapezach. Bruno stał pośrodku. Bez szaty mandaryna prezentował się naprawdę imponująco; szeroki w

barach, wspaniale umięśniony, w każdym calu przypominał ekwilibrystę światowej sławy, za jakiego uchodził. Pozostali dwaj mężczyźni byli trochę drobniejsi od niego. Wszyscy trzej mieli zawiązane oczy. Muzyka umilkła i zapadła cisza; tłum patrzył ze zgrozą jak mężczyźni dodatkowo zaciągają na twarze kaptury.

- Chyba jednak się cieszę, że jestem tu na dole - powiedział Pilgrim.

- Ja też. Nawet wołałbym nie patrzeć.

Ale obaj patrzyli na Orły Ciemności i ich wręcz nieprawdopodobny program; nieprawdopodobny, gdyż - jeśli nie liczyć sporadycznego bicia w bębny - bracia nie mieli żadnych wskazówek gdzie się, który z nich akurat znajduje i jak koordynować wykonywane na ślepo ruchy. Ale ani razu się nie zdarzyło, żeby ręce jednego nie trafiły bezpiecznie w wyciągnięte ku niemu ręce drugiego, ani razu nie zdarzyło się, żeby dłonie sięgające po kołyszący się bezgłośnie trapez chwyciły go, choć odrobinę niepewnie. Powietrzne ewolucje trwały zaledwie cztery minuty, lecz te zdawały się ciągnąć w nieskończoność; kiedy wreszcie nastąpił koniec, przez dłuższą chwilę wciąż panowała cisza, i dopiero, gdy zgasły reflektory, cała widownia zerwała się z miejsc, żeby oklaskiwać artystów.

- Co wiesz o jego braciach? - spytał Pilgrim.

- Tylko tyle, że nazywają się Vladimir i Yoffe. Wydawało mi się, że potrzebujemy jednego człowieka.

- Tak. Jak myślisz, co może skłonić Bruna, żeby nam pomógł?

- Nawet nie musimy się zbytnio wysilać. Facet ma dość pobudek. W czasie mojej ostatniej wizyty w Europie Wschodniej zasięgnąłem o nim języka. Nasz agent niewiele umiał mi powiedzieć, ale to, czego się dowiedziałem, powinno wystarczyć. Przed paru laty rodzinna trupa liczyła siedem osób, chociaż rodzice Bruna zaczęli powoli wycofywać się z pracy. Ale kiedy przyszli po nich agenci służby bezpieczeństwa, tylko jemu i dwóm braciom udało się zbiec za granicę. Nie wiem, co sprawiło, że służba bezpieczeństwa zainteresowała się rodziną. Było to sześć, siedem lat temu. Wiem tylko, że żona Bruna nie żyje. Są na to świadkowie - mogą wszystko potwierdzić, to znaczy mogliby, gdyby nie bali się mówić. Bruno i jego żona byli zaledwie dwa tygodnie po ślubie. Co się stało z jego najmłodszym bratem i rodzicami, tego nie wie nikt. Po prostu znikli.

- Jak miliony innych. Tak, Bruno to człowiek, o jakiego nam chodzi. Wrinfield gotów jest na współpracę. Wygląda na to, że jego podopieczny też nie powinien mieć oporów.

- Najmniejszych - powiedział z przekonaniem Fawcett, po chwili jednak jakby się nieco stropił.

- Muszę w to wierzyć. Jeśli nie mam racji, zmarnowaliśmy ładnych kilka tygodni.

Reflektory ponownie rozbłysły. Orły Ciemności znajdowały się na jednej z platform, między którymi - sześć metrów nad ziemią - rozpięta była lina. Obie boczne areny były puste, jedynie na środkowej, pod liną, czekał jeszcze jeden artysta. Orkiestra nie grała; na sali panowała cisza jak makiem zasiał. Bruno siedział na rowerze; do ramion miał przyczepione drewniane nosidło w kształcie jarzma. Jeden z braci trzymał stalowy pręt prawie czterometrowej długości. Kiedy Bruno zsunął przednie koło roweru z platformy na linę, brat umocował pręt w specjalnych uchwytych na nosidle. Ledwo Bruno postawił stopy na pedałach i zaczął jechać, bracia chwycili za końce pręta, pochylili się do przodu, obaj dokładnie w tej samej chwili odepchnęli się od platformy i zawisli na nim na wyciągniętych rękach. Lina ugięła się znacznie, lecz Bruno jakby w ogóle nie odczuł dodatkowego ciężaru; wolno i miarowo pedałowal dalej. Przez kilka minut, utrzymując równowagę głównie dzięki idealnej synchronizacji Vladimira i Yoffe'ego, jeździł w przód i w tył po linie, podczas gdy bracia z niezwykłym opanowaniem wykonywali różne skomplikowane ćwiczenia ekwilibrystyczne. W pewnym momencie zatrzymał rower i kiedy tak balansował bez ruchu, Vladimir i Yoffe, wciąż poruszając się z tą samą niebywałą precyzją, zaczęli huśtać się na pręcie coraz mocniej i mocniej, aż w końcu stanęli na nim na rękach.

Widzowie zamarli w grobowej ciszy - nie tylko, dlatego, że chcieli oddać hołd znakomitym linoskokom, ale również dlatego, że w dole na arenie zobaczyli Neubauera i jego stado nubijskich lwów, z których każdy spoglądał w górę tęsknie i łakomie. Kiedy bracia zakończyli popis, widownia najpierw wydała jedno długie, zbiorowe westchnienie ulgi, a dopiero potem zerwała się z miejsc i zgotowała artystom kolejną stojącą owację, równie gorącą i długotrwałą jak poprzednia.

- Starczy. już dość zszargałem sobie nerwy jak na jeden wieczór - oznajmił Pilgrim. - Wrinfield wyjdzie teraz za mną. Jeśli wracając na miejsce otrze się o ciebie, będzie to znaczyło, że Bruno gotów jest z nami rozmawiać. Wtedy, po skończonym spektaklu, Wrinfield ruszy dyskretnie za tobą.

Nie rozglądając się i nie dając nikomu żadnych znaków. Pilgrim wstał leniwie z ławy i skierował się do wyjścia. Niemal natychmiast Wrinfield uczynił to samo.

Kilka minut później obaj mężczyźni siedzieli w biurze Wrinfield, trochę ciasnym, lecz urządzonym z luksusem, o jakim marzy każda sekretarka. Wrinfield miał też drugie biuro w pobliżu areny, dużo większe, choć dość obskurne, w którym załatwiał większość interesów, w tamtym jednak nie było barku. Ponieważ wydał zakaz spożywania alkoholu na terenie cyrku, sam go również przestrzegał.

Biuro, w którym się teraz znajdowali, było częścią złożonej i znakomicie zorganizowanej całości składającej się na ruchomy dom. Tym domem był pociąg, w którym spała większość artystów i pracowników cyrku, łącznie z jego dyrektorem. Wyjątek stanowiło kilku upartych indywidualistów, którzy woleli przemierzać bezkresne przestrzenie Stanów Zjednoczonych i Kanady własnymi domami na kółkach. Kiedy cyrk wyruszał w trasę, pociągiem podróżowały również wszystkie zwierzęta; na końcu składu, na czterech ogromnych platformach poprzedzających bryk, jechał cały sprzęt niezbędny do sprawnego funkcjonowania cyrku, w tym traktory i dźwigi.

W sumie pociąg był drobnym cudem pomysłowości, planowania i gospodarności. Zresztą, może wcale nie takim drobnym: miał blisko kilometr długości.

- Bruno jest dokładnie tym, o kogo mi chodzi - oświadczył Pilgrim, biorąc szklanek z trunkiem. - Myśli pan, że się zgodzi? Jeśli nie, chyba nie pozostanie nam nic innego jak odwołać wasze europejskie tourne.

- Zgodzi się, a to z trzech powodów. - Sposób mówienia Wrinfielda pasował do jego wyglądu; był równie staranny, precyzyjny i gładki. - Po pierwsze, jak pan zauważył, pojęcie strachu jest mu zupełnie obce. Po drugie, cechuje go - jak większość świeżo naturalizowanych Amerykanów - tak wielka miłość do przybranej ojczyzny, że pańskie i moje uczucia patriotyzmu całkiem przy niej bledną. Wprawdzie ma obywatelstwo już od pięciu lat, ale co to jest pięć lat? I po trzecie, ma do załatwienia ze swoją dawną ojczyzną spore porachunki.

- Teraz pan z nim porozmawia?

- Tak. Czy potem przyprowadzić go do pana?

- Jestem ostatnią osobą, z którą powinien się pan kontaktować. Najlepiej będzie, żeby jak najrzadziej widywano pana w moim towarzystwie. I proszę trzymać się z dala od naszej siedziby; cały batalion obcych agentów wysiaduje w słońcu nie spuszczać z oczu drzwi. Spotkacie się panowie z pułkownikiem Fawcettem; to ten jegomość w mundurze, który siedział obok mnie. Kieruje naszymi działaniami w Europie Wschodniej i orientuje się we wszystkim znacznie lepiej ode mnie.

- Myślałem, że w waszej organizacji nie ma wojskowych, panie Pilgrim.

- Bo nie ma. To jego przebranie. Upodobał je sobie do tego stopnia, że częściej można go spotkać w mundurze niż po cywilnemu. Dlatego wszyscy nazywają go "Pułkownikiem". Ale proszę nie dać się zwieść pozorom. To świetny fachowiec.

Fawcett doczekał do końca spektaklu, sumiennie oklaskał artystów, po czym wstał i

wyszedł, nie patrząc w stronę Wrinfelda, który wcześniej dał mu znać, że pomyślnie wypełnił swoją misję. Opuściwszy gmach cyrku, szedł wolno, mimo coraz rześkiej padającego deszczu, żeby przypadkiem Wrinfeld nie stracił go z oczu w ciemności. Wreszcie dotarł do wielkiego, czarnego wozu, którym przybył tu razem z Pilgrimem, i usiadł na tylnym siedzeniu. Na drugim końcu z twarzą głęboko w cieniu, już ktoś siedział.

- Dobry wieczór. Nazywam się Fawcett - powiedział Fawcett.

- Mam nadzieję, że nikt pana nie śledził?

- Nikt - odparł za siedzącego kierowca. - Patrzyłem cały czas. - Spojrzał na mokre od deszczu szyby. - W taki wieczór mało komu się chce wsadzać nos w cudze sprawy.

- To prawda. - Fawcett zwrócił się do ledwo widocznej postaci. - Miło mi pana poznać. - Westchnął.

- Przepraszam za te nasze melodramatyczne metody w typie płaszcza i szpady, ale nic już na to nie poradzę. Po prostu weszły nam w krew. Musimy poczekać na pańskiego przyjaciela... O, już jest.

Otworzył drzwi, żeby wpuścić Wrinfelda. Mimo ciemności widać było, że na twarzy dyrektora nie maluje się wyraz radosnej bez troski.

- Na Poynton Street, Barker - polecił Fawcett.

Barker skinął w milczeniu głową i samochód ruszył. Nikt się nie odzywał. Wrinfeld, wyraźnie przygnębiony, przez chwilę kręcił się niespokojnie, aż w końcu oznajmił:

- Chyba ktoś za nami jedzie.

- Śmiałyby nie jechać! - obruszył się Fawcett. - Natychmiast wylałbym go z roboty. Jego zadaniem jest pilnować, żeby nikt za nami nie jechał. Dlatego jedzie. Rozumie pan?

- Tak, tak, rozumiem - odparł Wrinfeld, choć sądząc po jego tonie, nie było to wcale takie pewne.

Mina dyrektora stawała się coraz bardziej nieszczęśliwa w miarę jak wóz zbliżał się do dzielnicy slumsów, a kiedy zatrzymali się na słabo oświetlonej ulicy, przed obskurnym, podejrzanie wyglądającym budynkiem, jego twarz przybrała wręcz płaczliwy wyraz.

- Co za podła dzielnica - powiedział smętnie. - A ten budynek wygląda jak dom publiczny!

- Nie myli się pan; to jest dom publiczny. Należy do naszej agencji. Bardzo się przydaje. Niech pan tylko pomyśli; kto by się spodziewał, że dyrektor Tesco Wrinfeld przekroczy próg burdelu? Uprzejmie zapraszam do środka.

Rozdział drugi

Jak na tak podejrzane miejsce, usytuowane w tak podejrzanej dzielnicy, salon był zdumiewająco wygodnie urządzone, aczkolwiek osoba, która aranżowała wnętrze, musiała

mieć lekkiego bzika na punkcie czerwieni, gdyż kanapa, fotele, dywan i grube zasłony były w różnych odcieniach tej właśnie barwy. Zebrani nie palili; palił się jedynie ogień w kominku, daremnie próbując stworzyć domową atmosferę. Wrinfeld i Bruno siedzieli w fotelach, Fawcett nalewał trunki z barku na kółkach.

- Proszę jeszcze raz powtórzyć to, co pan mówił o antimaterii - powiedział po namyśle Bruno.

Fawcett westchnął.

- Tego się właśnie obawiałem - rzekł. - Za pierwszym razem poszło mi całkiem nieźle, ale niech pan pamięta, że ja się tego wszystkiego nauczyłem na pamięć i wyrecytowałem jak papuga. Sam nie do końca to rozumiem.

Wręczył Wrinfeldowi przyrządzonego drinka, a Brunowi szklanek wody sodowej, po czym podrapał się po brodzie.

- No dobrze, spróbuję raz jeszcze, trochę prostszymi słowami. Może sam wreszcie zacznę coś kapować. Materia, jak powszechnie wiadomo, składa się z atomów. A atomy składają się z najróżniejszych cząstek; złożoność atomu przysparza naukowcom wciąż nowych problemów im więcej się dowiadują. Ale nam laikom wystarczy wiedzieć, że podstawowymi składnikami atomów są neutrony, elektrony i protony. Na ziemi i pewnie w całym naszym wszechświecie, elektrony mają ładunki ujemne, a protony dodatnie. Naukowcy jednak nie mają łatwego życia; zaledwie w tym roku stwierdzono istnienie cząstek, Bóg wie, z czego złożonych, które poruszają się z prędkością wielokrotnie większą od prędkości światła. Dla tych przedstawicieli świata nauki, którzy ślepo wierzyli, że nic nie jest w stanie poruszać się szybciej niż światło, czyli dokładnie dla wszystkich, był to przykry szok. Ale wspominam o tym tylko na marginesie.

Spojrzał na swoich rozmówców, po czym ciągnął dalej:

- Jakiś czas temu dwóch astronomów, Dicke i Anderson, dokonało również niewygodnego odkrycia; na podstawie swoich obliczeń udowodnili, że muszą istnieć dodatnio naładowane elektrony. Obecnie nikt już tego nie kwestionuje; nazywane są pozytonami. Później, jakby sprawa była nie dość skomplikowana, w Berkeley odkryto antyprotony, posiadające przeciwny ładunek niż protony. Antymateria to nic innego jak połączenie pozytonów i antyprotonów. Kto nie traktuje poważnie możliwości jej istnienia, po prostu nie jest poważnym naukowcem. Każdy poważny naukowiec wie natomiast, że zderzenie elektronu z pozytonem, protonu z antyprotonem, lub zderzenie takich par miałyby niezwykle groźne konsekwencje. Nastąpiłaby anihilacja zderzających się cząstek, a ich masa spoczynkowa zamieniłaby się w zabójcze promienie gamma; towarzysząca siła wybuchu zmiotłaby z powierzchni ziemi wszystko na obszarze kilkuset kilometrów kwadratowych. Naukowcy są zgodni, co do jednego: gdyby zaledwie dwa gramy antimaterii spadły na Ziemię od strony przeciwnej Słońca, mogłyby nie tylko zniszczyć wszelkie formy życia, ale również wypchnąć Ziemię z jej orbity i posłać w kierunku Słońca. O ile, oczywiście, ziemia nie rozpadłaby się od wybuchu.

- Wesoła prognoza - powiedział Wrinfeld. Nie wyglądał na zbyt przekonanego. - Nie chcę pana urazić, ale to wszystko brzmi mi na fantastykę popularnonaukową, i to dość niskiego lotu.

- Mnie również. Ale ufam swoim zwierzchnikom. Zresztą, powoli zaczynam w to wierzyć.

- Chwileczkę. Ta antymateria nie występuje nigdzie na ziemi, prawda? - Ponieważ posiada tę nieprzyjemną właściwość, że niszczy wszelką materię, która się z nią styka, to chyba zrozumiałe samo przez się. - W takim razie skąd się bierze?

- A skąd u licha mam wiedzieć! - Fawcett nie zamierzał tracić panowania nad sobą, ale bardzo nie lubił stąpać po obcym i grząskim gruncie, w dodatku po omacku. - Zakładamy, że poza naszym wszechświatem nie istnieje żaden inny. Ale czy to prawda? Może jest gdzieś

jeszcze jeden, albo kilka? Zgodnie z najnowszą myślą naukową, jeśli istnieją inne wszechświaty, to całkiem prawdopodobne, że przynajmniej część z nich składa się z antimaterii. - Na moment zasepił się. - Jeśli w takim wszechświecie mieszkają inteligentne istoty, to zapewne dla nich nasz wszechświat składa się z antimaterii. A może jest to niezmiernie rzadka substancja, której odrobina powstała przypadkowo, kiedy się tworzył? Któż to może wiedzieć?

- A więc to wszystko są tylko spekulacje - stwierdził Bruno. - Hipotezy. Teoretyczne rozważania. Nie ma żadnych dowodów, pułkowniku?

- Naszym zdaniem są. Proszę mi wybaczyć tę liczbę mnogą. - Fawcett uśmiechnął się przepraszająco. - W tysiąc dziewięćset ósmym roku wydarzyło się coś, co mogło pochłoniąć najwięcej ofiar w historii ludzkości; szczęściem, wydarzyło się na niezamieszkanym obszarze północnej Syberii. Kiedy prawie dwadzieścia lat później rosyjscy naukowcy zainteresowali się sprawą, odkryli teren o powierzchni ponad stu kilometrów kwadratowych, na którym drzewa zostały zniszczone przez uderzenie fali gorąca; nie spaliły się jak podczas pożaru, lecz zwęgliły dosłownie w jednej sekundzie. Niektóre nawet pozostały w pionowej pozycji. Gdyby to miało miejsce nie w tajdze, lecz w Nowym Jorku lub Londynie, nikt nie ocalałby się przy życiu.

- Dowody, pułkowniku - rzekł Bruno. - Mnie chodzi o dowody.

- Chwileczkę. Otóż wszelkie zniszczenia powodowane na Ziemi przez spadające ciała kosmiczne są zawsze, bez wyjątku, następstwem meteorów. Tymczasem na Syberii nie znaleziono ani meteorytu, który mógł spowodować tę katastrofę, ani nawet żadnego śladu po jego upadku, a przecież w Arizonie i w Południowej Afryce meteory pozostawiły ogromne kratery. W każdym razie panuje przekonanie, i to jedyny logiczny wniosek, że na Syberię spadła cząstka antimaterii, cząstka wielkości jednej stumilionowej grama.

Ciszę, która zaległa, przerwał w końcu Wrinfild:

- Tak, już pan nam to mówił. Za drugim razem wszystko wydaje się trochę jaśniejsze, ale tylko trochę. I co dalej?

- Kilkanaście lat temu naukowcy zaczęli się zastanawiać, czy przypadkiem Rosjanom nie udało się odkryć tajemnicy wytwarzania antimaterii, ale po pewnym czasie uznali swoje obawy za bezpodstawne. To, że antimateria niszczy wszelką materię, z jaką się styka, absolutnie wykluczało możliwość jej produkcji, używania, a nawet składowania. Ale czy nadal wyklucza? Może wkrótce wszystkie trudności zostaną przezwyciężone? Kraj, który posiada tajemnicę produkcji antimaterii, będzie trzymał w szachu resztę świata. W porównaniu z nią broń nuklearna to zaledwie niegroźna zabawka dla dzieci.

Przez dobrą minutę nikt się nie odzywał; pierwszy przemówił Wrinfild:

- Nie rozmawiałby pan z nami, gdyby nie miał pan powodów podejrzewać, że broń oparta o antimaterię istnieje, albo wkrótce może powstać.

- Istotnie, już od kilku lat zbieranie informacji na temat możliwości jej powstania było priorytetowym zadaniem agencji wywiadowczych wszystkich państw.

- Rozumiem, że tajemnica konstrukcji owej broni nie znajduje się w naszych rękach; gdyby tak było, również nie odbywalibyśmy tej rozmowy.

- Zgadza się.

- I nie znajduje się w rękach Anglików?

- Wówczas nie mielibyśmy powodu do obaw.

- Bo to nasi sprzymierzeńcy i gdyby, co, do czego doszło, szliby z nami ręka w rękę?

- Sam bym tego lepiej nie ujął.

- A więc tajemnicę zna kraj, za którego odpowiedzialność i dobre intencje, gdyby doszło do najgorszego - nie możemy ręczyć?

- Właśnie - odparł Fawcett i pomyślał, że Pilgrim miał rację ostrzegając go, żeby nie lekceważył inteligencji Wrinfilda.

- Jak zapewne panu wiadomo, pan Pilgrim i ja poczyniliśmy pewne wstępne ustalenia
- powiedział wolno właściciel cyrku. - Ale nic mi nie wspominał o antymaterii.

- Było jeszcze na to za wcześnie.

- A teraz?

- Najwyższy czas. Albo teraz, albo nigdy.

- Chcecie zdobyć tajne obliczenia, plany czy coś w tym rodzaju?

Odpowiedź była tak oczywista, że Fawcettowi przemknęło przez myśl, że może jednak Pilgrim przesadził z inteligencją Wrinfelda.

- A jak pan sądzi? - spytał.

- Czy naprawdę uważa pan, że nasz rząd jest bardziej odpowiedzialny od rządów innych państw?

- Pracuję dla rządu Stanów Zjednoczonych. Nie do mnie należy roztrząsanie, kto ma rację.

- Chyba zdaje pan sobie sprawę, że w identyczny sposób usprawiedliwiali swoją działalność w czasie drugiej wojny światowej gestapowcy i esesmani? Agenci Kgb pewnie też to mówią.

- Wiem. Ale pańskie porównanie jest trochę chybione. Stanom Zjednoczonym nie chodzi o zwiększenie swojego potencjału militarnego; wszelkich rodzajów broni mamy i tak pod dostatkiem. Ale niech pan sobie wyobrazi, co by się stało, gdyby tajemnica antymaterii dostała się na przykład w ręce któregoś z przywódców nowych republik środkowoafrykańskich? Przecież to szaleńcy, których powinno się, czym prędzej zamknąć u czubków! My po prostu jesteśmy bardziej odpowiedzialni od innych.

- W tym cała nadzieja. Dobrze.

Fawcett z trudem pohamował długie westchnienie ulgi.

- To znaczy, że pan się zgadza? - zapytał.

- Tak. Przed chwilą powiedział pan, że nastał już najwyższy czas, żeby powiadomić nas o wszystkim. Dlaczego?

- Mam nadzieję, że się nie pomyliłem.

- Czego oczekuje pan ode mnie, pułkowniku? - do rozmowy włączył się Bruno.

Fawcett wiedział, że w pewnych sytuacjach lepiej jest nie owijać niczego w bawełnę.

- Że zdobędzie pan dla nas obliczenia - rzekł.

Bruno wstał i nalał sobie jeszcze wody sodowej. Opróżnił szklanekę, po czym spytał:

- Mam je ukraść?

- Nie, zdobyć. Czy nazwałby pan kradzieżą odebranie strzelby szaleńcowi?

- Dlaczego akurat ja?

- Bo posiada pan wyjątkowe umiejętności. Ale nie mogę zdradzić, w jaki sposób chcemy je wykorzystać, dopóki nie podejmie pan decyzji. Wiemy natomiast, że istnieje tylko jeden zapis obliczeń i końcowego równania, i że tylko jeden człowiek, ten, który go sporządził, potrafi go odtworzyć. Wiemy również, gdzie ich szukać, zarówno człowieka, jak i zapisu.

- Gdzie?

- W Krau - odparł bez wahania Fawcett.

Reakcja Bruna była całkiem inna niż Fawcett oczekiwał. Kiedy się odezwał, głos miał pozbawiony emocji, wyraz twarzy obojętny.

- W Krau - powtórzył.

- Tak. W pana dawnej ojczyźnie. W dawnym rodzinnym mieście.

Bruno nic nie odpowiedział. Usiadł w fotelu i przez dłuższą chwilę milczał. W końcu spytał: - Jeśli się zgodzę, jak mnie przerzucicie? Przez zieloną granicę? Spadochronem?

Ukrycie radości wymagało od Fawcetta wprost heroicznego wysiłku. Najpierw Wrinfeld, a teraz Bruno - w ciągu kilku minut udało mu się skaptować obu.

- W sposób znacznie mniej dramatyczny - odparł spokojnie. - Pojedzie pan z cyrkiem. Bruno niemal osłupiał.

- To prawda, Bruno - powiedział Wrinfild. - Zgodziłem się iść rządowi na rękę w tej sprawie, choć aż do chwili obecnej nie miałem pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Czeka nas krótkie tournée po Europie; głównie po Europie Wschodniej. Negocjacje trwają już od pewnego czasu. Nasza wizyta nie wzbudzi żadnych podejrzeń. W końcu od nich też przyjeżdżają różni artyści cyrkowi, zespoły taneczne, śpiewacy; my się rewanzujemy.

- Cały cyrk pojedzie?

- Nie, nie. To byłoby niemożliwe. Tylko najlepsi z najlepszych. - Wrinfild uśmiechnął się lekko. - Ty się do nich zaliczasz.

- A jeśli odmówię?

- Odwołamy wyjazd.

Bruno spojrzął na Fawcetta.

- Wtedy cyrk poniesie straty - rzekł. - I pański rząd będzie musiał zapłacić z milion dolarów. - Nasz rząd byłby gotów zapłacić miliard, byleby tylko zdobyć obliczenia.

Bruno przeniósł wzrok z Fawcetta na Wrinfilda, po czym znów spojrzął na Fawcetta.

- Pojadę - rzucił krótko.

- Wspaniale. Dziękuję. Cała Ameryka będzie panu wdzięczna. Szczegóły...

- Nie potrzeba mi wdzięczności całej Ameryki.

Jego odpowiedź zabrzmiała bardziej zagadkowo niż obraźliwie. Fawcett stropił się lekko i nawet miał ochotę zapytać, co Bruno ma na myśli, ale uznał, że lepiej się nie wtrącać.

- Jak pan uważa - oznajmił. - Szczegóły ustalimy później. Panie Wrinfild, czy Pilgrim wspomniał panu, że chcielibyśmy, aby na czas tournée dokooptował pan do zespołu dwie osoby?

- Nie - odparł Wrinfild, wyraźnie niezadowolony. - Wygląda na to, że pan Pilgrim nie powiadomił mnie o wielu sprawach.

- Pilgrim zawsze wie, co robi. - Teraz, kiedy obaj zadeklarowali chęć pomocy, mógł sobie pozwolić na zdjęcie rękawiczek, wciąż jednak starał się być uprzejmy i zachować dobre maniery. - Nie było sensu wtajemniczać panów w szczegóły, dopóki nie wyrazili panowie zgody na współpracę. Dwie osoby, o których wspomniałem, to doktor Harper i Maria - doskonała amazonka. Nasi ludzie. To bardzo ważne, żeby z wami pojechali. Później panom wyjaśnię, dlaczego. Najpierw muszę omówić pewne sprawy z Pilgrimem. Bruno, proszę powiedzieć, dlaczego się pan zgodził? Muszę pana ostrzec, że zadanie jest bardzo niebezpieczne i gdyby pana złapali, niestety będziemy musieli wyprzeć się jakiegokolwiek znajomości z panem. Więc dlaczego?

Bruno wzruszył ramionami.

- Dlaczego? Człowiek często nie zna swoich pobudek. Może z wdzięczności? Ameryka przyjęła mnie, kiedy musiałem zbiec z własnego kraju. A jest tam wiele osób, którym chętnie odpłaciłbym się, i to z nawiązką, za wyrządzone mi krzywdy. Wiem też, że w mojej byłej ojczyźnie żyją niebezpieczni i nieodpowiedzialni ludzie, którzy nie zawahają się przed użyciem tej nowej broni, jeśli ona faktycznie istnieje. No i powiedział pan, że moje umiejętności zadecydowały o tym, że wybór padł na mnie. Jeszcze nie wiem, jak chce je pan wykorzystać, ale czy w takiej sytuacji mogę pozwolić, aby zastąpił mnie ktoś inny? Nie tylko mógłby nie wywiązać się z misji, ale nawet zginąć. Nie chciałbym go mieć na sumieniu. - Uśmiechnął się nieznacznie. - Powiedzmy, że pociąga mnie wyzwanie.

- A prawdziwy powód?

- Nienawidzę wojny - odparł z prostotą.

- Hm. Spodziewałem się innej odpowiedzi, ale ta jest równie dobra. - Fawcett wstał z miejsca. - Dziękuję, panowie, za poświęcenie mi czasu, za cierpliwość, a przede wszystkim za to, żeście zgodzili się pomóc. Kierowca odwiezie was z powrotem; drugi wóz będzie

jechał z tyłu, tak jak poprzednio.

- A pan? - spytał Wrinfied. - Czy pan pojedzie na spotkanie z panem Pilgrimem?
- Mamy umowę z burdelmama. Na pewno mi znajdzie jakiś środek lokomocji.

Fawcett trzymał w ręku klucze, kiedy jednak zbliżył się do gabinetu Pilgrima, w którym ten zarówno pracował, jak i sypiał, schował je z powrotem do kieszeni. Pilgrim, co było dla niego dość nietypowe, nie tylko nie zamknął drzwi na zasuwę, ale nawet ich nie zatrzasnął. Fawcett pchnął je na oścież i wszedł do środka. Pierwsza myśl, jaka przemknęła mu przez głowę, to, że chyba zbyt stanowczym tonem zapewniał Wrinfieda, że Pilgrim zawsze wie, co robi.

Pilgrim leżał na dywanie. Ktokolwiek go załatwił, najwyraźniej miał w domu cały zapas szpikulców do kruszenia lodu, bo nawet nie pofatygował się zabrać tego, który wbił aż po rękojeść Pilgrimowi w kark. Śmierć musiała nastąpić natychmiast, bo na eleganckiej koszuli z domu Turnbull & Asser nie było ani kropli krwi. Fawcett ukląkł obok zwłok i spojrzał na twarz zmarłego. Była równie pozbawiona wyrazu jak za życia jej właściciela. Pilgrim nie tylko nie wiedział, czym zadano mu cios; nie wiedział, że mu go w ogóle zadano.

Fawcett wstał, podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę.

- Proszę powiedzieć doktorowi Harperowi, żeby natychmiast zjawił się w gabinecie Pilgrima.

Doktor Harper nie był ani karykaturą ani stereotypem dobrotliwego lekarza, lecz trudno było go sobie wyobrazić w jakiegokolwiek innej roli. Po prostu w jego wyglądzie było coś, co nieuchronnie kojarzyło się z tym zawodem. Wysoki, szczupły, dystyngowany, o siwiejących skroniach, nosił grube szkła w rogowej oprawie, które nadawały jego spojrzeniu wyjątkową przenikliwość; nie wiadomo jednak, czy był to efekt zamierzony, czy całkiem przypadkowy. W każdym razie, tego rodzaju szkła są niezwykle przydatne dla lekarzy; patrząc lekarzowi w oczy, pacjent nigdy nie wie, czy jest kwitnącego zdrowia, czy jedną nogą w grobie. Ubiór doktora był równie wykwintny jak ubiór nieboszczyka, którego badał w skupieniu. Czarna torba lekarska stała obok; nie potrzebował jej otwierać.

- Co panu jeszcze wiadomo o dzisiejszym wieczorze? - spytał.

- Nic. Powiedziałem panu wszystko - odparł Fawcett.

- A więc Wrinfied? On jeden wiedział o całej sprawie.

- Ale przed dzisiejszym spotkaniem nie znał żadnych szczegółów. Nie, Wrinfied odpada. Zresztą, nie miał sposobności. Był ze mną.

- Mógł mieć współnika.

- Wykluczone. Jak go pan pozna, zrozumie pan dlaczego. Ma nieskazitelną przeszłość; Pilgrim sprawdził go naprawdę dokładnie. Facet jest takim patriotą, że nie zdziwiłbym się, gdyby na podkoszulku miał napis "Boże, błogosław Amerykę". Poza tym nie traciłby tyle czasu i nerwów na załatwianie tournée po Europie, gdyby zamierzał zabić Pilgrima. Oczywiście, mógł to być tylko wybieg, zasłona dymna, coś w tym stylu, ale nie sądzę.

- Chyba słusznie.

- Uważam, że powinniśmy czym prędzej ich tu sprowadzić, jego i Bruna. Niech zobaczą, że to nie przelewki. I musimy powiadomić admirała. Zadzwoń pan do niego? Ja tymczasem wezwę Barkera i Mastersa.

- Linia jest czysta?

- Lepiej. Rozmowy są kodowane.

Doktor Harper wciąż rozmawiał przez telefon, kiedy do pokoju weszli Barker, kierowca, oraz Masters, niepozorny agent, ten sam, który podsunął Brunowi gazetę na scenie.

- Przywieźcie Wrinfieda i Bruna - polecił Fawcett. - Powiedźcie im, że sprawa jest niesłychanie pilna, ale ani słowa o tym, co się stało. Wprowadźcie ich tunelem. I pośpieszcie

się!

Kiedy wyszli, Fawcett zamknął drzwi, ale nie na zasuwę. Doktor Harper odłożył słuchawkę.

- Mamy trzymać wszystko w tajemnicy. Admirał, który orientuje się w tym najlepiej, twierdzi, że Pilgrim nie miał żadnych bliskich krewnych. Uzgodniliśmy, że zmarł na zawał serca. Hipokrates pewnie kazałby mnie oćwiczyć. Aha, admirał jest już w drodze.

- Spodziewałem się tego - rzekł ponuro Fawcett. - Na pewno nie będzie w szampańskim humorze. Pilgrim był oczkiem w jego głowie; wszyscy wiedzą, że szykował go na swojego następcę. No, czas wezwać chłopaków od odcisków; niech się rozejrzą. Choć prawdę mówiąc wątpię, czy cokolwiek znajdą.

- Dlaczego?

- Facet, który jest aż tak pewny siebie, że zostawia na miejscu narzędzie zbrodni, nie popełnia podstawowych błędów. Zauważył pan, że Pilgrim leży nogami do drzwi, głową do pokoju?

- Co z tego?

- Fakt, że leży tak blisko drzwi oznacza, że sam je otworzył. Czy odwróciłby się tyłem do obcego? Mordercą był ktoś, kogo nie tylko znał, ale komu ufał.

Fawcett nie pomylił się.

Dwaj specjaliści, którzy przybyli z pudłem pełnym różnych chemikaliów, nie znaleźli nic. Jak się należało spodziewać, morderca dokładnie starł odciski palców z klamki i z rękojeści szpikulca.

Specjaliści akurat zbierali się do wyjścia, kiedy - nie pukając, ani nie pytając o zgodę - do środka wszedł jeszcze jeden mężczyzna. Wyglądał jak ukochany przez wszystkich poczciwy wujaszek, bogaty farmer albo admirał; tym ostatnim był rzeczywiście, choć w stanie spoczynku. Tęgi, rumiany, szpakowaty, promieniujący dziwnie dobrotliwym autorytetem, sprawiał wrażenie jakby miał nie pięćdziesiąt pięć lat, do których się przyznawał, lecz o dziesięć mniej. Spojrzał na trupa leżącego na podłodze i zyczliwość znikła z jego twarzy. Zwrócił się do doktora Harpera.

- Wypisał już pan akt zgonu? Zawał, oczywiście.

Lekarz potrząsnął głową.

- Więc proszę wypisać czym prędzej, a potem kazać odstawić Pilgrima do naszej kostnicy.

- Poczekajmy jeszcze chwilę z kostnicą, panie admirale - powiedział Fawcett. - Wkrótce się tu zjawi dwóch ludzi, właściciel cyrku i nasz najnowszy... nabytek. Jestem przekonany, że żaden z nich nie maczał w tym palców, ale chciałbym zobaczyć ich reakcję. I upewnić się, czy nie odeszła im ochota do współpracy.

- Jaką mamy gwarancję, że po wyjściu stąd nie popędzą do najbliższego telefonu? Każda gazeta w tym kraju sprzedałaby połowę swoich redaktorów, żeby mieć, czym zapłacić za taką wiadomość!

- Sądzi pan, że o tym nie pomyślałem? - W głosie Fawcetta pojawiła się nieco mniej uprzejma nuta. - Nie mamy żadnej gwarancji. Ale myślę, że może pan polegać na mojej ocenie tych ludzi.

- No dobrze - rzekł pojednawczo admirał; na wyraźne przeprosiny Fawcett nie miał, co liczyć. - Zgoda.

Admirał zamilkł na moment, ale długo nie wytrzymał bez dania podwładnemu odczuć, kto jest szefem.

- Mam nadzieję, że nie wejdą frontowymi drzwiami? - spytał.

- Barker i Masters pojechali po nich. Wprowadzą ich tunelem.

Jakby na sygnał, Barker i Masters ukazali się w drzwiach, po czym odsunęli się na bok, żeby przepuścić Wrinfelda i Bruna. Fawcett wiedział, że admirał i doktor Harper

obserwują przybyłych równie pilnie jak on sam. Natomiast Wrinfild i Bruno nawet nie spojrzeli na stojących w pokoju mężczyzn; rzecz o tyle zrozumiała, że kiedy ktoś natyka się nagle na trupa, to zwykle na nim koncentruje uwagę.

Tak jak się Fawcett spodziewał, Bruno zareagował w sposób ledwo widoczny: lekkie zwężenie oczu i nieznaczne zaciśnięcie ust było prawie niezauważalne, za to reakcja Wrinfilda nie pozostawiała nic do życzenia; najpierw krew odpłynęła mu z twarzy, sprawiając, że stał się siwoszary, a potem zachwiał się i wyciągnął przed siebie dłoń, drżącą jak w ataku febry, szukając oparcia; przez chwilę wydawało się, że runie jak długi. Trzy minuty później, tyle czasu potrzebował Fawcett, żeby powiedzieć przybyszom, co wiedział, Wrinfild wciąż dygotał, choć siedział już w fotelu, z kieliszkiem koniaku w dłoni. Bruno odmówił trunku, mimo nalegań doktora, że w celach leczniczych też powinien sobie strzelić lufę. Admirał rozpoczął indagacje.

- Czy ma pan w cyrku wrogów? - zwrócił się do Wrinfilda.

- Wrogów? W cyrku? - spytał ze zdumieniem dyrektor. - Broń Boże! Może to zabrzmiało sentymentalnie, ale my naprawdę jesteśmy jedną wielką szczęśliwą rodziną!

- A poza cyrkiem?

- Wrogów ma każdy, kto odniósł sukces. Konkurencja, niechęć, zawiść. To normalne.

- Zerknął lękliwie na zwłoki Pilgrima i znów zadygotał. - Ale nie takich, co się posuwają do morderstwa!

Przez dłuższą chwilę milczał, a gdy znów spojrział na admirała, na jego twarzy malowała się jakby niechęć.

- Ale dlaczego akurat mnie wypytuje pan o wrogów? - spytał; jego głos był już całkiem opanowany. - Przecież to nie ja zostałem zabity, lecz Pilgrim.

- Istnieje pewien związek. Fawcett?

- Tak, to prawda. Czy mogę mówić otwarcie, panie admirale?

- Słucham?

- Wie pan, co mam na myśli: telefony, gazety gotowe sprzedać redaktorów...

- Niech się pan nie wygłupia. Przecież pana przeprosiłem.

- Tak jest, panie admirale. - Fawcett poszperał w pamięci, ale nie znalazł tam żadnych przeprosin; uznał jednak, że nie warto się spierać. - Faktycznie, istnieje pewien związek. Musiał być jakiś przeciek w naszej organizacji. Jak panom przed chwilą mówiłem, nie ulega wątpliwości, że Pilgrima zamordował ktoś, kogo dobrze znał. Przeciek raczej nieznaczny, bo oprócz Pilgrima, tylko pan, admirale, oraz doktor Harper i ja orientujemy się, o co w tym wszystkim chodzi. Ale co najmniej kilkanaście osób - różni agenci, telefonistki, kierowcy, wiedziało o naszych kontaktach z panem Wrinfildem. Agencja wywiadowcza lub kontrwywiadowcza, do której szeregów nie przeniknąłby ani jeden obcy agent i z czasem nie zaskarbił sobie pełnego zaufania przełożonych, stanowiłaby unikat na skalę światową. Byłoby naiwnością sądzić, że nam właśnie udało się ochronić przed infiltracją. Fakt, że pan Wrinfild zajmował się wstępną fazą przygotowań do tournée po Europie, głównie po Europie Wschodniej, nie był tajemnicą. O tym, że w Krau planowane są występy każdy mógł się dowiedzieć. Zdaniem pewnych osób z Krau - konkretnie tych, którym podlegają interesujące nas badania - to, że pan Wrinfild kontaktuje się z CIA, a jego cyrk wybiera się do Krau, mogło być zwykłym zbiegiem okoliczności, ale wiele przemawiało za tym, że nie jest.

- Ale dlaczego zabili Pilgrima? Czy to miało być ostrzeżenie?

- W pewnym sensie, panie admirale.

- Może zechciałby pan odpowiadać bardziej konkretnie, Fawcett?

- Proszę bardzo. Nie ma dwóch zdań, że to ostrzeżenie. Ale żeby śmierć Pilgrima była zrozumiała i usprawiedliwiona z ich punktu widzenia - bo musimy pamiętać, że bez względu na to, za jak niepoczytalnych uważamy naszych przeciwników, są to mimo wszystko ludzie

rozumujący logicznie - musi być czymś więcej niż samym ostrzeżeniem. Ten mord to także prowokacja i zachęta. Ostrzeżenie, które chcą, żebyśmy zignorowali. Jeśli wierzą, że stoimy za tournée cyrku pana Wrinfelda, i jeśli mimo zabójstwa Pilgrima - a nie ulega dla nich wątpliwości, że właśnie im przypiszemy tę zbrodnię - nie zrezygnujemy z wysłania cyrku w trasę, będzie to świadczyć o tym, jak bardzo nam zależy, żeby cyrk dotarł do Krau. O dalsze dowody naszego zaangażowania postarają się na miejscu. Będą chcieli skompromitować nas w oczach świata. Internowanie całego cyrku to dobry chwyt, zwłaszcza, jeśli komuś zależy, żeby sprawa trafiła na pierwsze strony gazet. Proszę sobie wyobrazić, jaką zdobędą przewagę w różnych negocjacjach, jeśli nasz kraj stanie się pośmiewiskiem. Autorytet Stanów Zjednoczonych runie w gruzy; i Wschód i Zachód będą się tarzać z radości. Afera, jaka wybuchła w związku z Garym Powersem i jego U_2, to w porównaniu betka.

- Hm. Jak pan sądzi, jakie mamy szanse wykryć to ich kukułcze jajo w naszym gnieździe?

- Zerowe.

- Doktorze Harper?

- Zgadza się z Fawcettem. To - po prostu niemożliwe, panie admirale. Należałoby każdemu z kilkuset pracowników zatrudnionych w tym budynku przydzielić agenta, który by go śledził.

- A tych agentów musieliby z kolei śledzić następni, tak? To pan ma na myśli?

- Z całym szacunkiem, panie admirale, wie pan, co mam na myśli nie gorzej ode mnie.

- Niestety. - Admirał sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął dwa kartoniki i wręczył jeden właścicielowi cyrku a drugi Brunowi. - Jeśli panowie będą chcieli się ze mną skontaktować, proszę zadzwonić pod ten numer i prosić admirała. I jeszcze jedno; jeżeli domyślacie się mojej tożsamości - a bylibyście niemal tak głupi jak moi agenci, gdybyście nie potrafili jej odgadnąć - zachowajcie to, proszę, dla siebie.

Westchnął i zwrócił się do Fawcetta.

- Niestety, ma pan rację, Fawcett. To jedyne sensowne wytłumaczenie tego, co się stało. Ale nie mamy wyboru; musimy zdobyć te obliczenia, bez względu na ryzyko i zaistniałe okoliczności. Czy jest jakiś inny sposób?

- Nie ma - powiedział Fawcett.

- Nie ma - powtórzył Harper.

Admirał skinął głową.

- Istotnie, nie ma - przyznał. - Albo Bruno albo nici.

Fawcett potrząsnął głową.

- Albo Bruno i cyrk, albo nici - rzekł.

Admirał popatrzył uważnie na Wrinfelda.

- Możliwe, że trzeba będzie poświęcić życie. Co pan na to?

Wrinfeld opróżnił kieliszek. Ręka mu nawet nie drgnęła; odzyskał równowagę psychiczną.

- Nie jestem zachwycony taką perspektywą.

- A co pan sądzi o internowaniu?

- Też mi nie odpowiada.

- Nie dziwię się. Internowanie nie należy do przyjemności. Czy mam rozumieć, że się pan wycofuje?

- Sam nie wiem, po prostu nie wiem. - Wrinfeld w zamyśleniu, ale i z niepokojem, spojrzął na Bruna. - A ty?

- Ja jadę. - Głos linoskoczka był cichy, opanowany, bez cienia nerwów czy hysterii. - Jeśli trzeba, pojedę sam. Jeszcze nie wiem, jak mnie wówczas przerzucicie przez granicę, ani co mam robić na miejscu, ale nie wycofuję się.

Wrinfield westchnął.

- A więc klamka zapadła - rzekł uśmiechając się blade. - Przecież nie mogę pozwolić, żeby świeży imigrant przebił patriotyzmem Amerykanina w piątym pokoleniu.

- Dziękuję, panie Wrinfield. - Admirał zmierzył Bruna spojrzeniem pełnym zaciekawienia. - I panu również. Niech mi pan powie, dlaczego jest pan tak zdecydowany jechać?

- Już mówiłem panu Fawcettowi. Nienawidzę wojny.

Admirał wyszedł. Doktor Harper wyszedł. Wrinfield i Bruno również wyszli, a Pilgrima wyniesiono; za trzy dni miał się odbyć uroczysty pogrzeb, prawdziwa przyczyna zgonu utajona na zawsze, rzecz dość powszechna w wypadku pracowników wywiadu i kontrwywiadu, których kariery kończą się nagle i niespodziewanie. Fawcett, z ponurą, wręcz grobową miną na pyzatej twarzy, przechadzał się po gabinecie nieboszczyka, kiedy zadzwonił telefon. Natychmiast podniósł słuchawkę. Głos po drugiej stronie linii był ochryply i drżący.

- Fawcett? Fawcett? Fawcett, to pan?

- Tak. Kto mówi?

- Nie będę się przedstawiał przez telefon. Niech pan, do licha, nie udaje, że nie wie. To pan mnie wciągnął w tę cholerną kabałę! - zawołał rozmówca; głos tak bardzo drżał mu ze zdenerwowania, że trudno go było rozpoznać.

- Na miłość boską, niech pan przyjeżdża, czym prędzej! Stało się coś strasznego!

- Co?

- Niech pan przyjedzie? - ton głosu był błagalny. - Tylko sam, na Boga! Czekam u siebie w biurze. Tym na terenie cyrku.

Połączenie zostało przerwane. Fawcett nacisnął parę razy widełki, ale bez rezultatu. Odłożył słuchawkę, wyszedł z pokoju i zamknął drzwi, po czym zjechał windą do podziemnego garażu, wsiadł do samochodu i ruszył w ciemną deszczową noc, kierując się w stronę cyrku.

Światła na budynku były pogaszone; paliło się zaledwie jedno przy wejściu. Artyści już dawno skończyli pracę i udali się na spoczynek do pociągu. Fawcett zaparkował samochód i szybkim krokiem pomaszerował za kulisy, gdzie stały klatki ze zwierzętami i gdzie Wrinfield miał swoje obskurne, prowizoryczne biuro. Wewnątrz budynku światła wciąż się paliły, ale nie było widać śladu żywej duszy. W pierwszej chwili zdumiało Fawcetta, że nikt nie pilnuje zwierząt, bo przecież warte były fortunę, zreflektował się jednak, że nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie kradł indyjskiego słonia, czy nubijskiego lwa. Nie tylko nie można ich było po prostu schować do torby i wynieść, ale także znalezienie kupca nastęrczało trudności. Większość zwierząt leżała pogrążona w śnie; jedynie słonie, każdy przykuty za przednią nogę, stały kołysząc się na boki, nie wiadomo czy czuwając, czy drzemiąc. Niewątpliwie nie spało dwanaście bengalskich tygrysów zamkniętych razem w jednej dużej klatce; krążyły po niej niespokojnie, co pewien czas warczą bez żadnego powodu. Fawcett skierował się w stronę biura Wrinfielda. Nagle zatrzymał się zdziwiony, że z okna biura nie pada światło. Podeszedł do drzwi i nacisnął klamkę. Otworzyły się. Pchnął je szerzej i wsunął głowę do środka, żeby się rozejrzeć; raptem świat zawirowało mu przed oczami.

Rozdział trzeci

Przez całą noc Wrinfeld prawie nie zmrużył oka, rzecz zupełnie zrozumiała po przejściach i napięciach minionego dnia. W końcu, o piątej, wstał, wziął prysznic, ogolił się, i pozostawiając swój luksusowo urządzony przedział, udał się do zwierząt, co czynił instynktownie, ilekroć gnębiły go kłopoty, kochał, bowiem cyrk i tylko w nim czuł się jak u siebie w domu; kontakt, jaki miał ze zwierzętami, znacznie przewyższał ten, jaki miał ze studentami, którym mozolnie usiłował wbić do głowy ekonomię, marnując - jak to teraz widział - najlepsze lata swojego życia. Poza tym mógł sobie uciąć pogawędkę z Johnnym, nocnym strażnikiem, który - mimo przepaści, jaka dzieliła ich stanowiska - był jego serdecznym przyjacielem i powiernikiem. Nie żeby Wrinfeld zamierzał zwierzać się komukolwiek z wydarzeń ubiegłego wieczoru. Johnny'ego jednak nigdzie nie było, a nie

należał do ludzi, którzy zaniedbują swoje obowiązki, zresztą mało uciążliwe; oprócz pilnowania terenu musiał tylko rano obejść klatki i powiadomić weterynarza lub właściwego tresera, gdyby któreś ze zwierząt zachowywało się dziwnie. Z początku tylko lekko zdumiony, a potem ze wzrastającym niepokojem Wrinfeld zaczął szukać Johnny'ego; znalazł go w ciemnym kącie. Johnny, stary, pomarszczony i kulawy - bo o jeden raz za dużo zdarzyło mu się spaść z liny - leżał ze skrępowanymi rękami i nogami, usta miał zakneblowane, ale poza tym był cały i zdrowy, tyle, że potwornie wściekły. Wrinfeld zdjął mu knebel, rozwiązał sznur i pomógł staruszkowi wstać. Długim latom pracy w cyrku Johnny zawdzięczał swoją niesłychaną wprawę w posługiwaniu się niecenzuralnym słownictwem; chwając się na nogach, puszczał wiązankę za wiązanką dając upust furii.

- Kto cię tak urządził? - spytał Wrinfeld.

- Nie wiem, szefie. Pojęcia nie mam. Nic nie widziałem, nic nie słyszałem. - Johnny delikatnie pomacał sobie kark - ktoś mnie porządnie rąbnął.

Wrinfeld obejrzał chudy kark staruszka. Widniał na nim potężny siniak, ale żadnych ran, na szczęście, nie było. Wrinfeld otoczył ramieniem wątłe barki Johnny'ego.

- Rzeczywiście. Chodźmy do mojego biura; usiądziesz, odpoczniesz. Na pewno mam tam coś, co postawi cię na nogi. A potem zawiadomimy policję.

Byli w połowie drogi do biura, kiedy Johnny nagle zeszywniał i, opierając się prowadzącemu go Wrinfeldowi, powiedział dziwnie chropawym i napiętym głosem:

- Chyba musimy zawiadomić gliny o czymś poważniejszym, szefie.

Wrinfeld spojrział na niego pytająco, po czym powiódł oczami za jego wzrokiem. W klatce z bengalskimi tygrysami leżały zmasakrowane ludzkie szczątki. Tylko po kilku strzępach odzieży z żalonymi resztkami baretok udało mu się rozpoznać to, co zostało z pułkownika Fawcetta.

Wrinfeld z przerażeniem i zafascynowaniem patrzył na to, co się działo za oknem jego biura; choć do świtu było jeszcze daleko, artyści cyrkowi, policjanci i detektywi kręcili się po zapleczu, skrupulatnie zacierając wszelkie ślady, które mógł pozostawić morderca. Sanitariusze zawinęli w płachtę brezentu mizerne szczątki Fawcetta i umieścili na noszach. Nieco na uboczu stali razem Malthius, treser tygrysów, Neubauer, treser lwów, oraz Bruno; to oni weszli do klatki i wynieśli zakrwawione ochłapy. Wrinfeld skierował wzrok na admirała, do którego zadzwonił natychmiast po zawiadomieniu policji. Mimo że po przybyciu na miejsce admirał nikomu się nie przedstawił, żaden z policjantów nie próbował go zatrzymać, nikt go nie pytał, kim jest i czego tu szuka; widocznie ktoś wyższy szarżą wydał polecenie, żeby nie wchodziło mu w drogę.

- Na miłość boską, panie admirałe, kto mógł zrobić coś tak strasznego? - spytał Wrinfeld.

- Okropnie mi przykro, panie Wrinfeld. - Były to dość nietypowe słowa jak na admirała, któremu niezmiernie rzadko bywało przykro. - Proszę mi wierzyć. Żal mi Fawcetta, to jeden z moich najzdolniejszych i najbardziej zaufanych zastępców, a w dodatku wspaniały człowiek. I żal mi pana, naprawdę przykro mi, że wciągnąłem pana w tę całą obrzydliwą aferę. Pański cyrk mógłby się obejść bez takiej reklamy.

- Do diabła z reklamą! Ważne jest, kto to zrobił!

- I chyba trochę żal mi siebie. - Admirał wzruszył ciężko ramionami. - Pyta pan kto? Oczywiście ta sama osoba, lub osoby, które załatwiły Pilgrima. Kto dokładnie, nie mam pojęcia. Jedno jest pewne: morderca, bądź mordercy, wiedzieli, że Fawcett zjawi się tu, skoro wcześniej ogłuszyli strażnika. Miał staruszek szczęście, że jego też nie wrzucili do klatki. Sądzę, że Fawcetta zwabili telefonem. Wkrótce się dowiemy. Moi ludzie właśnie to sprawdzają.

- Co sprawdzają?

- Wszystkie rozmowy telefoniczne z naszą agencją, zarówno kiedy ktoś dzwoni do

nas, jak i kiedy my dzwoniemy do kogoś, są automatycznie nagrywane. Oczywiście, z wyjątkiem rozmów, które prowadzone są przez aparaty z przystawką kodującą. Myślę, że za kilka minut powinniśmy mieć nagranie. A teraz chciałbym porozmawiać z tymi trzema, którzy wynieśli zwłoki z klatki. Z każdym osobno. O ile się nie mylę, jednym z nich jest treser tygrysów. Jak się nazywa?

- Malthius. Ale... ale ufam mu całkowicie.

- Nie wątpię - rzekł admirał, siląc się na cierpliwość. - Sądzi pan, że zdołano by wyjaśnić jakkolwiek zbrodnię, gdyby przesłuchiowano tylko podejrzanych? Proszę po niego posłać.

Malthius, Bułgar o czarnych jak węgiel oczach i szczerzej twarzy, był wyraźnie zdenerwowany.

- Niech się pan tak nie przejmuje - powiedział łagodnie admirał.

- To moje tygrysy go zagryzły.

- Zagryzłyby każdego oprócz pana, prawda?

- Nie wiem. Gdyby ktoś leżał spokojnie, to chyba nie. - Zawahał się. - Wiele zależałoby od okoliczności. Co innego...

Admirał czekał cierpliwie.

- Co innego, gdyby ktoś je sprowokował - dokończył po chwili Malthius. - Albo gdyby...

- Tak?

- Albo gdyby poczuły krew.

- Jest pan pewien?

- Oczywiście, że jest pewien! - Ostry ton głosu Wrinfelda zaskoczył admirała, który nie wiedział, jak bardzo lojalny wobec swoich ludzi jest właściciel cyrku. - A co pan myśli? Karmimy je koniną i wołowiną, surowym mięsem pachnącym krwią! Nie mogą się doczekać pory karmienia; każdy rzucony im ochłap natychmiast rozszarpują zębami i pazurami. Czy widział pan kiedykolwiek tygrysy pożerające mięso?

Admirałowi stanął przed oczami obraz Fawcetta rozrywanego na strzępy przez drapieżne bestie; mimo woli przeszedł go dreszcz.

- Nie. I chyba nie chciałbym widzieć - rzekł, po czym zwrócił się do Malthiusa. - Więc kiedy wrzucono go do klatki, Fawcett jeszcze żył; mógł być nieprzytomny, ale w każdym razie żył, bo trupy nie krwawią. Pana zdaniem był ranny, tak?

- Przypuszczalnie tak. Chociaż teraz nie znajdzie się żadnych śladów.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Klatka była zamknięta na klucz od zewnątrz. Czy znajdując się w klatce, można przekręcić klucz?

- Nie. W środku jest rygiel. Ale nie był zasunięty.

- Po co i zamek, i rygiel? Czy to nie za dużo?

Po raz pierwszy odkąd wszedł do biura Malthius uśmiechnął się smutno.

- Jeśli chodzi o tygrysy, to nie. Kiedy chcę wejść do klatki, otwieram drzwi kluczem i zostawiam go w zamku. Po wejściu natychmiast zasuwam rygiel. Nie mogę ryzykować, że drzwi otworzą się same, albo że któryś z tygrysów pchnie je na oścież i wszystkie wydostaną się na zewnątrz, pomiędzy ludzi. - Na jego twarzy znów pojawił się ten sam gorzki uśmiech.

- Mnie też to odpowiada. Gdyby nagle zrobiło się gorąco, mogę jednym ruchem odsunąć rygiel, wyskoczyć z klatki i zamknąć ją na klucz.

- Dziękuję. Czy zechciałby pan poprosić swojego przyjaciela...

- Heinricha Neubauera, tresera lwów?

- Tak. Z nim też chciałbym porozmawiać.

Malthius z ponurą miną wyszedł z biura.

- Co on taki przygnębiony? - spytał admirał Wrinfelda.

- A pan by nie był na jego miejscu? - głos Wrinfelda znów stał się niespodziewanie

szorstki. - Po pierwsze czuje się osobiście odpowiedzialny za to, co się stało, a po drugie jego tygrysy po raz pierwszy skosztowały ludzkiego mięsa. A jeśli przypadło im do gustu? Jego też mogą pożreć.

- Nie pomyślałem o tym.

Admirał zadał Neubauerowi kilka nieistotnych, rutynowych pytań, po czym poprosił go, żeby wezwał Bruna.

- Właściwie tylko z panem chciałem się widzieć - oznajmił, kiedy linoskoczek wszedł do środka. - Z tamtymi rozmawiałem po to, żeby nie wzbudzić niczyich podejrzeń. Obserwują nas i pracownicy cyrku i policja. Niektórzy policjanci sądzą, że jestem jakimś nadkomisarzem policji, inni - nie wiadomo czemu - że jestem z Fbi. Ale mówię o tym tak na marginesie. Stała się okropna rzecz, Bruno. Okropna. Wygląda na to, że biedny Fawcett miał rację; nie cofną się przed niczym, żeby przekonać się, jak bardzo zależy nam na tym, aby cyrk pojechał do Krau. I osiągnęli swoje. Diabli wiedzą, do czego jeszcze są zdolni. Nie mam prawa, nikt nie ma prawa żądać od was, abyście dalej brali udział w tej całej makabrycznej aferze. Patriotyzm też ma swoje granice; cena, jaką Pilgrim i Fawcett zapłacili, jest zbyt wysoka. Czujcie się, panowie, zwolnieni z wszelkich podjętych zobowiązań.

- Mów pan za siebie - warknął Wrinfeld tym samym ostrym tonem, co poprzednio; każdy cios w jego ukochany cyrk był osobistą zniewagą i działał na niego jak płachta na byka. - Zginęło dwóch dzielnych ludzi. Czy ich śmierć ma iść na marne? Jadę do Europy.

Admirał zamrugał oczami i spojrzał na Bruna.

- A pan? - spytał. Bruno nie odpowiedział, tylko popatrzył na niego z pogardą. - Hm. - Admirał stropił się na moment. - już myślałem, że z wyjazdu nici. Ale jeśli jesteście gotowi ponieść ryzyko, ja jestem gotów przyjąć waszą ofiarność. Bardzo to egoistyczne z mojej strony, ale ogromnie nam zależy na tych obliczeniach. Panowie, nie będę wam dziękował, słów bym na to nie znalazł, ale przynajmniej postaram się, żebyście mieli pełną ochronę. Przydzielę wam pięciu moich najlepszych ludzi; może jako dziennikarzy towarzyszących cyrkowi? Kiedy już będziecie na statku...

- Jeśli przydzielili nam pan kogokolwiek, nie pojedziemy - przerwał mu cicho Bruno. - Przynajmniej ja nie pojedę. A z tego, co się orientuję, choć oczywiście nie znam szczegółów, beze mnie tournée nie ma sensu. Zgadzam się na udział doktora Harpera, bo polecił go nam człowiek, który sam zginął; trudno o lepszą rekomendację. Ale jeśli chodzi o innych... kto według pana zabił Pilgrima i Fawcetta? Może bez przydzielonej ochrony będziemy mieli jakieś szanse.

Bruno odwrócił się na pięcie i wyszedł z biura. Admirał patrzył za nim z bolesnym wyrazem twarzy; zdarzyło się coś, co szefowi CIA przytrafiało się niezmiernie rzadko: zabrakło mu słów. Z chwilowej opresji wybawiło go pojawienie się sierżanta policji z czarnym pudełkiem w ręce. Wrinfeld od razu domyślił się, że policyjny mundur nie należy do mężczyzny, który ma go na sobie. I że to admirał kazał mu go włożyć, żeby nie rzucał się w oczy.

- Nagranie? - zapytał admirał. Sierżant skinął głową. - Możemy przesłuchać je w pańskim biurze?

- Oczywiście. Proszę czuć się jak u siebie - odparł Wrinfeld.

- Miałem na myśli pańskie drugie biuro. Tu się kręci zbyt wiele osób.

Kiedy drzwi przedziału zamknęły się za nimi, sierżant wyjął z czarnego pudełka magnetofon. - Co pan spodziewa się usłyszeć? - spytał Wrinfeld admirała.

- Pana.

Właściciel cyrku wybałuszył oczy.

- A raczej kogoś umiejętnie naśladowącego albo pański głos, albo głos Bruna. Fawcett znał w cyrku jedynie was; nie przyjechałby, gdyby dzwonił ktoś inny...

Sierżant włączył magnetofon.

- To miałem być ja - oznajmił spokojnie Wrinfild, kiedy nagranie dobiegło końca. -
Możemy posłuchać jeszcze raz?

Sierzant przewinął taśmę i puścił ją ponownie.

- To nie jest mój głos - stwierdził autorytatywnie Wrinfild. - Chyba nie ma pan wątpliwości? - Mój drogi panie, wcale nie sądziłem, że to będzie pański głos. I nie mam wątpliwości. Teraz już nie mam. Za pierwszym razem nie byłem pewien. Kiedy ktoś jest zdenerwowany i mówi bardzo szybko, jego głos zmienia się. Prosta metoda, to przykryć mikrofon kawałkiem jedwabiu. Nie dziwię się, że biedny Fawcett dał się nabrać, zwłaszcza, że sam też miał zszargane nerwy tą historią z Pilgrimem. Głos jest nieźle podrobiony. -
Admirał na moment się zawahał, po czym spojrzał w zamyśleniu na Wrinfilda. - O ile mi wiadomo, nie rozmawiał pan z nikim z moich ludzi oprócz Pilgrima i Fawcetta, prawda? Wrinfild skinął głową. - A ten, kto dzwonił, musiał dobrze znać pański głos, żeby naśladować go tak udatnie. - Bzdura! Jeśli sugeruje pan...

- Tak, dokładnie to sugeruję. Niestety. Do jasnej cholery, jeśli są wtyczki w CIA, tym bardziej mogą być w pańskim cyrku! U mnie pracują przynajmniej sami Amerykanie, a u pana ludzie dwudziestu pięciu różnych narodowości! - Każdy obcy wywiad chce mieć wtyczki w CIA, a komu mogłoby zależeć na infiltracji zwykłego cyrku?

- Nikomu. Ale w oczach naszych wrogów nie jesteście już zwykłym cyrkiem, lecz agendą CIA. To dostateczny powód, żeby was infiltrować. Niech pan nie pozwoli, żeby lojalność wobec pracowników odebrała panu zdolność trzeźwego myślenia. Jeszcze raz przesłuchajmy taśmę. Tym razem niech pan nie koncentruje się na podobieństwie do własnego głosu, tylko próbuje rozpoznać dzwoniącego. Sądzę, że zna pan głosy wszystkich swoich pracowników. Już teraz możemy zawęzić pole poszukiwań, bo większość pańskich ludzi to cudzoziemcy mówiący po angielsku z wyraźnym obcym akcentem. A do Fawcetta zadzwonił ktoś, dla kogo angielski jest językiem ojczystym, prawdopodobnie Amerykanin, choć tego nie mogę być jeszcze całkiem pewien.

Przesłuchali nagranie cztery razy. W końcu Wrinfild pokręcił głową.

- Nic z tego. Głos jest za bardzo zniekształcony.

- Dziękuję sierzancie, może pan odejść.

Sierzant schował magnetofon do pudełka i wyszedł. Admirał przez chwilę chodził po przedziale - trzy kroki w każdą stronę - po czym pokiwał głową, niechętnie godząc się z własną oceną sytuacji.

- Ładna para kaloszy, nie ma co - powiedział. - Wtyczki u mnie, wtyczki u pana.

- Jest pan tego bardzo pewien.

- Jestem pewien jednego; każdy z moich ludzi wolałby zrezygnować z renty niż otworzyć drzwi klatki z tygrysami.

Po chwili Wrinfild też pokiwał głową, i też bez entuzjazmu.

- Fakt. Sam powinienem był na to wpaść.

- Drobiazg. Ale co zrobimy teraz. Daję głowę, że śledzą każdy pański ruch. - Przez moment milczał z ponurą miną. - Choć moja głowa niewiele będzie warta, kiedy skończy się ta cała afera.

- Myślałem, żeśmy to ustalili. - Głos Wrinfilda ponownie przybrał znajomy już ostry ton. - Słyszał pan, co powiedziałem w cyrku. I co powiedział Bruno. Jedziemy.

Admirał przyjrzał mu się uważnie.

- Wczoraj wieczorem nie był pan aż tak zdecydowany.

- Chyba pan nie do końca rozumie - powiedział cierpliwie Wrinfild. - Cyrk jest moim życiem, całym moim życiem. Kto krzywdzi mnie, krzywdzi cyrk. I odwrotnie. A poza tym, mamy jeszcze asa w rękawie.

- Jakiego asa?

- Bruna. Nikt nie wie, że współpracuje z panem.

- Tak, to ważne. I chcę, żeby tak pozostało. Dlatego właśnie zależy mi na tym, żeby przyjął pan do pracy naszą agentkę. Nazywa się Maria Hopkins. Wprowadzić słabo ją znam, ale doktor Harper twierdzi, że jest świetna, a poza tym w pełni godna zaufania. Zakocha się w Brunie, a on w niej. Nikt się temu nie będzie dziwił. - Admirał uśmiechnął się smutno. - Gdybym był dwadzieścia lat młodszy... To bardzo piękna dziewczyna. W każdym razie pracując w cyrku będzie mogła kontaktować się z Brunem, z panem, z doktorem Harperem i - do czasu waszego wyjazdu - ze mną, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. Może zatrudni pan ją jako amazonkę? To pomysł Fawcetta.

- Wykluczone. Może ta dziewczyna myśli, że jest dobra, może rzeczywiście jest dobra, ale cyrk to nie miejsce dla amatorów. Co więcej, każdy z moich ludzi od razu pozna, że brak jej wyszkolenia cyrkowego, a to tylko niepotrzebnie ściągnie na nią uwagę.

- Ma pan lepszy pomysł?

- Tak. Zastanawiałem się nad tym po wyjściu z tego okropnego burdelu, do którego zabrał nas Fawcett. Zresztą, nie musiałem myśleć długo. Moja sekretarka bierze ślub za kilka tygodni; wychodzi za jakiegoś dziwaka, który nie lubi cyrku. Więc musi się z nami rozstać. Wszyscy o tym wiedzą. Zatrudnię Marię na jej miejsce. Będzie miała doskonały pretekst, żeby ciągle się ze mną kontaktować, a na moje polecenie także z doktorem i z Brunem.

- Znakomicie. Chciałbym również, żeby umieścił pan w jutrzejszej prasie duże ogłoszenie, że pański cyrk poszukuje lekarza na czas europejskiego tournée. Wiem, że na ogół nie załatwia się tego w ten sposób, że są inne metody, musimy jednak stworzyć wrażenie, że wybór lekarza był sprawą przypadku. Zapewne otrzyma pan sporo ofert; podróż po Europie to gratka dla kogoś świeżo po studiach, ale oczywiście wybierze pan doktora Harpera. Nie praktykował od lat, więc w sytuacji przymusowej najwyżej będzie umiał podać komuś aspirynę; na więcej nie możecie liczyć. Ale to nieistotne. Ważne jest, że to jeden z naszych najlepszych agentów.

- To samo słyszałem na temat Pilgrima i Fawcetta.

Admirał machnął z rozdrażnieniem ręką.

- Nieszczęścia chodzą parami. Teraz karta powinna się odwrócić. Pilgrim i Fawcett wiedzieli, że ich praca wiąże się z ryzykiem. Harper też zdaje sobie z tego sprawę. Przynajmniej nie ciąży na nim żadne podejrzenia, bo dotąd nie miał kontaktów z pańskim cyrkiem.

- Czy nie przyszło panu do głowy, że wróg może dowiedzieć się, że to pański pracownik?

- A czy ja pana uczę, jak kierować cyrkiem?

- Przepraszam. Należało mi się.

- Nie przeczę. Ale po pierwsze, nie ma powodu, żeby go w ogóle sprawdzali; przecież nie będą sprawdzać wszystkich stu iluś pracowników cyrku. Po drugie, pracuje w Belvedere, znakomitym szpitalu, i właśnie wkrótce rozpoczyna dłuższy urlop; dlaczego nie miałby się przejechać do Europy na cudzy koszt? Na pewno będzie przewyższał kwalifikacjami i doświadczeniem wszystkich pozostałych kandydatów. Jego wybór będzie sprawą oczywistą. Każdy dyrektor by się ucieszył z tak świetnego fachowca.

- Ale powiedział pan, że Harper nie praktykuje od lat!

- Jest ordynatorem w Belvedere. Mamy tam swój oddział.

- Boże, gdzie was nie ma!

- Staramy się być wszędzie. Jak szybko może pan wyjechać?

- Wyjechać?

- Do Europy.

- Mamy kilka wstępnych terminów wyjazdu i kilka wersji trasy. Nie będzie z tym problemu. Czekają nas jeszcze trzy dni występów w Waszyngtonie, a potem trzy dni na Wschodnim Wybrzeżu.

- Proszę odwołać Wschodnie Wybrzeże.
- Odwołać? Nigdy tego nie robimy! Wszystko zostało dawno umówione, zarezerwowano hale, umieszczono reklamy, sprzedano tysiące biletów...

- Otrzyma pan iście królewską rekompensatę, panie Wrinfeld. Proszę tylko wymienić sumę; jutro przelejem ją na pańskie konto.

Wrinfeld nie należał do ludzi, którym zdarza się płakać, ale teraz miał taką minę, jakby był bliski łez.

- Ależ występujemy w tych miastach co roku! Mamy stałą widownię, której nie możemy zawieść!

- Niech pan podwoi sumę, którą zamierzał pan wymienić. Ale proszę odwołać występy. Za tydzień odpływacie z Nowego Jorku. Kiedy zatrudni pan Harpera, on zajmie się szczepieniami. Gdyby były kłopoty z wizami, pomożemy. Choć nie spodziewam się problemów z żadną ambasadą czy konsulem państw Europy Wschodniej; bardzo im zależy na przyjeździe cyrku. Wpadnę dziś wieczorem na przedstawienie. Czarująca panna Hopkins zjawi się również, ale nie ze mną. Niech ktoś się nią zajmie, dobrze? Tylko proszę nie robić tego osobiście.

- Może mój bratanek. To bystry...

- W porządku. Ale proszę go w nic nie wtajemniczać. Niech ją po prostu oprowadzi po terenie, żeby dziewczyna poznała kulisy swojej nowej pracy. I niech jej przedstawi waszych czołowych artystów, w tym oczywiście Bruna. Proszę uprzedzić Bruna, jak rzeczy się mają.

Rzadko kiedy bratanek jest tak podobny do stryja jak Henry Wrinfeld był podobny do Tesco Wrinfelda; wyglądał raczej na jego syna, choć rzeczywiście był tylko bratankiem. Miał identyczne ciemne oczy, taką samą szczupłą, inteligentną twarz, i jeśli nawet nie posiadał równie tęgiego umysłu, na pewno był bystrym i rzutkim młodzieńcem, dla którego oprowadzenie Marii Hopkins po zapleczu cyrku nie stanowiło wyzwania nad siły. Oprowadzał ją przez ponad godzinę, i przez ponad godzinę ani razu nie pomyślał o swojej narzeczonej, paniencie z dobrego domu, studiującej na jednym z najlepszych uniwersytetów, a kiedy w końcu sobie o niej przypomniał, nie poczuł żadnych wyrzutów sumienia, choć zwykle myślał o niej przynajmniej raz na dziesięć minut. Zresztą tylko nieuleczalny mizogin mógłby mieć powód do narzekań, gdyby mu powierzono misję zajęcia się panną Hopkins. Drobną, lecz bynajmniej niecierpiącą na niedożywienie, o długich ciemnych włosach i wielkich piwnych oczach, miała cudowny, zaraźliwy śmiech i pogodne usposobienie. Różniła się diametralnie od stereotypu pracownika CIA i może między innymi, dlatego doktor Harper tak wysoko ją cenił. Henry, który oprowadzając dziewczynę, niepotrzebnie trzymał ją pod rękę, pokazał jej zwierzęta spętane przy słupach, lub zamknięte w klatkach, po czym przedstawił ją Malthiusowi i Neubauerowi; czekając na występy, obaj treserzy zajmowali się doskonaleniem umiejętności swoich kotów. Malthius, czarujący, pełen wdzięku, życzył jej miłego pobytu; Neubauer, choć dość uprzejmy, nie umiał być czarujący i nie życzył jej nic. Następnie Henry zaprowadził dziewczynę na teren lunaparku, gdzie rozbrzmiewała hałaśliwa muzyka. Potężny Kan Dahn, z łatwością wywijający ogromną sztangą, wyglądał niezwykle imponująco; ująwszy ostrożnie drobną dłoń Marii w swoje wielkie łapsko, uśmiechnął się szeroko, oznajmiając, że jest ona najlepszym nabytkiem cyrku, odkąd przed laty zatrudniono jego. Zachowywał się bardzo serdecznie, wręcz wylewnie. Siłaczowi zawsze zresztą dopisywał humor, choć nikt nie miał pojęcia, czy wynika to z jego wesołego usposobienia, czy ze świadomości, że wobec nikogo nie musi być gburowaty, bo jego wygląd działa dostatecznie otęzewiająco nawet na najgorszych zbirów. Manuelo, meksykański mistrz noża, stał za kontuarem jednej z bud, z wyrozumiałością obserwując młodych i niemłodych klientów ciskających w ruchome tarcze nożami o specjalnie stępionych ostrzach. Co pewien czas wychodził zza kontuaru i, rzucając noże obiema rękami naraz, błyskawicznie strącał

sześć tarcz, żeby zademonstrować klientom, iż to naprawdę nic trudnego. Powitał Marię z szarmancją południowca, zapewniając ją, że tak długo jak pozostanie w cyrku, zawsze będzie do jej usług. Pracujący kilka kroków dalej Ron Roebuck przywitał ją z powagą, ale też serdecznie; kiedy już odchodziła, zobaczyła ze zdumieniem i radością, że spada na nią migocząca, rozdygotana pętla białej liny. Sznur dotknął ziemi, po czym wzniósł się w górę i znikł, nie muskając nawet sukienki dziewczyny. Maria obejrzała się i uśmiechnęła szeroko do Roebucka; na jego poważnej dotąd twarzy również pojawił się uśmiech.

Bruno wyszedł przed swój składany teatrzyk, akurat, kiedy Henry i Maria zbliżali się do niego. Miał na sobie szatę chińskiego mandaryna, która tak skutecznie kryła jego doskonale umięśnione ciało. Henry dokonał prezentacji i Bruno uważnie zmierzył dziewczynę wzrokiem. Jak zwykle, trudno było odgadnąć, co myśli, ale potem stało się coś niezwykłego: uśmiechnął się i jego twarz jakby uległa przeobrażeniu.

- Witam w cyrku - rzekł. - Mam nadzieję, że spodoba się pani u nas.

- Dziękuję. - Odwzajemniła się uśmiechem. - To dla mnie zaszczyt. Pan jest... gwiazdą tego cyrku, prawda?

Bruno wskazał na niebo.

- Gwiazdy są tam, panno Hopkins. A my jesteśmy tylko artystami. Każdy robi co potrafi. Niektórzy z nas jedynie mają szczęście, że ich popisy są bardziej ekscytujące od innych, to wszystko. Niestety, czas na mnie.

Maria odprowadziła go wzrokiem.

- Spodziewała się pani, że będzie trochę inny? - spytał z rozbawieniem Henry.

- Tak, rzeczywiście.

- Jest pani zawiedziona?

- Troszkę.

- Wieczorem zmieni pani zdanie. Popisy Bruna dosłownie zapierają dech.

- Czy to prawda, że podczas występów wszyscy trzej mają związane oczy? Że nie nie widzą?

- Tak, to prawda. Nie ma w tym żadnej lipy. Bruno dyryguje tą rodzinną orkiestrą. On nadaje tempo, on łapie. Zresztą, może wszyscy trzej mają dar telepatii, nie wiem. Chyba nikt nie wie, oprócz nich samych, oczywiście. Ale oni milczą jak zakłęci.

- Może chodzi o coś innego. - Wskazała na napis WIELKI MAG biegnący nad wejściem do teatrzyku. - Podobno Bruno nie tylko ma fotograficzną pamięć, ale umie czytać cudze myśli? - Tak. Mam nadzieję, że nie wyczytał przed chwilą, jak bardzo nie przypadł pani do gustu.

- Niech pan nie żartuje ze mnie! Podobno umie też czytać listy w zalakowanych kopertach. Jeśli widzi przez papier, to dlaczego miałby nie widzieć przez opaskę?

Henry popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Panno Hopkins, jest pani nie tylko ładna, ale i bystra. Nigdy dotąd nie przyszło mi to do głowy. - Zadumał się, ale po chwili dał za wygraną. - Chodźmy zająć miejsca, wkrótce rozpocznie się spektakl. To co, podoba się pani nasz cyrk?

- Bardzo.

- A najbardziej?

- To, że wszyscy są tacy mili i uprzejmi.

Henry uśmiechnął się.

- Większość z nas zesła z drzew już wiele lat temu - oznajmił.

Ujął ją pod ramię i wprowadził do budynku. Czuł się jak w siódmym niebie; o narzeczonej całkiem zapomniał, nie towarzyszyła mu nawet w postaci chmurki.

Na terenie cyrku znajdowała się jedna osoba, która nie była ani miła, ani uprzejma, lecz admirał po pierwsze nie zaliczał się do pracowników cyrku, a po drugie nie znosił, kiedy coś stawało mu na drodze. W dodatku miał za sobą długi i męczący dzień, więc nic

dziwnego, że był w podłym humorze.

- Chyba mnie pan nie zrozumiał - rzekł, ledwo hamując irytację.

- Pan mnie również. - Ponieważ przy tylnym wejściu do cyrku paliła się tylko jedna słaba lampa, a na zewnątrz było ciemno i mżyście, nocny stróż Johnny, który nie miał już tak dobrego wzroku jak dawniej, nie poznał admirała. - Wejście dla widzów jest z drugiej strony. Jazda stąd!

- Jesteście aresztowani! - ryknął bez ceregieli admirał, po czym odwracając się do barczystej postaci stojącej za nim, polecił:

- Odprowadźcie go natychmiast na najbliższy komisariat. Niech go zamkną za przeszkadzanie w pracy policji!

- Spokojnie, spokojnie. - Ton Johnny'ego zmienił się w jednej chwili. - Nie ma potrzeby... Wyszedł za próg i zadzierając głowę, popatrzył admirałowi w twarz. - Czy ja pana nie widziałem tu dziś rano, kiedy mieliśmy ten kłopotek?

- Jeśli nazywa pan "kłopotkiem" morderstwo, to owszem. Proszę mnie natychmiast zaprowadzić do Wrinfelda!

- Nie mogę. Moim obowiązkiem jest pilnowanie drzwi.

- Pan się nazywa Johnny, prawda? A więc, Johnny, jeśli chce pan w przyszłości pełnić tu jeszcze jakiegokolwiek obowiązki... - Admirał groźnie zawiesił głos.

Johnny czym prędzej zaprowadził go do Wrinfelda. Rozmowa admirała z dyrektorem trwała krótko.

- Możecie ruszać w każdej chwili - oznajmił admirał. - Z wizami wszystko załatwione.

- W jeden dzień? Mimo że mam w cyrku artystów dwudziestu pięciu narodowości?

- A ja mam czterystu pracowników. I jeśli się im dobrze przyjrzyć, to przynajmniej w oczach niektórych można dostrzec iskielki inteligencji; słabe, bo słabe, ale zawsze. Doktor Harper zjawi się u pana jutro o dziesiątej rano. Proszę być u siebie w biurze, dobrze? On się wszystkim zajmie. Co się tyczy morderstw Pilgrima i Fawcetta, ani moi agenci, ani policja nic dotąd nie wykryli. I nie sądzę, żeby im się udało coś znaleźć. Chyba, że będą jakieś dalsze wypadki.

- Jakie wypadki?

- Nie wiem. Raczej dość drastyczne. Napędziłem lekkiego stracha Johnny'emu, pańskiemu stróżowi. Uparty starzec! Jest zadziorny i trochę tępawy, ale chyba godny zaufania.

- Powierzyłbym mu własne życie.

- Widzę, że mniej je pan ceni, niż ja swoje. Wyzaczyłem sześciu ludzi do pilnowania w nocy waszego pociągu. Nie są z mojej organizacji, więc proszę się nie obawiać. Będą pełnić służbę aż do waszego wyjazdu, który nastąpi za pięć dni.

- Czy rzeczywiście potrzebni nam są wartownicy? Nie podoba mi się ten pomysł.

- Jest mi to najzupełniej obojętne. - Admirał uśmiechnął się mimo znużenia, żeby złagodzić treść swoich słów. - Od chwili, kiedy zgodził się pan na współpracę, podlega pan moim rozkazom. Chodzi o bezpieczeństwo. I zależy mi na tym, żeby Johnny nie przeszkadzał moim ludziom.

- Czyje bezpieczeństwo ma pan na myśli?

- Bruna, Marii, Harpera... i pańskie.

- Moje? Uważa pan, że coś mi grozi?

- Jeśli mam być szczerzy, to panu akurat nie, choćby z tego względu, że gdyby panu coś się przytrafiło, tournée zostałoby odwołane, a naszym przeciwnikom nie byłoby to na rękę. Ale wolę nie ryzykować.

- Sądzi pan, że ci pańscy wartownicy zdołają zapewnić nam bezpieczeństwo?

- Owszem. - W tak żywej społeczności jak ta, wieści rozchodzą się szybko; w ciągu

godziny każdy będzie wiedział, że pociąg jest pod nadzorem. Proszę powiedzieć ludziom, że do policji dotarły pogroźki skierowane przeciwko bliżej nieokreślonym osobom z pańskiego zespołu. Jeśli wśród artystów faktycznie jest jakaś wtyczka, wystraszy się i będzie siedzieć cicho jak trusia.

- Nieźle pomyślane.

- Pilgrimowi i Fawcettowi też by się spodobało - rzekł sucho admirał. - Czy Bruno i Maria już się poznali?

Wrinfield skinął głową.

- Jakie reakcje?

- W wypadku Bruna, trudno ocenić. On nigdy nie daje nic po sobie poznać. A jeśli chodzi o Marię, z tego co mi mówił Henry, Bruno specjalnie jej nie oszołomił.

- Czyli była trochę zawiedziona?

- Chyba tak.

- Ogląda teraz spektakl?

- Tak. Z Henrym.

- Ciekawe, czy wciąż czuje się zawiedziona.

- Wciąż czuje się pani zawiedziona? - spytał Henry.

On sam był oczarowany, nie tyle występami, co swoją towarzyszką; ani na moment nie odrywał od niej oczu. Maria nie odpowiedziała od razu. Podobnie jak pozostałych dziesięć tysięcy widzów, patrzyła jak zahipnotyzowana na nieprawdopodobne, wręcz samobójcze popisy Orłów Ciemności. Kiedy skończyli, z ulgą wypuściła z płuc długo wstrzymywane powietrze.

- Nie wierzę - szepnęła. - Nie wierzę własnym oczom.

- Ja też nie, a przecież widziałem ich popisy ze sto razy. Pierwsze wrażenia bywają mylne, prawda?

- I to jak!

Pół godziny później, kiedy kręciła się z Henrym za kulisami, Bruno wyłonił się ze swojej garderoby, przebrany w zwykłe ubranie. Znowu był normalnym, niespecjalnie imponującym człowiekiem. Na widok dziewczyny zatrzymał się i uśmiechnął.

- Widziałem panią podczas występu - rzekł.

- Mimo opaski?

- Nie, później. Kiedy jeździłem na rowerze po linie.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Podczas tak trudnego numeru ma pan jeszcze czas rozglądać się po widowni?

- Muszę coś zrobić, żeby się nie nudzić - powiedział z udaną brawurą. - To co, podobał się pani spektakl?

Kiedy skinęła głową, znowu się uśmiechnął.

- Występy Orłów Ciemności także? Wstyd się przyznać, ale my, artyści, jesteśmy łąsi na komplementy.

Spojrzała na niego z poważną miną i wskazała w górę.

- Gwiazda spadła z nieba - powiedziała, po czym odwróciła się i odeszła.

Bruno zmarszczył lekko brwi, nie wiadomo, czy zaintrygowany, czy rozbawiony.

Doktor Harper, mimo braków w praktyce, wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać znakomity lekarz, kiedy nazajutrz rano punktualnie o dziesiątej zjawił się w biurze dyrektora cyrku. Musiał jednak czekać ponad pół godziny, albowiem Wrinfield - dla zachowania pozorów - odbywał kolejno rozmowy z innymi kandydatami, którzy stawili się sporo wcześniej. Wrinfield był sam w biurze, kiedy doktor Harper zastukał i wszedł.

- Dzień dobry. Nazywam się Harper - przedstawił się.

Wrinfield popatrzył na niego zdumiony; już otwierał usta, aby przypomnieć mu, że się przecież poznali, i to w takich okolicznościach, iż szybko go nie zapomni, bo nad zwłokami Pilgrima, kiedy Harper wsunął mu do ręki wcześniej przygotowaną kartkę: "W biurze może być podsłuch. Proszę rozmawiać ze mną tak, jak z każdym innym kandydatem".

- Dzień dobry. - Wrinfield nawet nie mrugnął okiem. - Jestem Wrinfield, właściciel i dyrektor cyrku.

Całkiem płynnie zaczął zadawać pytania; Harper słuchał, odpowiadał, a w końcu usiadł i coś napisał na kartce, którą podał Wrinfieldowi. "Wystarczy. Teraz proszę przyjąć mnie do pracy. Niech pan jeszcze spyta o moje najbliższe plany, a potem zaproponuje mi obejrzenie terenu".

- No dobrze, chyba dowiedziałem się dosyć - oznajmił zaraz Wrinfield. - Mam zbyt mało czasu, żeby godzinami podejmować decyzję. Przyjmuję pana. Prawdę mówiąc, kiedy muszę wybierać między doświadczonym specjalistą i kimś świeżo po studiach, a tacy byli pozostali kandydaci, to wybór jest prosty. Oczywiście, byłbym naiwny sądząc, że zatrudni się pan u nas na stałe. Wziął pan dłuższy urlop ze szpitala?

- Tak. Dwanaście lat w Belvedere to szmat czasu; należy mi się kilkumiesięczny odpoczynek. - Kiedy będzie pan wolny, doktorze?

- Od zaraz.

- Znakomicie. A jakie są pana najbliższe plany?

- To zależy kiedy cyrk ma wyjechać na zagraniczne tournée.

- Prawdopodobnie za cztery, pięć dni.

- Zostało niewiele czasu. Po pierwsze, panie Wrinfield, potrzebne mi będzie pańskie upoważnienie na zakup niezbędnych leków. Potem proszę zebrać paszporty wszystkich, którzy wyjeżdżają; potrzebne będą do szczepień. Jak rozumiem, pański cyrk nigdy dotąd nie występował w Europie. Niestety, ze względu na szczepienia pańscy linoskoczkowie i inni akrobaci będą musieli nieco mniej się forsować przez następne dni.

- To się da załatwić. Najpierw jednak chciałbym, żeby rozejrzał się pan po cyrku. Może się okazać, że pan się rozmyśli po zobaczeniu, jak to wszystko wygląda.

Kiedy opuścili biuro, Wrinfield zaprowadził Harpera na sam środek areny; tam mogli rozmawiać bez obaw, że ktoś podsłuchuje. Przypuszczalnie było to najpewniejsze miejsce w zasięgu kilometra, ale mimo to Wrinfield pogmerał czubkiem buta w piachu, rozglądając się dyskretnie na boki, zanim się odezwał.

- Po co była ta cała szopka? - spytał.

- Przepraszam, istotnie wyglądało to jak z kiepskiego filmu szpiegowskiego. Na ogół staramy się unikać takich sytuacji; psują nam opinię. A przy okazji, moje gratulacje, spisał się pan na medal; byłby z pana as wywiadu. Ale rozmawiałem z admirałem tuż przed przyjściem do pana i obaj mieliśmy te same brzydkie podejrzenia.

- ŻE w moim gabinecie jest podsłuch?

- Tak. To by wiele wyjaśniało.

- Ale po co te kartki? Nie mógł pan po prostu zadzwonić i mnie uprzedzić?

Widząc uśmiech na twarzy Harpera Wrinfield postukał się palcem w czoło.

- Ale jestem głupi! Telefon też może być na podsłuchu, tak?

- Otóż to. Za kilka minut zjawi się u pana kolejny kandydat. Przedstawi się jako doktor Morley i będzie miał torbę lekarską, ale to nie lekarz, tylko nasz specjalista. Jego torba jest pełna najnowocześniejszego sprzętu do wykrywania podsłuchów. Wystarczy mu dziesięć minut, żeby sprawdzić, czy pańskie biuro jest czyste, czy nie.

Kiedy kwadrans później Wrinfield i Harper podeszli do biura, ze środka wyłonił się wysoki brunet z czarną torbą w ręce. Na wszelki wypadek, gdyby ktoś ich obserwował lub podsłuchiwał, przedstawił się Wrinfieldowi jako doktor Morley, kandydat na cyrkowego lekarza. Dyrektor poinformował go, że zatrudnił już doktora Harpera, po czym zaprosił ich

obu na kawę do kantyny. Usiedli przy stoliku w rogu sali.

- Znalazłem dwie pluskwy - oświadczył Morley. - Zminiaturyzowane nadajniki radiowe. Jeden w lampie na suficie, drugi w telefonie.

- Czyli znów mogą oddychać spokojnie - stwierdził Wrinfeld.

Ponieważ mężczyźni nie zareagowali, po chwili spytał niepewnie:

- Usunął je pan albo zniszczył, prawda?

- Absolutnie nie! - oburzył się Harper. - Zostały i pozostaną na miejscu, prawdopodobnie aż do naszego powrotu z Europy. Czy myśli pan, że chcemy, aby nasi przeciwnicy dowiedzieli się, że znaleźliśmy ich pluskwy? Nie! Przydadzą się, żeby wprowadzać wrogów w błąd i mieszać im szyki. Widać było, że Harper w duchu zaciera z radości ręce. - Od tej chwili będziemy omawiać w pańskim biurze tylko zwyczajne, cyrkowe sprawy. Chyba, że zadecyduję inaczej - oznajmił, uśmiechając się z rozmarzeniem.

W następnych dniach cztery tematy zdominowały wszystkie rozmowy artystów cyrkowych. Pierwszym była, oczywiście, podróż do Europy; jadących ogarnęło rosnące podniecenie graniczące z euforią, którego ze zrozumiałych względów nie podzielali nieszczęśliwcy mający spędzić najbliższe miesiące w zimowej siedzibie cyrku na Florydzie. Do Europy wybierało się dwie trzecie zespołu, akurat tyle, żeby cyrk mógł się zaprezentować w pełnej krasie. Jadący traktowali tournée jak wakacje, tym bardziej, że wiązało się z podróżą statkiem przez Atlantyk, i to w obie strony. Od momentu zejścia na ląd miały to być dość pracowite wakacje; niemniej wszystkim udzielił się iście wakacyjny nastrój. Połowę wybrańców stanowili Amerykanie, z których niewielu widziało świat, częściowo, dlatego, że nie stać ich było na podróż, a częściowo, dlatego, że sezon cyrkowy zwykle trwał tak długo, iż mieli zaledwie trzy tygodnie urlopu w roku, w dodatku w samym środku zimy; dla tych ludzi wyjazd zapowiadał się jako niepowtarzalna atrakcja. Drugą połowę stanowili głównie artyści z Europy, przeważnie zza żelaznej kurtyny; dla nich z kolei wyjazd był niepowtarzalną szansą odwiedzenia swoich krajów i spotkania bliskich.

Drugim tematem były wielce krytykowane czynności doktora Harpera i dwóch czasowo zatrudnionych przez niego pielęgniarek. Nikt nie darzył ich sympatią. Jako lekarz Harper był surowy i bezlitosny; kiedy chodziło o szczepienia, nikomu nie udało się prześlizgnąć przez sieci, jakie zarzucił, i żadne argumenty nie potrafiły go zmiękczyć. Artyści cyrkowi to ludzie znacznie bardziej wytrzymali i będący w znacznie lepszej kondycji fizycznej niż przeciętni przedstawiciele gatunku ludzkiego, odczuwają jednak równie głęboką niechęć do zastrzyków, nacięć i opuchniętych ramion, co inni. Wszyscy natomiast byli święcie przekonani, że mają w swoim gronie prawdziwego i sumiennego lekarza.

Trzecim tematem rozmów były tajemnicze wydarzenia, takie jak pojawienie się wartowników czuwających noc w noc nad bezpieczeństwem pociągu. Tak naprawdę to nikt nie wierzył, że ktoś lub coś może im zagrażać, ale z drugiej strony nie mieli żadnej pewności. Równie zagadkowe było pojawienie się dwóch ludzi podających się za elektryków, którzy mieli sprawdzić wszystkie przewody w pociągu. Prawie już kończyli pracę, kiedy komuś nagle przyszło do głowy, że może nie są tymi, za kogo się podają; zadzwoniono na policję, która faktycznie ich zatrzymała. Tylko Harper wiedział, że spędzili na posterunku zaledwie pięć minut; tyle wystarczyło, żeby mogli zatelefonować do admirała i uspokoić go, że w żadnym z przedziałów nie ma podsłuchów.

Ostatnim, lecz niewątpliwie najbardziej frapującym tematem, byli Bruno i Maria. Ku utrapieniu Henry'ego, któremu narzeczona całkiem uleciała z pamięci, nie tylko coraz częściej widywano ich razem, ale wyraźnie szukali swojego towarzystwa, i bynajmniej się z tym nie kryli. Jak należało oczekiwać, reakcje pozostałych członków zespołu były mieszane. Niektórych bawiło, że mur, jakim Bruno się dotąd otaczał, padł tak szybko. Część odczuwała zazdrość: mężczyźni - dlatego, że Bruno bez najmniejszego wysiłku zaskarbił sobie względy dziewczyny, która grzecznie, lecz stanowczo ignorowała zaloty innych, a kobiety, dlatego, że

Bruno, niewątpliwie najlepsza partia w całym cyrku, grzecznie, lecz stanowczo ignorował ich zakusy. Wiele osób cieszyło się, że nareszcie Bruno odżył; chociaż poza Kanem Dahnem, Manuelem i Roebuckiem nie miał w cyrku serdecznych przyjaciół, wszyscy wiedzieli, że od śmierci żony zamknął się w sobie, prowadząc samotne i ponure życie, w którym nie było miejsca dla żadnej kobiety. Większość zespołu uważała jednak za całkiem naturalne, wręcz nieuchronne, że bezsporna gwiazda cyrku i najpiękniejsza spośród wszystkich pracujących w nim pięknych dziewcząt mają się ku sobie.

Dopiero po ostatnim spektaklu, w ostatni dzień ich pobytu w Waszyngtonie, Bruno zaprosił nieśmiało dziewczynę do siebie, żeby pokazać jej, jak mieszka. Maria całkiem śmiało przyjęła zaproszenie. Poprowadził ją nierówną dróżką wzdłuż toru, a potem pomógł wspiąć się do wagonu po wysokich stopniach. Mieszkał w luksusowych warunkach: miał do swojej wyłącznej dyspozycji salon, kuchnię połączoną z jadalnią, sypialnię oraz łazienkę ze wspianą wanną wpuszczoną w podłogę. Maria była oszołomiona, kiedy wrócili do salonu.

- Znajomi twierdzą, że przyrządzam całkiem niezłe martini - rzekł Bruno. - Piję tylko wtedy, gdy kończymy występy w jakiejś miejscowości i wiem, że kilka najbliższych dni będę miał wolne. Alkohol i trapez nie idą w parze. Napijesz się ze mną?

- Chętnie. Muszę przyznać, że mieszkasz jak król. Szkoda, że nie masz żony, z którą mógłbyś dzielić te luksusy.

- Czy to oświadczyły? - spytał Bruno, sięgając po lód.

- Nie, nie. Ale to wszystko... tylko dla jednej osoby...

- Pan Wrinfeld jest wobec mnie bardzo szczodry.

- Nie ma obawy, nie pójdzie przez ciebie z torbami - oświadczyła sucho. - Czy jeszcze ktoś mieszka w tak znakomitych warunkach?

- Nie oglądałem całego pociągu, więc...

- Bruno!

- Nie. Nikt.

- No właśnie. Ja na pewno nie. Moje całe lokum to jakby przewrócona na bok budka telefoniczna. Ale nic dziwnego, istnieje wielka przepaść między sekretarką zatrudnioną na próbę, a gwiazdą.

- Oczywiście.

- Skromny to ty nie jesteś. Sama nie wiem, co o tym myśleć.

- Pokuśnij się ze mną na trapezie. Z zawiązanymi oczami. Wtedy będziesz wiedziała. Wzdrygnęła się na tę myśl, bynajmniej nie dla żartu.

- Kręci mi się w głowie nawet jak stoję na krześle. Serio, już dobrze, mieszkać sobie w tym pałacu. Przynajmniej zakosztuję trochę luksusu, jak cię będę odwiedzać. Podał jej przyrządzonego drinka.

- Zawsze będziesz mile widzianym gościem.

- Dziękuję. - Podniosła szklankę. - Za nasze pierwsze sam na sam. Mamy udawać, że zakochujemy się w sobie. Jak sądzisz, co o nas myśłą?

- Nie wiem, co myślą inni. Ale uważam, że z zadania wywiążuję się na medal.

Maria wydeła wargi. Widząc to, dodał szybko:

- To znaczy, oboje wywiążujemy się na medal. Wszyscy są przekonani, że coś nas łączy. Pewnie ze sto osób wie, że jesteś teraz u mnie. Nie powinnaś zarumienić się ze wstydu?

- Nie.

- Fakt, to zapomniana sztuka. Słuchaj, nie wierzę, że przyszłaś tu tylko dla moich pięknych oczu. Masz mi coś do przekazania?

- Właściwie nie. Przyszłam, bo mnie zaprosiłeś. Czyżbyś zapomniał? - Uśmiechnęła się. - Swoją drogą, co cię do tego skłoniło?

- Musimy dbać o pozory.

Uśmiech znikł jej z twarzy i odstawiła szklanę. Bruno szybko wyciągnął rękę i pogłaskał ją po dłoni.

- Mario, nie zachowuj się jak głupia gąska!

Spojrzała na niego niepewnie, uśmiechnęła się trochę sztucznie i znów podniosła szklanę.

- Powiedz mi, Mario, co mam robić, kiedy dotrzemy do Krau? Na czym polega moja rola?

- Tylko doktor Harper wie, a na razie nie puszcza pary z ust. Myślę, że wyjaśni nam wszystko albo na statku, albo, kiedy już dopłyniemy do Europy. Dziś rano powiedział mi dwie rzeczy... - Podejrzywałem, że masz mi coś do przekazania.

- Tak. Chciałam się chwilę z tobą podroczyć, ale niezbyt mi to wyszło, co? Chodzi o tych dwóch elektryków, którzy sprawdzali pociąg. To byli nasi ludzie, spece od podsłuchu; szukali pluskw. Głównie interesowali się twoim przedziałem.

- Pluskwy? U mnie? Bez przesady!

- Nie bądź taki pewien siebie. Bo druga rzecz, o której powiedział mi Harper, to, że w biurze pana Wrinfelda znaleziono dwie: jedną w lampie, drugą w telefonie. I co, bez przesady? Kiedy Bruno nie odpowiedział, ciągnęła dalej:

- Zostawili je na miejscu. Pan Wrinfeld, zgodnie z sugestią doktora, kilka razy dziennie dzwoni do admirała i w zawołany sposób napomyka mu o różnych członkach zespołu. O nas oczywiście nie mówi nic. W każdym razie gdyby oni, kimkolwiek są, chcieli sprawdzić wszystkich, których Wrinfeld wymienia przez telefon, nie mieliby czasu zajmować się nikim innym. A więc także i nami.

- Chyba pogłupieli! - zawyrokował Bruno. - I wcale nie mam na myśli naszych wrogów, tylko Wrinfelda i Harpera. To dziecięce zabawy, śmiechu warte.

- A te dwa morderstwa to też dla ciebie dziecięce zabawy?

- Boże, uchowaj mnie przed babską logiką! Przecież nie o tym mówiłem.

- Doktor Harper ma za sobą dwadzieścia lat doświadczenia.

- Albo rok doświadczenia pomnożony przez dwadzieścia. W porządku, zdaję się na was, starych fachowców. Tylko się dobrze o mnie troszczcie. Czyli na razie mam siedzieć spokojnie, czekać jak ta ofiara, tak?

- Tak. Aha, jeszcze jedno: jak się najlepiej z tobą skontaktować?

- Zastukać dwa razy i poprosić Bruna.

- Przecież do twojego przedziału wchodzi się bezpośrednio z zewnątrz. A kiedy pociąg będzie w ruchu? To, co?

- No, no. - Bruno uśmiechnął się szeroko, co zdarzało mu się rzadko; po raz pierwszy też zobaczyła, że śmieją mu się również oczy. - Chyba czynię postępy. Będziesz chciała do mnie przychodzić?

- Wolne żarty? Może będę musiała.

- Zgodnie z wymogami kolei, musi istnieć przejście przez cały pociąg - odparł Bruno, pochylając się nieco do przodu. - W rogu sypialni są drzwi prowadzące na korytarz. Ale mają kłamkę tylko od wewnątrz.

- Jeśli usłyszysz puk_puk, puk_puk, to będę ja.

- Puk_puk, puk_puk - powtórzył z poważną miną. - Uwielbiam te dziecięce zabawy!

Odprowadził ją do wagonu, w którym mieścił się jej przedział. Kiedy doszli do schodków, powiedział:

- Dobranoc. Dziękuję za odwiedzinę.

Po czym schylił się i pocałował ją lekko. Nie odsunęła się.

- Czy to nie przesada? - spytała z rozbawieniem.

- Ależ skąd! Rozkaz to rozkaz. Mamy udawać, że coś nas łączy i właśnie nadarzyła się znakomita okazja. Kilkanaście osób na nas patrzy.

Skrzywiła się, odwróciła i wspięła po schodkach do środka.

Rozdział czwarty

Prawie cały następny dzień poświęcony był na demontaż przeraźliwych ilości różnorodnego sprzętu z areny, zaplecza i lunaparku, oraz na ładowanie wszystkiego na kilometrowej długości pociąg. Komuś niezwiązanemu z cyrkiem przenoszenie całego dobytku do wagonów i na platformy - klatek, biur, bud jarmarcznych, składanego teatrzyku Bruna, nie wspominając już o zwierzętach - a także rozlokowanie w pociągu artystów, mogłoby się wydawać zadaniem ponad ludzkie siły, jednakże cyrkowcy, bogaci w doświadczenia wielu pokoleń, wykonali je z wręcz dziecinną łatwością; dzięki ich wprawie i znakomitej organizacji pracy, zamiast w beznadziejnym chaosie wszystko odbywało się w idealnym porządku. Nawet z załadowaniem zapasów żywności dla zwierząt i ludzi, całkiem niełatwym zadaniem, uporano się błyskawicznie: po godzinie od przyjazdu pierwszej ciężarówki cały transport gotowy był do drogi. Akcję demontażu można by śmiało porównać

do operacji wojskowej, jednakże każdy postronny obserwator musiałby uznać przewagę cyrku, jeśli chodzi o sprawność.

Pociąg miał ruszyć o dziesiątej wieczorem. O dziewiątej doktor Harper wciąż siedział sam na sam z admirałem w jego gabinecie, studiując dwa skomplikowane rysunki. Admirał w jednej ręce trzymał fajkę, w drugiej kieliszek koniaku. Sprawiał wrażenie jakby był rozluźniony, spokojny i nie miał żadnych zmartwień na głowie. Może istotnie udało mu się rozluźnić i uspokoić, ale było mało prawdopodobne, żeby pomysłodawca całego przedsięwzięcia, człowiek, który zaplanował je w każdym najdrobniejszym szczególe, czuł obojętność w takiej chwili.

- Wszystko jasne? - spytał. - Pozycje wartowników, sposób dostania się do środka, rozkład budynku, sposób wydostania się na zewnątrz, droga ucieczki nad Bałtyk?

- Tak jest, panie admirale. Oby tylko statek zjawił się w porę - odparł Harper, złożył rysunki i wsunął je głęboko do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Włamanie nastąpi we wtorek wieczorem. Statek ma pływać wzdłuż wybrzeża przez tydzień, od piątku do piątku. Będzie na was czekał.

- Czy Niemcy Wschodni, Polacy i Rosjanie nie nabiorą podejrzeń?

- Jasne, że nabiorą. Każdy by nabrał.

- Nie będą protestować?

- A niby dlaczego? Od kiedy to Bałtyk jest ich prywatną sadzawką? Oczywiście domyślą się, że obecność statku, czy statków, ma związek z występami cyrku w Krau. To nieuniknione, lecz nic na to nie poradzimy. Ale mamy cyrk z tym cyrkiem! - admirał westchnął. - Liczę, Harper, że zdobędzie pan te obliczenia. Inaczej pošlę mnie na zieloną trawkę jeszcze przed końcem roku.

Harper uśmiechnął się.

- Kiepska perspektywa. Dla mnie również - rzekł. - Sam pan jednak wie najlepiej, że zdobycie obliczeń tylko w niewielkim stopniu zależy ode mnie.

- Niestety. Jakie wrażenie wywarł na panu nasz najnowszy współpracownik?

- Takie jak na wszystkich. Inteligentny, odważny, silny, ma nerwy jak postronki. Bardzo zamknięty w sobie. Maria Hopkins mówi, że nikogo do siebie nie dopuszcza.

- Co? - Admirał uniósł krzaczastą brew - tak twierdzi ta urocza panienska? sądzę, że gdyby się dobrze postarała...

- Chodzi o bliskość psychiczną, panie admirale.

- Wiem, Harper, wiem. Nie w głowie mi żarty. Ale to ciężka próba. Zdaję sobie sprawę, że nie mamy innego wyboru, ale mimo to niełatwo jest pogodzić się z myślą, że musimy polegać na amatorze, o którym w dodatku prawie nic nie wiemy. A jeżeli mu się nie powiedzie... wiadomo, co z nim zrobią; do końca życia będę go miał na sumieniu. Więc niech pan przynajmniej oszczędzi mi dodatkowych zmartwień.

- Słucham?

- Proszę, żeby miał się pan na baczności. Te rysunki, które schował pan - mam nadzieję, że głęboko - do kieszeni... chyba się pan domyśla, co by z panem zrobili, gdyby je odkryli?

- Owszem. - Harper westchnął. - Skończyłbym w kanale lub w rzece, odpowiednio obciążony kamieniami i z poderżniętym gardłem. Nie sądzę, żeby miał pan problemy ze znalezieniem kogoś na moje miejsce.

- Też nie sądzę. Ale jeśli w tym tempie będę tracić najlepszych pracowników, wkrótce zabraknie mi ludzi. Wolę do tego nie dopuścić. Zapamiętał pan godziny transmisji i szyfry?

- Nie ma pan zbyt wielkiej wiary w podwładnych, admirale - stwierdził ze smutkiem Harper. - Rozwój wypadków sprawił, że w sobie też nie.

Harper dotknął spodu torby lekarskiej.

- Strasznie mały jest ten nadajnik. Na pewno usłyszycie mój sygnał?

- To sprzęt Nasa. Sygnał dotarłby do nas, nawet gdyby nadawał pan z księżycy.
- Prawdę mówiąc, wolałbym jechać na księżyc.

Po sześciu godzinach pociąg wjechał na dworzec przetokowy. Lało jak z cebra i panował gęsty mrok, którego nie były w stanie rozproszyć palące się, co kilka metrów lampy łukowe. W czasie długiego postoju urozmaiconego stukotem i chrobotem przesuwanych wagonów, piskiem kół i zgrzytem przestawianych zwrotnic, które to dźwięki w końcu wszystkich wyrwały ze snu, odłączono wagony mające jechać na południe, do zimowej kwatery cyrku na Florydzie. Reszta składu ruszyła do Nowego Jorku. Podróż przebiegła spokojnie.

Bruno, który zawsze sam przyrządzał sobie posiłki, ani razu nie wyłonił się ze swojego przedziału. Dwa razy odwiedzili go bracia, raz Wrinfeld i raz Harper. Nikt inny nie zaglądał do niego; wiadano, że jest samotnikiem i szanowano to. Wyszedł na zewnątrz dopiero wtedy, gdy pociąg stał na kei, równoległe do kontenerowca z miejscami dla pasażerów, który miał przewieźć cyrk do Genui. Zdecydowano się na ten port nie ze względu na jego położenie geograficzne, ale dlatego, że był jednym z niewielu portów na Morzu Śródziemnym dysponujących odpowiednim sprzętem do wyładowania wagonów, pod których ciężarem słabsze dźwigi łamałyby się jak zapalki. Wciąż padał deszcz. Jedną z pierwszych osób, na jakie Bruno się natknął, była Maria, ubrana w granatowe spodnie i żółtą pelerynę. Minę miała wyjątkowo ponurą. Patrząc na niego spode łba, spytała bez ogródek, z bezpośredniością, do której zdążył już przywyknąć:

- Nie byliśmy specjalnie towarzyscy, co?
- Przepraszam. Ale wiedziałaś przecież, gdzie mnie szukać.
- Nie miałam ci nic do przekazania. Ty też wiedziałaś, gdzie mnie szukać.
- Nie lubię gnieść się w budkach telefonicznych.
- Mogłeś zaprosić mnie do siebie. Wiem, że mamy tylko udawać zakochanych, ale kobiecie nie wypada otwarcie uganiać się za mężczyzną.
- Nikt cię do tego nie zmusza. - Uśmiechnął się, chcąc żeby jego następne słowa nie zabrzmiały obraźliwie. - Pewnie wolisz uganiać się dyskretnie?
- Bardzo śmieszne. Ha, ha. Nie wstyd ci?
- Czego?
- Że tak mnie okrutnie zaniedbywałaś.
- Wstyd.
- Więc zaprosz mnie dziś na kolację.
- Czytasz w moich myślach, Mario. Masz zdolności telepatyczne. Właśnie zamierzałem to zrobić.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem i poszła się przebrać. W drodze do miłej włoskiej restauracji wybranej przez Marię, trzy razy zmieniali taksówki.

- Czy to było potrzebne? Te wszystkie taksówki? - spytał Bruno, kiedy już usiedli przy stoliku.

- Nie wiem. Wypełniam rozkazy.
 - Dlaczego tu jesteście? Tak bardzo się za mną stęskniłaś?
 - Mam dla ciebie instrukcje.
 - Więc nie przyjechałaś tu dla moich pięknych oczu?
- Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. Bruno westchnął.
- Trudno. Jakie instrukcje?
 - Zaraz powiesz, że mogłam ci je przekazać w jakimś ciemnym, cichym zakątku na kei.
 - Ciemny, cichy zakątek niewątpliwie ma plusy, ale nie dziś wieczorem.
 - Dlaczego?
 - Bo pada.

- Zawsze jesteś taki romantyczny?

- Zresztą, podoba mi się tutaj. Sympatyczna knajpka.

Popatrzył na dziewczynę zamyślonym wzrokiem, na jej błękitną aksamitną suknię, futrzaną etolę, zbyt kosztowną jak na pensję skromnej sekretarki i krople deszczu połyskujące w jej włosach.

- W mroku, na kei, nie mógłbym cię widzieć. Tu zaś mogę. Jesteś bardzo piękna. Co to za instrukcje?

- Słucham? - nagle zmiana tematu na moment zbiła ją z tropu, ale po chwili, ściągnając usta w udany gniew, rzekła: - Odpływamy jutro o jedenastej rano. O szóstej wieczorem bądź u siebie w kabinie; zajrzy do ciebie ochmistrz, żeby ustalić, gdzie chcesz siedzieć, czy coś podobnego. Jest autentycznym ochmistrem, ale poza tym ma jeszcze inny fach. Sprawdzi, czy w twojej kabinie nie ma podsłuchów. Bruno nic nie powiedział.

- Widzę, że przestałeś się podśmiewać z naszych metod.

- Szkoda mi na to czasu - stwierdził ze znużeniem. - Po jakie licho ktoś miałby zakładać u mnie podsłuch? Nikt mnie nie podejrzewa o współpracę z wami. Ale zaczynaj, jeśli ty i Harper będziecie upierać się przy tych idiotycznych metodach rodem ze szpiegowskiej powieści. Skąd się wzięły pluskwy w biurze Wrinfelda? Dlaczego przysłano dwóch ludzi, żeby sprawdzili, czy mój przedział jest czysty? Po co ten gość teraz? Jeśli za dużo osób będzie widzieć, jak się o mnie troszczycie, wkrótce ktoś wpadnie na to, że nie jestem takim niewiniątkiem, za jakie uchodzę. Tylko zwracacie na mnie uwagę. Wcale mi się to nie podoba.

- Proszę, uspokój się. Nie ma potrzeby tak się...

- Nie ma? Tak ci się tylko wydaje. Nie traktuj mnie jak dziecko!

- Posłuchaj, Bruno, ja jestem tylko posłańcem. Teoretycznie rzeczywiście nie ma żadnego powodu pod słońcem, żeby podejrzewali cię o współpracę z nami. Ale pamiętaj, że mamy, a raczej będziemy mieli przeciw sobie bardzo sprawną i podejrzliwą służbę bezpieczeństwa, która na pewno nie przeoczy żadnej okazji. Przecież to, co chcemy zdobyć, znajduje się w Krau. Cyrk jedzie do Krau. A ty urodziłeś się w Krau. Oni wiedzą, że masz najsilniejszą motywację ze wszystkich możliwych: chęć zemsty. Zabili ci żonę...

- Przestań - powiedział cicho.

Maria cofnęła się, przestraszona gniewem w jego głosie.

- Od sześciu i pół roku nikt nie odważył się mówić do mnie o mojej żonie. Jeśli wspomnisz o niej jeszcze raz, wycofam się i diabli wezmą całą waszą akcję, a ty będziesz musiała tłumaczyć się swojemu tępemu szefowi, jak to popsulaś wszystko przez swoją wyjątkową gruboskórność, brak taktu, wychowania i kultury. Zrozumiałaś?

- Zrozumiałam.

Błada, niemal w szoku, daremnie usiłowała zrozumieć, co powiedziała takiego strasznego. Wolno zwilżyła językiem wargi.

- Przepraszam, naprawdę bardzo przepraszam. Popełniłam karygodny błąd. - Wciąż nie była pewna, na czym ów błąd polegał. - To się już nigdy nie powtórzy, obiecuję.

Bruno milczał.

- Doktor Harper prosi, żebyś jutro o wpół do siódmej wieczorem usiadł na podłodze, to znaczy na pokładzie, tuż przy schodkach. Kiedy ktoś nadejdzie, powiesz, że upadłeś i zwichnąłeś nogę w kostce. I poprosisz, żeby odprowadzono cię do kabiny. Doktor Harper natychmiast się u ciebie zjawi. Chce cię zapoznać ze szczegółami akcji, wyjaśnić, na czym polega twoje zadanie.

- A ciebie już zapoznał? - głos Bruna nadal był zimny jak lód.

- Nie. O ile go znam, tobie również zabroni mówić mi cokolwiek.

- Dobrze, będę czekał przy schodach. A teraz, skoro już przekazałaś mi, co miałaś do przekazania, możemy wracać. Ty trzema taksówkami, bo takie otrzymałaś polecenie, a ja

jedną. Wypadnie mi taniej i będzie szybciej; mam gdzieś CIA.

Maria wyciągnęła niepewnie dłoń i dotknęła jego ramienia.

- Przeprosiłam cię. Z głębi serca. Nie gniewaj się, proszę.

Kiedy nie odpowiedział, uśmiechnęła się, ale był to uśmiech równie nieśmiały i niepewny jak gest, który przed chwilą wykonała.

- Myślałam, że kogoś, kto zarabia tyle co ty, stać na postawienie ubogiej sekretarce kolacji. Ale mogę zapłacić za siebie. Tylko nie odchodź. Nie chcę jeszcze wracać. Nie teraz.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Tak mi mówi intuicja. Boże, sama nie wiem. Po prostu chcę się z tobą pogodzić. - Miałem rację; jesteś głupią gąską.

Westchnął, sięgnął po kartę i podał ją dziewczynie. Po czym spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Ciekawe. Myślałem, że masz czarne oczy. Teraz nagle zrobiły się brązowe. Ciemnobrązowe, i jakby z kropeczkami. Jak ty to robisz? Masz przełącznik?

- Nie - odpowiedziała z powagą.

- Pewnie mi się coś wcześniej przewidziało. Słuchaj, dlaczego Harper nie mógł przekazać mi tych wiadomości osobiście?

- Dziwnie by to wyglądało, gdybyście poszli razem do restauracji. Prawie nie rozmawiacie ze sobą. Nic was przecież nie łączy.

- Aha!

- Z nami to co innego. Chyba nie zapomniałeś, co? To najnormalniejsza rzecz w świecie, że zakochałam się w tobie, a ty we mnie.

- Wciąż kocha swoją zmarłą żonę.

Głos Marii był płaski, bezbarwny. Z łokciami wspartymi o reling, stała na pokładzie pasażerskim statku "Carpentaria", nieczuła na zimny, wieczorny wiatr, wpatrzona niewidzącymi oczami w wielkie portowe dźwigi, które - oświetlone umocowanymi do nich silnymi lampami łukowymi - przenosiły wagony na statek. Dziewczyna podskoczyła, gdy jej ramienia dotknęła czyjaś dłoń, a wesoły głos zapytał ciekawie:

- Co? Kto kocha żonę?

Odwrociła się i ujrzała Henry'ego Wrinfelda. Jego szczupła, inteligentna twarz była kredowobiała w świetle lamp i przyjaźnie uśmiechnięta.

- Mogłeś zakasać, czy coś, zamiast się skradać - powiedziała z wyrzutem. - Przestraszyłeś mnie.

- Przepraszam. Ale te cholerne dźwigi tak hałasują, że nie usłyszałaś mnie nawet gdybym miał buty podbite gwoździemi. No to kto kocha kogo?

- O czym ty mówisz?

- O miłości - odparł cierpliwie Henry. - Mówiłaś coś na ten temat, kiedy się zbliżałem.

- Ja? - spytała zdziwiona. - Właściwie to całkiem możliwe. Moja siostra twierdzi, że gadam przez sen. Może się zdrzemnęłam na chwilkę. Mówiłam coś jeszcze? Bo wiesz, podświadomość nigdy nie śpi.

- Nic więcej nie słyszałem. Szkoda, bo na pewno wiele straciłem. - Nagle zmienił temat, jakby tracąc zainteresowanie. - Co tu robisz? Jest zimno jak w psiarni i znów zaczyna padać. Maria otrząsnęła się.

- Zamyśliłam się i jakoś tak... Boże, ale zmarzłam.

- Chodź do środka. Mają tu piękny, staromodny bar. Przytulny i ciepły. Kieliszek koniaku zaraz cię rozgrzeje.

- Łóżko jeszcze szybciej. Czas, żebym położyła się spać.

- Odmawiasz wieczornego kielicha z ostatnim z rodu Wrinfeldów?

- Za nic! - roześmiała się i ujęła go pod rękę. - Prowadź!

W salonie - pomieszczenie było tak duże, że trudno je nazywać barem - znajdowały się głębokie fotele obite zieloną skórą, mosiężne stoliki, uprzejmy steward i znakomity koniak. Maria wypila jeden kieliszek, Henry trzy; młodzieniec, który najwyraźniej nie grzeszył zbyt mocną głową, pod koniec trzeciego patrzył na swoją towarzyszkę z tęsknotą w oczach, nieprzekraczającą jednak granic dobrego wychowania. Wziął Marię za rękę i dalej spoglądał na nią tęsknie. Dziewczyna spojrzała na jego dłoń.

- To niesprawiedliwe - stwierdziła. - Zwyczaj wymaga, żeby zaręczona dziewczyna nosiła pierścionek zaręczynowy. Mężczyzna nie ma takiego obowiązku. A powinien mieć.

- Też tak uważam. Gdyby kazała mu nosić dzwonek na szyi, przystałby równie ochoczo.

- Więc gdzie twój?

- Co mój?

- Pierścionek zaręczynowy. Odpowiednik tego, który nosi Cecyli. Twoja narzeczona. Pamiętasz? Zielonooka studentka Bryn Mawr. Chyba o niej nie zapomniałeś?

Henry błyskawicznie otrzeźwiał.

- Wypytywałaś ludzi o mnie?

- Nie. Ale codziennie spędzam kilka godzin z twoim stryjem. Ponieważ nie ma własnych dzieci, największą radością i dumą napawają go jego siostrzenice i bratanek. - Podniosła torebkę i wstała. - Dziękuję za koniak. Życzę ci dobrej nocy i słodkich snów. Oby tylko śniła ci się właściwa osoba!

Henry odprowadził ją smętnym wzrokiem. Ledwo Maria położyła się do łóżka, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę. Drzwi otwarte! - zawołała.

Do kajuty wszedł Bruno.

- Powinnaś je zamykać. Kiedy wkoło krążą takie podejrzane typy jak ja i Henry...

- Henry?

- Przed chwilą widziałem, jak zamawiał podwójny koniak. Wyglądał jak Romeo, który odkrył, że śpiewa serenady pod niewłaściwym balkonem. Ładny łańcuch.

- Wpadłeś po to, żeby po nocy omawiać wystrój mojej kajuty?

- Przydzielono ci ją?

- Dziwne pytanie. Ale odpowiedź brzmi: nie. Było siedem czy osiem wolnych kabin i steward, taki sympatyczny staruszek, pozwolił mi wybrać, którą wolę. Zdecydowałam się na tą.

- Spodobał ci się wystrój?

- Po co przyszedłeś, Bruno?

- Życzę ci dobrej nocy. - Nagle usiadł na łóżku, objął ją ramieniem i przytulił do siebie. - I przeprosić cię za moje zachowanie w restauracji. Wyjaśnię ci wszystko później - kiedy będziemy już w drodze do domu. Wstał równie nagle, jak usiadł, i otworzył drzwi. - Zamykaj się na noc! - powiedział, zatraskując je za sobą.

Maria patrzyła na nie przez chwilę, całkiem oszołomiona.

"Carpentaria" była potężnym statkiem, o wyporności blisko trzydziestu tysięcy ton, nadającym się przede wszystkim do przewozu rud, ale przystosowanym również do przyjmowania kontenerów. Każdorazowo mogła też przewozić blisko dwustu pasażerów, choć oczywiście nie w tak luksusowych warunkach jak transatlantyki pasażerskie. W dwóch ładowniach dziobowych umieszczono dwadzieścia wagonów kolejowych, przeznaczonych głównie do transportu ludzi i zwierząt; bagaże i sprzęty z reszty wagonów najpierw wyładowano na kei, a potem rozładowano w pozostałych ładowniach. Platformy kolejowe umocowano do haków na przednim pokładzie. We Włoszech miały na cyrk czekać zarówno

dotatkowe puste wagony, jak i lokomotywa dostatecznie potężna, żeby przeciągnąć skład przez góry Europy Wschodniej. Nazajutrz o szóstej wieczorem "Carpentaria", mimo ulewnej deszczu i wzburzonego morza (statek posiadał stabilizatory częściowo niwelujące huśtanie), była już siedem godzin drogi od Nowego Jorku.

Bruno leżał wyciągnięty na kanapie w jednej z najbardziej luksusowych kabin na statku, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i do środka wszedł umundurowany ochmistrz. Linoskoczek nie zdziwił się widząc, że ochmistrz trzyma w ręce grubą czarną teczkę.

- Dobry wieczór panu - powiedział gość. - Spodziewał się pan mojej wizyty?

- Spodziewałem się ochmistrza. To pan?

- Zgadza się. Czy można?

Zamknął drzwi na zasuwę i wskazał palcem na teczkę.

- Nikt sobie nie wyobraża, ile ochmistrz ma papierkowej roboty w dzisiejszych czasach - oznajmił wzdychając.

Otworzył teczkę, wyjął płaskie, prostokątne metalowe pudełko zaopatrzone w różne czytniki i pokrętła, wysunął z niego antenę, założył słuchawki i zaczął powoli przemierzać kabinę, a następnie łazienkę, cały czas pracowicie manipulując pokrętłami. Przypominał po części różdżkarza, a po części sapersa z wykrywaczem min w dłoniach. Mniej więcej po dziesięciu minutach zdjął słuchawki i schował sprzęt doeczki.

- W porządku - oświadczył. - Nigdy nie można być stuprocentowo pewnym, ale wygląda na to, że nic tu nie ma.

- Myślałem, że to urządzenie jest nieomyślne - rzekł Bruno wskazując na teczkę.

- Tak. Na lądzie. Ale statek to jednak kupa żelastwa. Kadłub służy za przewodnik, potężne kable wytwarzają pola elektromagnetyczne; łatwo dać się nabrać. Mylić mogą się zarówno ja, jak i mój elektroniczny przyjaciel. - Oparł się ręką o ściankę, bo "Carpentaria" nagle szarpnęła, zupełnie jakby zapomniała, że ma stabilizatory. - Chyba czeka nas paskudna noc. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby kilka osób potłukło się, lub zwichnęło nogi. Pierwsza noc na morzu zawsze jest najgorsza; potem w każdym budzi się wilk morski.

Bruno nie był pewien, czy ochmistrz mrugnął do niego, czy tylko mu się zdawało; nie wiedział, jak dalece marynarz wtajemniczony jest w plany Harpera. Coś więc tylko bąknął w odpowiedzi. Ochmistrz przeprosił go grzecznie za najście, otworzył drzwi i znikł. Punktualnie o wpół do siódmej Bruno wyszedł na pokład. Szczęściem na zewnątrz nie było nikogo. Za ledwie dwa metry dalej kończyły się schodki wiodące z górnego pokładu. Bruno najpierw usiadł, a następnie wyciągnął się, świadomie przyjmując odpowiednio niewygodną pozycję. Po pięciu minutach, kiedy już zaczynał go chwytać bolesny skurcz w prawej łydce, pojawili się dwaj stewardzi. Cmokając ze współczuciem odtransportowali go do kajuty i położyli troskliwie na kanapie.

- Jeden momencik - powiedział starszy ze stewardów. - Zaraz sprowadzimy doktora Berensona.

Ani Brunowi, ani wcześniej Harperowi, nie przyszło do głowy, że "Carpentaria" będzie miała własnego lekarza, co było poważnym przeoczeniem z ich strony. Zgodnie z prawem międzynarodowym, kiedy statek wiezie określoną liczbę pasażerów, obecność lekarza jest obowiązkowa.

- Czy możecie panowie sprowadzić naszego cyrkowego lekarza? - poprosił przytomnie Bruno. - Nazywa się doktor Harper. - Nawet wiem, gdzie jest jego kajuta.

- Na pokładzie pod nami. Zaraz go wezwę.

Harper zapewne musiał czekać z torbą lekarską w pogotowiu, bo nim minęło trzydzieści sekund był już w kabinie Bruna, kręcąc z niepokojem głową i cmokając z przejęciem. Wyprosił stewardów i zamknął drzwi, po czym posmarował kostkę Bruna jakąś cuchnącą maścią i zaczął owijać ją metrowej długości bandażem elastycznym.

- Czy pan Carter stawiał się punktualnie? - spytał.

- Jeśli chodzi panu o ochmistrza, to owszem. Ale nie przedstawiał mi się. Harper przerwał bandażowanie i rozejrzał się po kabinie.

- Znalazł coś? - spytał.

- A spodziewał się pan, że znajdzie?

- Właściwie nie.

Skończył opatrywać nogę Bruna i popatrzył z dumą na swoje dzieło; zarówno wrażenie wzrokowe, jak i węchowe, było imponujące. Następnie przysunął do kanapy niski stolik i wydobyl z wewnętrznej kieszeni marynarki jakieś papiery, które rozprostował na blacie; były to dwa szczegółowe rysunki. Obok nich położył kilka zdjęć, po czym stuknął palcem w pierwszy rysunek.

- Najpierw się tym zajmiemy. Szkic sytuacyjny Ośrodka Naukowo_Badawczego Łubian. Mówi to panu coś?

Bruno popatrzył na Harpera bez zachwyty.

- Mam nadzieję, że to ostatnie głupie i zbędne pytanie, jakie mi pan zadaje.

Harper przybrał dokładnie taką minę, jak każdy, kto nie chce dać po sobie poznać, że czuje się dotknięty.

- Zanim CIA zwróciła się do mnie o pomoc... - zaczął Bruno.

- Skąd pan wie, że jesteśmy z CIA? - przerwał mu doktor.

Bruno zwrócił oczy do nieba, po chwili jednak opanował rozdrażnienie.

- No więc, zanim dobrzy skauci zwrócili się do mnie o pomoc, bardzo skrupulatnie sprawdzili każdy mój krok od chwili opuszczenia przeze mnie kołyski. Dobrze pan wie, że pierwsze dwadzieścia cztery lata życia spędziłem w Krau. Jak mogłem nie słyszeć o Łubianie?

- Tak. No cóż. W każdym razie w Łubianie prowadzone są specjalistyczne badania, na ogół związane z produkcją zakazanej broni chemicznej, gazów paraliżujących i podobnych wynalazków.

- Zakazanej? Czyżby Stany Zjednoczone nie prowadziły takich badań? Harper skrzywił się, jakby nagle rozbolał go ząb.

- Nic mi o tym nie wiadomo - rzekł.

- Jeśli pan mi nie ufa, panie doktorze, nie może pan oczekiwać, że ja zaufam panu. Dobrze pan wie o czym mówię, co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Pamięta pan tę głośną sprawę z kurierem na lotnisku Orly? Woził wszystkie najbardziej tajne materiały Amerykańskich Sił Zbrojnych z Europy do Pentagonu. Pamięta pan?

- Pamiętam.

- Sierżant Johnson. Robert Lee Johnson, ochrzczony tak na cześć naczelnego dowódcy sił konfederatów. Najcenniejszy szpieg, jakiego Rosjanie mieli od dwudziestu lat; przekazywał Kgb najbardziej tajne materiały wojskowe, a działał Bóg wie jak długo. Pamięta go pan? Harper skinął ponuro głową.

- Pamiętam - rzekł.

Instruowanie Bruna przebiegało nie całkiem tak, jak sobie wyobrażał.

- Więc prawdopodobnie nie zapomniał pan również, że Rosjanie opublikowali kopie tajnych dokumentów skradzionych przez Johnsona. Między innymi planu przygotowanego na wypadek, gdyby Armia Czerwona zajęła Europę Zachodnią. Wynikało z niego, że Stany Zjednoczone nie zawahają się przed zniszczeniem całego kontynentu właśnie za pomocą broni chemicznej, choć także bakteriologicznej i nuklearnej; to, że przy okazji ulegnie zagładzie ludność cywilna zamieszkała na jego obszarze, nikogo jakby nie obchodziło. W Europie natychmiast podniósł się rwetes i Stany Zjednoczone straciły nieco przyjaciół; konkretnie - dwieście milionów przyjaciół. A w amerykańskiej prasie nie pojawiła się na ten temat chyba nawet jedna notatka.

- Jest pan niezłe poinformowany.

- Nie wszyscy, którzy nie należą do CIA, są analfabetami. Umiem czytać. A niemiecki jest moim drugim językiem; moja matka pochodziła z Berlina. Dwa niemieckie pisma opisały tę aferę.

- "Der Spiegel" i "Stern", we wrześniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku - przyznał z rezygnacją Harper. - Czy rzeczywiście sprawia panu przyjemność nawlekanie mnie na haczyk i patrzenie, jak się skręcam?

- Nie miałem takiego zamiaru. Chciałem tylko uzmysłwić panu dwie rzeczy. Jeśli nie będzie pan ze mną otwarty i szczerzy, proszę nie liczyć na moją współpracę. Chciałbym też panu wyjaśnić, dlaczego w ogóle zgodziłem się wam pomóc. Nie wiem, czy Amerykanie zdecydowaliby się kiedykolwiek na pierwsze uderzenie. Wydaje mi się, że nie, ale moje zdanie nie jest tu istotne; ważne jest, w co wierzy Europa Wschodnia. A jeśli uważa, że Amerykanie nie zawahaliby się pierwsi zaatakować, może się pokusić o to, aby was uprzedzić i zniszczyć wasz potencjał militarny. Z tego, co mówił pułkownik Fawcett rozumiem, że jedna milionowa grama antimaterii wystarczy, żeby obrócić w perzynę całą Amerykę. Osobiście czułbym się bezpieczniej, gdyby nikt nie miał tak zabójczej broni, ale z dwojga złego, choć urodziłem się w Europie Wschodniej, wolę, żeby miała ją Ameryka, kraj, który mnie przygarnął. A teraz możemy wrócić do tych instrukcji. Umówmy się, że nie tylko nie słyszałem o Łubianie, ale nawet o Krau.

No, słucham. Harper popatrzył na niego bez entuzjazmu.

- Jeśli pańskim celem było subtelne wprowadzenie zmiany do naszych wzajemnych stosunków, odniósł pan znacznie większy sukces, niż pan zamierzał - stwierdził kwaśno. - Tyle że nie nazwałbym pańskiej metody subtelną. Dobrze. Łubian. Na szczęście ośrodek położony jest niecałe pół kilometra od gmachu, w którym cyrk ma występować. Ze zrozumiałych względów ośrodek znajduje się na obrzeżach miasta. Wejście jest od ulicy Głównej.

- Na rysunku są dwa budynki.

- Właśnie do tego zmierzam. Dwa budynki, ale połączone wysokimi murami niewzględnionymi na szkicu. - Harper szybko je dorysował. - Za ośrodkiem jest pustkowie. A dalej elektrownia z generatorami na ropę. W budynku, którego okna wychodzą na ulicę Główną, prowadzone są badania naukowe. We wschodnim budynku, tym sąsiadującym z pustkowie, też prowadzi się badania, ale innego rodzaju, znacznie bardziej nieprzyjemne niż w budynku zachodnim. We wschodnim bada się ludzi. Jest on całkowicie podległy służbie bezpieczeństwa; to najpilniej strzeżone więzienie dla wrogów stanu, do których zalicza się zarówno zamachowca schwytanego podczas nieudanej próby zabójstwa premiera, jak i niedorozwiniętego umysłowo poetę dysydenta. O ile mi wiadomo, śmiertelność jest znacznie wyższa niż w innych zakładach karnych.

- Muszę przyznać, że pan też jest nieźle poinformowany.

- Staramy się nie posyłać naszych ludzi w ciemno i z zawiązanymi oczami. W tym miejscu, na wysokości czwartego piętra, nad podwórzem biegnie przejście łączące oba budynki, galeria oszklona z trzech stron i jasno oświetlona od zmierzchu do świtu. Nie sposób przejść tędy nie będąc zauważonym. Wszystkie okna w obu budynkach mają grube kraty, a oprócz tego systemy alarmowe. Są tylko dwa wejścia, po jednym do każdego budynku, oba zamykane na blokady zegarowe i pilnie strzeżone. Budynki mają po osiem pięter; łączące je mury są tej samej wysokości. Wzdłuż ich szczytu ciągną się gęsto rozmieszczone, wygięte na zewnątrz metalowe pręty, podłączone do prądu o napięciu dwóch tysięcy woltów. Na każdym z czterech rogów mieści się wieżyczka strażnicza. Wartownicy mają karabiny maszynowe, reflektory i syreny. Podwórze, podobnie jak oszklone przejście, jest nocą jasno oświetlone; właściwie niepotrzebnie, bo terenu strzegą zajadłe dobermany, spuszczone wieczorem z uwięzi.

- Nie ma co. Potrafi pan zachęcić człowieka - stwierdził Bruno.

- Wolaliby pan nie wiedziec tych rzeczy? Jesli sie tam trafi, istnieja tylko dwa sposoby wyzwolenia. Pierwszy to smierc od tortur, drugi to samobojstwo. Nikomu nie udalo sie zbiec.

- Doktor Harper wskazal na drugi rysunek. - Oto plan osmego pietra w zachodnim gmachu. Jedynym celem calaj operacji, kosztujacej nasz rzad wiele milionow dolarow, jest umozliwienie panu dotarcia w to miejsce. To wlasnie tutaj pracuje, je i spi Van Diemen.

- Czy to nazwisko powinno mi cos mowic?

- Raczej nie. Facet jest wlasciwie nieznanym poza wazkim kręgiem fachowcow. Ale zachodni uczeni wyrazaja sie o nim z najwiekszym szacunkiem. To niewatpliwie geniusz, jedyny niekwestionowany geniusz, jesli chodzi o fizyke molekularna. Odkrywca antymaterii. Jedyny czlowiek na swiecie, ktory zna tajemnice produkcji, skladowania i uzywania tej straszliwej broni. - Holender? - Tak mozna by sadzic po nazwisku, ale nie. To Niemiec z RFN. Renegat. Diabli wiedza, dlaczego uciekl do Rosji. O, tutaj miesci sie jego pracownia i gabinet. A to pomieszczenie zajmuja straznicy; ze zrozumialych wzgledow, Van Diemen pilnowany jest nie gorzej niz skarbiec w Fort Knox, dwadzieścia cztery godziny na dobe. Mieszka tutaj; jeden nieduz pokoj, jeszcze mniejsza lazienka i maleńka kuchnia.

- Naprawde mieszka na terenie Lubianu? Nie ma willi gdzieś poza ośrodkiem? To by znacznie ulatwialo sprawe.

- Ma wille, wspaniala i ogromna, polozona w lesie nad brzegiem jeziora. Prezent od rzadu. Ale ani razu tam nie byl. Praca jest calym jego zyciem; nigdy nie opuszcza ośrodka. Sadze, ze wszyscy sa z tego zadowoleni; w ten sposob latwiej zapewnic mu bezpieczenstwo.

- Z pewnoscia. Powiedzial pan, ze nikomu nie udalo sie zbiec z Lubianu. Wiec jak, u licha, wyobrazacie sobie, ze mnie uda sie dostac do środka?

- Wlasnie do tego dochodzimy. - Harper odchrzanknal; przystepowal do zasadniczej czesci swoich wyjasnień, a sprawa nie byla prosta. - Dluho sie nad tym zastanawialismy, zanim zwróciliśmy sie do pana. I nie mogliśmy sie zwrócic do nikogo innego. Jak juz wspomnialem, wzdluz zewnetrznej krawedzi budynku ciagnie sie stalowy plot z wygiętymi pretami pod wysokim napięciem. Prad wytwarzany jest w elektrowni polozonej za wschodnim budynkiem, a doprowadzany grubym kablem napowietrznym dlugosci trzystu metrów. Biegnie od stalowego slupa na terenie elektrowni do skraju dachu wschodniego budynku.

- Postradal pan zmysly! To jedyne wytumaczenie. Tylko szaleniec moglby mi proponowac... Harper wiedzial, ze nie wolno mu tracic panowania nad soba, a to co powie, musi brzmiec logicznie i przekonujaco.

- Spojrzmy na to od innej strony - rzekl. - Niech pan sobie wyobraz, ze ten kabel to lina cyrkowa. Moze pan bezpiecznie po nim stapac, tylko musi pan uwazac, zeby sie przypadkiem nie uziemic dotykajac stalowego slupa, jakichs przewodow, czy...

- Lina cyrkowa, tak? - spytal ironicznie Bruno. - Jaki prad przepuszcza sie przez krzeslo elektryczne? Nie o napięciu wlasnie dwuch tysiecy woltow?

Harper ponuro skinal glowa.

- W cyrku na line wchodze z jednej platformy, a schodze z liny na druga. A tu, jesli ze slupa wejde na kabel, albo z kabla na dach wiezienia, natychmiast sie uziemie i sfajcze jak na patelni. Co wiecej, kabel ten mierzy trzysta metrów! Czy wie pan, jak bardzo bedzie sie uginac? Czy wyobraz pan sobie, co oznacza takie ugięcie, zwlaszcza, jesli nie daj Boze wieje wiatr? Czy nie przyszlo panu do glowy, ze o tej porze roku kabel moze byc przyprószone sniegiem, a w dodatku oblodzony? Na miłosc boska, czy nie zdaje pan sobie sprawy, ze zycie linoskoczka zalezy od wspolczynnika tarcia miedzy jego stopami i lina - w tym wypadku miedzy moimi stopami a kablem? Niech mi pan wierzy, doktorze, moze i jest pan asem kontrwywiadu, ale o chodzeniu po linie nie ma pan zielonego pojecia!

Harper sluchal bez slowa; wygladal jak zbity pies.

- Zreszta, gdyby cudem udalo mi sie przejsc po tym kablu, to jak mialbym przedostac

się żywy przez podwórze pełne dobermanów, albo przez tę oświetloną galerię na czwartym piętrze? A gdybym nawet dał radę, to jak minąłbym strażników?

Harper wciąż słuchał bez słowa; wyglądał jak bardzo mocno zbity pies.

- Założmy, że mi się uda, choć gdybym miał się zakładać, nie dawałbym sobie większej szansy niż jedna na tysiąc. Ale założmy, że mi się uda. To, co wtedy? Gdzie ja, na miłość boską, znajdę te obliczenia? Przecież nie będą leżały na stole! Albo papiery tkwią głęboko w sejfie, zamkniętym na trzy spusty, albo Van Diemen śpi z nimi pod poduszką!

Doktor Harper wyraźnie unikał wzroku Bruna. Czuł się jak na mękach; rozmowa toczyła się zupełnie nie po jego myśli.

- Sejf, czy nawet kasa pancerna, nie stanowią problemu; mogę dać panu wytrychy, które otworzą każdy zamek.

- A jeśli trafię na zamek szyfrowy?

- Musimy liczyć na łut szczęścia.

Bruno, wznosząc oczy do nieba, pomyślał, że jednak łut szczęścia to o wiele za mało, po czym odsunął od siebie rysunki i przez dłuższą chwilę siedział pogrążony w zadumie. Wreszcie poruszył się, westchnął i rzekł:

- Będzie mi potrzebny pistolet. Z tłumikiem. I zapas amunicji.

Na te słowa Harper zaniemówił.

- Więc spróbuje pan? - spytał w końcu, lecz w jego głosie nie było ani nadziei, ani ulgi; tylko tępe niedowierzanie.

- Byłem głupi, że w ogóle się zgodziłem. Ale raz kozie śmierć. Tylko pistolet ma być nie na kule. Albo gazowy, albo na naboje usypiające. Zdobędzie pan taki?

- Od czego jest poczta dyplomatyczna? - odparł jakby z roztargnieniem Harper. - Dopiero teraz widzę, że nie doceniłem skali trudności. - Jeśli pan uważa, że to po prostu niemożliwe...

- Pan jest szalony, ja jestem szalony. Wszyscy jesteśmy szaleni. Ale skoro już wyprawiliśmy ten cholerny cyrk w podróż przez Atlantyk, wystawiając go na pastwę fal i wiatrów... Choć najbardziej to ja sam czuję się wystawiony do wiatru. Ale trudno. Mamy przecież dług do spłacenia wobec pańskich zamordowanych kolegów. Niech pan mi tylko zdobędzie ten pistolet.

Harper chciał coś powiedzieć, ale zabrakło mu słów.

- Dopilnuje pan, żeby te rysunki i zdjęcia nie dostały się w niepowołane ręce? - spytał w końcu.

- Tak - obiecał Bruno.

Wstał, zgarnął ze stolika kartki i fotografie, podarł je na drobne strzępy, po czym wszedł do łazienki, wrzucił je do muszli klozetowej i spuścił wodę.

- Teraz są bezpieczne - oznajmił po powrocie.

- To prawda, nie dostaną się już w niczyje ręce - przyznał Harper. - Fotograficzna pamięć to rzadki dar. Teraz pozostaje mi tylko modlić się o to, żeby przypadkiem nie potknął się pan na schodach, tym razem naprawdę, nie nabił sobie guza i nie popadł w amnezję. Hm, czy ma pan już jakiś pomysł?

- Proszę pana, to że występuję jako mag, jeszcze nie oznacza, że jestem cudotwórcą. Od jak dawna wie pan o tej akcji?

- Niedługo. Kilka tygodni.

- Niedługo. Kilka tygodni. - W ustach Bruna zabrzmiało to jak kilka lat. - A czy pan ma jakiś sensowny pomysł?

- Nie.

- No właśnie. A ja mam wymyślić coś na poczekaniu, Tak?

Harper potrząsnął głową i wstał z miejsca.

- Wrinfeld zjawi się tu lada moment. Na pewno usłyszał już o pańskim upadku, a nie

wie, że był sfigowany. Może mu pan to powiedzieć. Co z naszej rozmowy zamierza mu pan powtórzyć?

- Nic. Gdybym mu wyjawiał, jakiego samobójczego zadania podjąłem się dla was, natychmiast kazałby kapitanowi zawrócić, a was przegnałby, gdzie pieprz rośnie.

Rozdział piąty

Dni mijały spokojnie, choć nieco chybotliwie; stabilizatory "Carpentarii" zdawały się nie rozumieć, czego oczekują od nich ludzie. Pracownicy cyrku nie mieli wiele zajęć: karmili jedynie zwierzęta i sprząтали klatki. Część artystów trenowała, to znaczy ci, którzy w tak trudnych warunkach mogli doskonalić swoje rzadkie umiejętności, reszta narzekała na przymusową bezczynność.

Bruno spędzał wystarczająco dużo czasu z Marią, żeby podtrzymać ogólnie panujące przekonanie, że kwitnie między nimi romans; cyrkowców emocjonowała również inna możliwość, całkiem zresztą realna, że na ich oczach kwitną dwa romanse, a nie jeden, albowiem, gdy tylko Bruno nie towarzyszył Marii, Henry Wrinfeld nie odstępował jej na krok. Ponieważ Bruno większość czasu spędzał z Kanem Dahnem, Roebuckiem i Manuelem, Henry'emu nie brakowało okazji, żeby przebywać z dziewczyną.

Ogromny salon, który z łatwością mógł pomieścić ponad stu ludzi, był chętnie przez

wszystkich odwiedzany przed kolacją. Trzeciego wieczoru Henry i Maria zajmowali stół w odległym kącie; chłopak perorował coś zawzięcie. Na drugim końcu salonu Bruno grał w karty z przyjaciółmi. Jak zwykle przed rozdaniem, Roebuck i Manuelo z dziesięć minut narzekali, że na statku nie mają odpowiednich warunków, aby ćwiczyć swoje umiejętności, pierwszy - w wywijaniu lassem, drugi - w rzucaniu nożem. Kan Dahn nie martwił się o siebie; najwyraźniej ufał, że jego potężna siła nie ulotni się, jeśli przez kilka dni nie obędzie trenował. Trudno było nie przyznać mu racji. Grali w pokera o nieduże stawki. Bruno wygrywał niemal za każdym razem. Pozostali twierdzili, że to, dlatego, iż odgaduje ich karty; Bruno upierał się, że nic podobnego, chociaż fakt, iż poprzedniego wieczoru z zawiązanymi oczami wygrał cztery razy pod rząd, stawiał jego protesty pod znakiem zapytania. Nigdy jednak nie odchodził od stołu z pieniędzmi; zwycięzca płacił za drinki. Wprawdzie on sam, Roebuck i Manuelo pili bardzo mało, Kan Dahn, ważący blisko sto pięćdziesiąt kilo, potrafił wlewać w siebie nieprawdopodobne ilości piwa.

Kan Dahn opróżnił kolejny, z niezliczonych kufli, spojrzał na drugi koniec sali i stuknął Bruna w ramię.

- Miej się na baczności, chłopie. Młody Wrinfild smali cholewki do twojej wybranki.

- Nie jest moją wybranką - odparł spokojnie Bruno, zerknąwszy we wskazanym kierunku. - A nawet gdyby była, Henry nie należy do ludzi, którzy są w stanie tak zakręcić dziewczynie w głowie, żeby uciekła z nim w siną dal. Zresztą, na środku Atlantyku daleko nie uciekną.

- Wcale nie muszą uciekać daleko - stwierdził pośpiesznie Roebuck.

- Jego najdroższa jest w Stanach - dodał z powagą Manuelo. - A Maria tu, na miejscu.

To zmienia sytuację.

- Ktoś jej powinien powiedzieć o Cecyli - rzekł Roebuck.

- Maria wie o Cecyli. Sama mi o niej mówiła. Wie nawet, jaki tamta nosi pierścionek zaręczynowy. - Bruno znów zerknął na parę w rogu, po czym wrócił do kart. - Nie sądzę, żeby rozmawiali o sprawach sercowych.

Istotnie nie rozmawiali o sprawach sercowych. Henry przekonywał o czymś Marię, wyraźnie przejęty i zatroskany. Nagle zamilkł, spojrzał w stronę baru, po czym znów przeniósł wzrok na dziewczynę.

- Widzisz? To najlepszy dowód! - zawołał triumfalnie.

- Na co? - spytała cierpliwie Maria.

- Widzisz tego stewarda, który przed chwilą wszedł za bar? To ten gość, o którym ci mówiłem! Ten, co za tobą chodzi! Facet z gębą łasicy. Ciekawe, czy mu wolno przebywać za barem? Nie pracuje tutaj.

- Uspokój się, Henry. A poza tym wcale nie przypomina łasicy. Ma szczupłą twarz i tyle.

- To Anglik - stwierdził bez związku Henry.

- Znam Anglików, którzy nie są kryminalistami. Zresztą nie zapominaj, że płyniemy angielskim statkiem.

- Kilka razy widziałem, jak szedł za tobą. - Henry nie dawał za wygraną. - Nie myłę się, specjalnie sprawdzałem.

Maria spojrzała na niego zdziwiona; przestała się uśmiechać.

- Chodzi też za moim stryjem.

- Hm. - Zmarszczyła brwi. - Wiem, że nazywa się Wherry. To steward kabinowy.

- Miałem rację, nie powinien się tu kręcić! Pewnie cię śledzi, ot co! - nagle opanował się. - Mówisz, że to steward kabinowy? Skąd wiesz? Podlega mu twoja kabina?

- Moja nie, ale twojego stryja tak. Właśnie tam go widziałam po raz pierwszy. - Zamyśliła się. - Wiesz, chyba rzeczywiście dość często go widuję. I przypominam sobie, że ze dwa lub trzy razy, kiedy spacerowałam po statku i nagle się obejrzałam, był za mną.

- Ha!

- O co tu chodzi, Henry?

- Nie mam pojęcia - przyznał. - Ale musimy uważać.

- Dlaczego ktoś miałby mnie śledzić? Myślisz, że to detektyw w przebraniu, a ja jestem poszukiwaną przestępczynią? A może wyglądam na szpiega albo tajną agentkę? Może nazywam się Mata Hari i tylko tak młodo wyglądam?

Henry zlustrował ją wzrokiem.

- Nie, żadna z tych ról nie pasuje do ciebie. Poza tym, Mata Hari była brzydka. Ty jesteś piękna. - Poprawił okulary, żeby lepiej się jej przyjrzeć. - Naprawdę piękna.

- Henry! Nie zapominaj, jak umówiliśmy się dziś rano. Mamy prowadzić wyłącznie intelektualne rozmowy.

- Do diabła z intelektualnymi rozmowami! - Henry zamyślił się na moment, starannie dobierając słowa. - Chyba zakochuję się w tobie. - Pomyślał jeszcze chwilę. - Chyba już się zakochałem.

- Nie sędzę, żeby Cecily...

- Do diabła z Cecily... Nie, wcale tak nie myślę. Głupio wyszło. Ale to, co powiedziałem wcześniej, to szczerą prawdą. - Nagle obrócił się na krześle. - Patrz, Wherry zbiera się do wyjścia.

Spojrzeni na idącego przez salę stewarda, drobnego, chudego mężczyznę, z cienkim czarnym wąsikiem. Kiedy zbliżył się do ich stolika na odległość trzech metrów, zerknął na nich ukradkiem i szybko spuścił wzrok. Henry odchylił się do tyłu i popatrzył wymownie na dziewczynę.

- Morda kryminalisty, nie ma dwóch zdań. Widziałaś, jak na nas spojrział?

- Tak - odparła niepewnie. - Ale dlaczego, Henry, dlaczego?

Wzruszył ramionami.

- Masz jakieś klejnoty? Bizuterię?

- Nie noszę bizuterii.

Henry skinął z uznaniem głową.

- Bizuteria jest dla kobiet, które bez niej nie mogą się obyć. Jeśli ktoś jest tak śliczny jak ty... - Henry, przestań! Nie mogę z tobą normalnie rozmawiać. Kiedy rano powiedziałam, że mamy piękną pogodę, zacząłeś gapić się we mnie jak w obraz i przekonywać, że wcale nie jest taka piękna. Kiedy powiedziałam coś o lodach owocowych, zacząłeś się upierać, że nie są nawet w części tak słodkie jak ja. A kiedy patrzyliśmy razem na zachód słońca, na te cudowne kolory...

- Cóż ja na to poradzę, że mam poetycką duszę. Spytaj Cecily. Chociaż nie, lepiej jej nie pytaj. Widzę, że będę musiał bardzo cię pilnować.

- I tak prawie nie odstępujesz mnie na krok.

- Fakt. - Henry, wcale nieskruszony, utkwiał w niej wzrok; oczy miał szkliste, bynajmniej nie od alkoholu, a minę taką, jakby gotów był resztę życia spędzić na wpatrywaniu się w Marię. - Zawsze chciałem zostać czymś rycerzem - rzekł rozmarzonym głosem.

- Nie warto, Henry. Na świecie nie ma miejsca dla rycerzy. Nie te czasy. Kopie, lśniące miecze i potyczki rycerskie należą do przeszłości; bronią naszej ery jest nóż w plecy.

Niestety, wszystkie zmysły Henry'ego, oprócz zmysłu wzroku, chwilowo nie funkcjonowały. Maria równie dobrze mogła mówić do ściany.

Czwartego dnia, wieczorem, doktor Harper zajrzał do kajuty Bruna. Towarzyszył mu Carter, ochmistrz, który na początku podróży sprawdzał, czy w kabinie nie ma podsłuchów. Carter przywitał się uprzejmie, tak jak poprzednio, po czym bez słowa wydobyl sprzęt i powtórzył te same czynności co wtedy. Kiedy skończył, potrząsnął głową i oddalił się. Harper podszedł do barku, nalał sobie drinka i pociągnął ze smakiem spory haust.

- Pańskie pistolety dostaniemy w Wiedniu.
- Pistolety?
- Tak.
- Kontaktował się pan ze Stanami? Czy radiooficer nie nabierze podejrzeń?

Tego wieczoru Harper mógł sobie pozwolić na nieco luzu. Uśmiechnął się szeroko i rzekł:

- Sam jestem swoim radiooficerem. Mam nadajnik, nie większy od książki, pracujący na falach wysokiej częstotliwości; nie zakłóca pracy radiostacji statku. Jak mi powiedział szef, zasięg jest taki, że mógłbym nadawać z Księżyca. Zresztą, posługuję się szyfrem. Przy jakiejś okazji pokażę panu, jak to działa. Tak, właściwie to nawet powinienem. Na wszelki wypadek, gdyby coś mi się stało.

- Co może się panu stać?

- A co stało się z Pilgrimem i Fawcettem? Specjalnie zamówiłem dla pana dwa pistolety, a nie jeden. Pistolet na naboje usypiające - są to jakby igły lekarskie wypełnione odpowiednim preparatem - jest znacznie skuteczniejszą bronią, ale podobno Van Diemen od lat ma kłopoty z sercem. Więc gdyby musiał pan go obezwładnić, użycie naboju usypiających nie byłoby wskazane. Pistolet gazowy jest dużo bezpieczniejszy. Ma pan już pomysł, jak się dostać do środka?

- Najlepszy byłby helikopter na akumulatory, ale takich się nie produkuje. Nie, cholera, nic mi jeszcze nie przyszło do głowy.

- Zostało jeszcze trochę czasu. Trzymam za pana kciuki. Czy pan wie, że dziś obaj będziemy jeść kolację przy stole kapitańskim?

- Nie.

- Wszyscy pasażerowie kolejno dostępują tego zaszczytu. Miły obyczaj. Do zobaczenia.

Ledwo zasiedli przy stole, kiedy do kapitana podszedł steward, pochylił się nad nim i szepnął mu coś dyskretnie do ucha. Kapitan wstał, przeprosił gości i wraz ze stewardem opuścił jadalnię. Wrócił po kilku minutach, wyraźnie zafrasowany.

- Dziwne - rzekł. - Bardzo dziwne. Carter, nasz ochmistrz, poznaliście go państwo, twierdzi, że ktoś na niego napadł. Jakiś bandyta. Złapał go od tyłu za szyję i zaczął dusić, aż Carter stracił przytomność. Nie ma na ciele żadnych śladów, ale jest bardzo roztrzęsiony.

- Może po prostu zasnął? - spytał Harper.

- Jeśli tak, to portfel sam ulotnił mu się z kieszeni.

- Czyli ktoś go rzeczywiście napadł, a portfel, oczywiście bez zawartości, spoczywa pewnie teraz na dnie oceanu. Czy chce pan, żebym go zbadał?

- Może tak. Berenson jest zajęty, trzyma za rękę jakąś starą wiedźmę, której wydaje się, że zaraz będzie miała atak serca. Dziękuję, doktorze. Poproszę stewarda, żeby pana zaprowadził.

- Ochmistrz to taki miły, uprzejmy człowiek, powiedział Bruno po odejściu Harpera. - Nie rozumiem, jak ktoś mógł na niego napaść.

- Nie sądzę, żeby napastnik zastanawiał się nad charakterem Cartera - odparł kapitan. - Chodziło o pieniądze. Pewnie doszedł do wniosku, że jeśli ktokolwiek na statku ma przy sobie większą gotówkę, to właśnie ochmistrz. Przykra sprawa; jeszcze nie słyszałem, żeby na statku okradano ludzi. Powiem pierwszemu, żeby zebrał kilka osób i spróbował przeprowadzić śledztwo.

- Mam nadzieję, że my, cyrkowcy, nie znajdziemy się automatycznie w kręgu najbardziej podejrzanych. - Bruno uśmiechnął się. - Większość społeczeństwa, na ogół tak rozsądna, nie ma o nas najlepszej opinii. Ale to uprzedzenia; nie znam bardziej uczciwych ludzi od moich kolegów.

- Nie wiem, kto to zrobił i obawiam się, że nigdy nie dojdziemy prawdy. Wątpię, aby

pierwszemu udało się znaleźć bandytę.

Bruno przechylił się przez reling rufowy i patrzył w zamyśleniu na fosforescencję znaczącą trop statku. Nagle drgnął i odwrócił się na dźwięk kroków tuż obok.

- Nikt was nie widział? - spytał.

- Nikt - odparł Manuelo.

- Żadnych problemów?

- Żadnych. - Zdziwiająco białe zęby Meksykanina zalśniły w ciemności. - Miałeś rację. Nieszczęsny pan Carter lubi... jak mówiłeś?

- Zażywać spaceru.

- Właśnie. Wieczorami lubi zażywać spaceru na pokładzie łodziowym. Ciemno tam jak diabli. Kan Dahn troszkę go przydusił, a Roebuck zabrał mu klucz od kajuty i zniósł na dół, po czym pilnował korytarza, kiedy ja byłem w środku. Nie zajęło mi dużo czasu. Znalazłem jakieś dziwne urządzenie elektroniczne w teczce...

- Chyba wiem. Coś jakby małe radio, tyle, że bez skali?

- Tak. Co to takiego?

- Przyrząd do wykrywania podsłuchów. Podejrzliwe typy, ludzie na tej łajbie.

- Nic dziwnego, skoro wiozą naszą bandę.

- Znalazłeś coś jeszcze?

- Tak. Tysiąc pięćset dolarów, dziesiątkami, ukryte na dnie walizki.

- Tego nie wiedziałem! Używane banknoty?

- Nie. Nowiutkie. O kolejnych numerach.

- Co za niedbalstwo!

- Właśnie. - Podał Brunowi kartkę. - Zapisałem numery pierwszego i ostatniego banknotu.

- Dobrze, bardzo dobrze. Jesteś pewien, że to prawdziwe banknoty?

- Idę o zakład! Ponieważ nie musiałem się spieszyć, pokazałem jeden Roebuckowi.

On też uważa, że prawdziwe.

- Coś jeszcze?

- Paczka listów adresowanych do ochmistrza, na poste restante w różnych miastach.

Najczęściej powtarzał się Londyn i Nowy Jork.

- W jakim języku były pisane? Po angielsku?

- Nie. W jakimś obcym. Na stemplu pocztowym figurował napis "Gdynia". Więc pewnie dostawał je z Polski.

- Na to wygląda. I co, wszystko zostawiliście dokładnie tak jak było, a drzwi zamknęliście na klucz, który wsunęliście Carterowi do kieszeni, zanim odzyskał przytomność?

Manuelo skinął głową.

Bruno podziękował mu i wrócił do kajuty. Zerknął na kartkę z numerami banknotów, po czym wrzucił ją do muszli klozetowej i spuścił wodę.

Nikt się specjalnie nie dziwił, że nie udało się znaleźć bandyty, który napadł na Cartera.

W przeddzień przybycia statku do Genui, doktor Harper odwiedził Bruna w jego kajucie. Nalał sobie szkockiej z barku, z którego Bruno prawie wcale nie korzystał, po czym usiadł wygodnie w fotelu i spytał:

- Wymyślił pan coś? Bo mnie, niestety, brakuje koncepcji.

- Też wolałbym żadnej nie mieć - oświadczył posepnie Bruno.

Harper natychmiast wyprostował się, wydymając wargi.

- A więc wymyślił pan coś?

- Jeszcze nie wiem. Ale chyba coś mi zaczyna świtać. Ma pan dla mnie jakieś nowe wiadomości? Cokolwiek? Chodzi mi zwłaszcza o zachodni budynek i o możliwości dostania

się do środka. Na przykład, co z dachem? Czy są tam jakieś drzwi albo szyby wentylacyjne?

- Nie mam pojęcia.

- Szyby wentylacyjne raczej odpadają. Skoro to więzienie dla wrogów stanu, wyloty szybów są pewnie tak małe, że szczur by się ledwo przecisnął. Ale jakieś drzwi powinny być. W końcu wartownicy muszą wychodzić na dach, żeby dostać się do strażnic, a elektryk musi mieć dostęp do ogrodzenia pod wysokim napięciem na wypadek, gdyby coś się zepsuło. Wątpię, żeby wspinali się po trzydziestometrowej żelaznej drabinie umocowanej pionowo do ściany. A co z windami?

- Są. W każdym z budynków jest klatka schodowa, a po obu stronach klatki windy.

- Zapewne dochodzą do ósmego piętra. Jeśli tak, to na dachu musi być nadbudówka, w której mieści się krążek i mechanizm podnośnikowy. Może tamtędy mógłbym się dostać do środka.

- A gdyby był pan w szybie i nadjechałaby winda? Zostałby pan zgnieciony na miazgę! Zdarzają się takie wypadki, i to całkiem często; wielu monterów zginęło w ten sposób, kiedy naprawiali windy.

- Ryzyko istnieje. Ale czy spacer po oblodzonej linii wysokiego napięcia, zwłaszcza gdyby zerwał się wiatr, nie byłby ryzykowny? Doktorze, co mieści się na siódmym piętrze? Też jakieś laboratoria?

- Tak by się zdawało, ale nie. Siódme piętro należy do władz uwięzienia. Są tu pomieszczenia mieszkalne dla oficerów i personelu cywilnego; może chodzi o to, że krzyki więźniów nie dawałyby im zasnąć, gdyby spali w tym samym budynku, a może wołać być z dala od nich na wypadek, gdyby w więzieniu wybuchł bunt... Sam nie wiem. W każdym razie siódme piętro przeznaczone jest na kancelarię i biura. We wschodnim budynku mieszczą się kwatery strażników, ich stołówka i kuchnia; resztę powierzchni zajmują cele. Jedynie w piwnicy znajduje się kilka uroczych pomieszczeń, eufemistycznie zwanych salami przesłuchań.

Bruno popatrzył na niego uważnie.

- Nie wiem, czy mam prawo o to pytać, ale skąd posiada pan tak szczegółowe informacje? Nie sądzę, żeby obcych wpuszczano do środka, ani żeby któryś ze strażników odważył się mówić.

- Odpowiem panu. Mamy w Krau swojego człowieka. To nie Amerykanin; tubylec. Piętnaście lat temu uwięziono go za jakieś drobne przewinienie polityczne; z czasem został tak zwanym kalefaktorem, czyli porządkowym, i mógł się poruszać po całym budynku. Ale jego uprzywilejowana pozycja w najmniejszym stopniu nie zmniejszyła nienawiści, jaką zawsze żywił do reżimu, a także do pracowników Łubianu. Co jakiś czas pija jednak ze strażnikami i wartownikami, i dzięki temu niezłe orientuje się w tym, co się tam dzieje. Zwolniono go cztery lata temu, ale strażnicy mają do niego zaufanie i nic przed nim nie kryją, kiedy zaprasza ich na wódkę. Za wódkę, oczywiście, płacimy my.

- Brudny interes.

- Taka już jest praca w wywiadzie i kontrwywiadzie. Nie ma czym się chwalić.

- Wciąż nie wiem, jak się dostać do środka. Ale może coś mi jeszcze przyjdzie do głowy. Mówił pan Marii o akcji?

- Nie. Mamy na to czas. Im mniej osób wie...

- Chciałbym ją wtajemniczyć. Dziś wieczorem. Mogę?

- Uważa pan, że co trzy głowy, to nie dwie? - Harper uśmiechnął się. - Nie ma pan o mnie zbyt wysokiej opinii.

- Nie o to chodzi. Po prostu nie mogę pana bezpośrednio angażować w to, co mam zrobić. Pan koordynuje całą akcję i jest jedyną osobą, która zna wszystkie szczegóły. Podejrzewam, że jeszcze nie powiedział mi pan wielu rzeczy, ale w tej chwili to nie takie ważne. Zresztą, zalecałem się do tej młodej damy dość wytrwale, i chociaż robiłem to na

wasze polecenie, nie powiem, żeby nie sprawiało mi to przyjemności. Ludzie przyzwyczaili się, że często przebywamy razem.

- Przyzwyczaili się również, że często przebywa z Henrym - powiedział bez złościwości Harper.

- Wyzwę go na pojedynek, gdy tylko znajdziemy się w jakimś europejskim mieście o odpowiedniej scenerii. Doktorze, nie oczekuję od Marii żadnych rozwiązań. Ale potrzebna mi jest jej współpraca. Dopóki nie usłyszę, czy się zgadza, nie ma sensu omawiać z panem mojego pomysłu.

- W porządku. Kiedy jej pan powie?

- Po kolacji.

- Gdzie? Tutaj?

- Nie. Pan to co innego. To normalne, że lekarz cyrkowy odwiedza mnie tutaj, sprawdzając, jak postępuje rekonwalescencja cennego artysty. Ale skoro ściany w kabinie mogą mieć uszy - a nie przysyłałby pan tu Cartera z wykrywaczem pluskiew, gdyby było inaczej - na wszelki wypadek wolę spotkać się z Marią gdzie indziej. Nie chcę, żeby ją też mieli na oku.

- Proponuję u niej w kabinie.

- Dobrze - odparł Bruno po krótkim namyśle.

Przed kolacją, kiedy Bruno zajrzał do salonu, zobaczył Marię siedzącą samotnie w rogu sali. Dosiadł się do niej i zamówił sok.

- Niesamowite - rzekł. - Nie do wiary. Maria Hopkins siedzi sama?

- A czyja to wina? - spytała szorstkim tonem.

- Przecież nie moja!

- Wszyscy traktują mnie tu jak wyrzutka, jak pariasa. Wielu sympatycznych mężczyzn chętnie postawiłoby mi drinka i chwilkę ze mną porozmawiało, ale boją się. Unikają mnie jak zarazy. Boją się, że wielki Bruno mógłby zobaczyć ich ze mną. - Westchnęła ponuro. - Albo Henry. Jego też się boją. Jest przecież największą radością i skarbem swojego stryja, szefa tego całego interesu, a poza tym potrafi tak spojrzeć, że każdemu idzie w pięty. Jedyne człowiek, który się niczym nie przejmuje, to ten olbrzym, twój przyjaciel. Nazywa mnie twoją wybranką, wiesz?

- Masz coś przeciwko temu?

To się nazywa prawdziwie wnikliwe pytanie. Zignorowała je z pogardą.

- No cóż. A gdzie się podziewa mój szanowny rywal? Właśnie rozmawiałem o nim z doktorem Harperem. Kiedy dotrzemy na Węgry, Henry i ja stoczmy pojedynek. Mam nadzieję, że przyjdiesz, laleczko. Bądź co bądź będziemy walczyć o twoje względy.

- Och, daj spokój. - Przez dłuższą chwilę siedziała z naburmuszoną miną, ale w końcu nie wytrzymała; uśmiechnęła się szeroko i położyła rękę na jego dłoni. - Jaki jest męski odpowiednik "laleczki"?

- Pewnie lalusz. Ale byłbym wdzięczny, gdybyś nie zwracała się tak do mnie. Gdzie jest Henry?

- Bawi się w detektywa. - Podświadomie zniżyła głos. - Chyba kogoś śledzi. Od dwóch dni większość czasu spędza na chodzeniu za kimś, kto jego zdaniem chodzi z kolei za mną.

Ku jej zdziwieniu, Bruno się nie roześmiał.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? - spytał.

- Nie myślałam, że to istotne. Na początku nie traktowałam tego poważnie.

- A teraz?

- Sama nie wiem.

- Dlaczego ktoś miałby cię śledzić?

- Powiedziałabym ci, gdybym wiedziała.

- Na pewno?
- Nie żartuj.
- Mówiłaś o tym Harperowi?

- Nie. Bo co mam mu niby powiedzieć? Wyśmiałyby mnie tylko. I tak nie ma o mnie najlepszego zdania. Nie chcę uchodzić za strachliwą ciamajdę, która wszędzie wietrzy coś podejrzanego.

- Wiesz jak się nazywa ten twój tajemniczy cień?

- Tak. Wherry. To steward kabinowy. Drobny facet o chudej, bladej twarzy; małe oczka, mały czarny wąsik.

- Widziałem go. Podlega mu twoja kajuta?

- Nie. Pana Wrinfelda.

Bruno zamyślił się na moment, ale potem wzruszył ramionami i podniósł kieliszek.

- Chciałbym się spotkać z tobą po kolacji. Najchętniej u ciebie w kabinie.

Maria z uśmiechem też podniosła kieliszek.

- Za miły wieczór!

Po kolacji Bruno i Maria nie kryli się z tym, że wychodzą razem. Ponieważ już im się to nieraz zdarzało, nikt się specjalnie nie dziwił. Ledwo znikli za drzwiami jadalni, Henry podniósł się z krzesła i skierował do drugiego wyjścia po przeciwnej stronie sali. Na korytarzu przyspieszył kroku, wbiegł na wyższy pokład, przeszedł na drugą burłę, po czym ruszył ku rufie i wrócił schodkami na dół. Kilkanaście metrów przed sobą zobaczył Marię i Bruna, cofnął się więc za schodki i ukrył w cieniu. Niemal w tej samej chwili nie opodał ktoś wyłonił się z korytarza po lewej. Rozejrzał się i kiedy dostrzegł oddalającą się parę, szybko schował się z powrotem, ale Henry zdążył go rozpoznać. Był to niewątpliwie Wherry. Młodzieniec doznał uczucia szczerzej satysfakcji. Po chwili Wherry znów wyjrzał. Bruno i Maria skręcali właśnie w lewo. Steward wyszedł z ukrycia i ruszył ich tropem. Henry odczekał moment i ruszył za nim. Skradając się na palcach dotarł do korytarza, w który skręciła - tyle że nie jednocześnie - cała trójka; wyjrzał ostrożnie zza rogu i natychmiast cofnął się z powrotem. Wherry stał zaledwie sześć kroków za zakrętem i spoglądał w prawo, w kolejny korytarz. Henry nawet nie musiał zgadywać, co tam widzi; czwarte drzwi w tym korytarzu prowadziły do kabiny Marii. Kiedy wyjrzał ponownie, Wherry'ego już nie było. Zajął więc jego miejsce za rogiem i znów wychylił głowę. Wherry, całkiem bezwstydnie, stał z uchem przytkniętym do drzwi kabiny. Kabiny Marii. Henry cofnął się i czekał cierpliwie. Nie spieszyło mu się. Po upływie pół minuty wyjrzał ponownie. Korytarz był pusty.

Henry ruszył wolno przed siebie, minąłabinę, z której dobywał się szmer głosów, dotarł do końca korytarza i zszedł na niższy pokład. Ponieważ od dwóch dni pilnie - i, jak mu się zdawało, niepostrzeżenie - śledził Wherry'ego, wiedział, gdzie mieści się jego kabina. A był święcie przekonany, że Wherry udał się prosto do siebie. Miał rację. Wherry istotnie wrócił do swojej kabiny, a co więcej, był tak pewien siebie, że nawet nie domknął drzwi. Henry'emu nie przyszło do głowy, że przyczyną tego może być coś innego, niż zwykłe roztargnienie. Kiedy zajrzał do środka, Wherry siedział tyłem do wejścia, ze słuchawkami na uszach. Nie było w tym nic niezwykłego; Wherry, jak wszyscy stewardzi, dzieliłabinę z kolegą. Ponieważ zaś stewardzi często pracowali na innych zmianach i kładli się spać o różnych porach, słuchali radia przez słuchawki, żeby nawzajem nie zakłócać sobie snu; taki był powszechnie przyjęty zwyczaj na wszystkich statkach pasażerskich.

Maria siedziała na koi wpatrując się w Bruna z przerażeniem i niedowierzaniem. Oczy miała wytrzeszczone, twarz przeraźliwie bladą.

- To idiotyzm! To szaleństwo! to... samobójstwo! - zawołała głosem niewiele silniejszym od szeptu.

- Zgadza się. Mógłbym dorzucić jeszcze wiele podobnych określeń. Ale musisz zrozumieć, że doktor Harper jest w podbramkowej sytuacji. Całkiem chytrze to obmyślił;

pomysł nie jest zły, tyle że desperacki, lecz nic innego nie przyszło mu do głowy.

- Bruno! - Maria zsunęła się z koi i uklękła przy fotelu mężczyzny, ściskając kurczowo jego dłoń.

Na jej twarzy malował się strach; nie o siebie, lecz o niego, co Bruno przyjął z pewnym zakłopotaniem.

- Zginiesz, wiesz, że zginiesz! Nie, Bruno, proszę cię! Nie możesz! Nic nie jest warte ludzkiego życia, nic! O Boże, nie masz najmniejszej szansy wyjść z tego cało!

Popatrzył na nią zdziwiony.

- Myślałem, że jesteś zimną, bezlitosną agentką CIA.

- Nie jestem ani zimna, ani bezlitosna!

Oczy zaszkliły się jej od łez i odwróciła twarz. Niemal z roztargnieniem pogłaskał ją po włosach.

- Posłuchaj, Mario, chyba jest inny sposób.

- Nie ma.

- Poczekaj. - Wolną ręką naszkicował coś szybko na kartce. - Dajmy spokój spacerom po kablu. Spójrz, wszystkie okna są okratowane; to może być nasza, właściwie moja, jedyna szansa. Spróbuję wejść od południowej strony budynku; wystarczy mi lina z hakiem owiniętym szmatami, żeby nie robił hałasu. Postaram się zaczepić go o kraty na pierwszym piętrze. Podciągnę się do okna, odzamię hak, znów go zarzucę, i tak piętro po piętrze dotrę na dach.

- No dobrze. - Sceptycyzm nie wyparł lęku z jej twarzy, jedynie go wzmógł. - I co dalej?

- Znajdę jakiś sposób, żeby ogłuszyć wartownika, czy też wartowników, w narożnej wieży. - Powiedz, Bruno, co cię do tego popycha? Dlaczego jesteś tak oddany tej sprawie? Przecież nie pracujesz w CIA! I ta cholerna antimateria nie obchodzi cię aż tyle, żebyś miał się dla niej dać zabić. A jednak gotów jesteś poświęcić życie, byleby tylko dostać się do Łubianu. Dlaczego, Bruno? Dlaczego?

- Nie wiem - rzekł.

Kłęcząc na podłodze słabo widziała jego twarz, ale przez moment wydało jej się, że spojrzał na nią bardzo podejrzliwie.

- Spytaj o to cienie zmarłych, cienie Pilgrima i Fawcetta.

- Tacy są dla ciebie ważni? Przecież ledwo ich znałeś!

Nie odpowiedział.

- No dobrze. Powiedzmy, że ogłuszysz strażników - rzekła pośpiesznie. - Ale co z prętami pod wysokim napięciem?

- Jakoś sobie poradzę. Wyłączenie prądu nie wchodzi w rachubę, więc będę musiał przedostać się górą. Ale potrzebuję twojej pomocy. Tylko uprzedzam, że możesz trafić za kratki.

- Mojej pomocy? - Spytała głucho. - I czym jest uwięzienie w porównaniu z twoją śmiercią?

Henry usłyszał te słowa. Przed chwilą Wherry odłożył na bok słuchawki i wstał po papierosa; w wydobywających się z nich cichych dźwiękach, mimo zniekształceń i trzasków, Henry rozpoznał głosy Bruna i Marii. Wyciągnął szyję, zajął głębiej do kabiny i przekonał się, że radio nie jest jedynym znajdującym się w niej sprzętem, do którego można używać słuchawek: na stole stał nieduży magnetofon z obracającą się taśmą. Wherry zapalił papierosa, wrócił na miejsce, podniósł słuchawki i już zamierzał je włożyć, kiedy Henry pchnął drzwi na oścież i wtargnął do środka. Steward odwrócił się szybko, wybałuszając oczy.

- Daj mi ten magnetofon, Wherry! - zawołał Henry.

- Pan Wrinfield!

- Tak, pan Wrinfield. Nie spodziewałeś się mnie, co? Magnetofon, Wherry.

Wherry, jakby wbrew sobie, przesunął spojrzenie z twarzy Henry'ego na jakiś punkt tuż za nim. Henry parsknął śmiechem.

- Stara sztuczka, cwaniaku! Nic z tego!

Cichy, niemal bezgłośny świst, który rozległ się za jego plecami, był ostatnim dźwiękiem, jaki Henry słyszał. Trwał zaledwie ułamek sekundy; zbyt krótko, żeby ciało młodzieńca mogło odpowiednio zareagować. Nogi ugięły się pod nim; Wherry złapał go, zanim Henry upadł na podłogę.

- Słyszałeś, co powiedziałam? - jej głos był głuchy, pozbawiony barwy. - Czym jest uwięzienie, czym jest cokolwiek, jeśli ty nie będziesz żył? Pomyśl o mnie! Wiem; zachowuję się samolubnie, ale błagam, pomyśl o mnie!

- Przestań, przestań, starczy! - zamierzał przerwać jej ostrym, a przynajmniej chłodnym tonem, ale nie wyszło mu. - Przyjeżdżamy do Krau we czwartek, a wyjeżdżamy w następną środę; będzie to najdłuższy pobyt w jednym miejscu podczas całego tournée. Występujemy w piątek, w sobotę, w poniedziałek i we wtorek. W niedzielę mamy wolne. Więc w niedzielę wynajmiemy samochód i pojedziemy się rozejrzeć po okolicy. Nie wiem, jak daleko od miasta wolno nam się obędzie oddalić, podobno częściowo zniesiono ograniczenia, ale to nieistotne. Możemy po prostu jeździć wokół Krau. Natomiast w drodze powrotnej, koniecznie już po zmierzchu, chcę przejechać obok Łubianu i przekonać się, czy od zewnątrz też pilnują go wartownicy. Jeśli tak, będzie mi potrzebna twoja pomoc.

- Bruno, błagam, zrezygnuj z tego szalonego pomysłu!

- Kiedy będę wspinał się po południowej ścianie ośrodka, ty staniesz na rogu Południowej i Głównej. Przeprowadzimy akcję we wtorek, po ostatnim występie. Wynajęty wóz - mam nadzieję, że miejscowa firma dobrze ubezpiecza swoje pojazdy - będzie zaparkowany kilka metrów dalej na Głównej. Okno będzie otwarte, a na przednim siedzeniu zostawię niedużą puszkę benzyny. Jeśli zobaczysz, że zbliża się wartownik, sięgniesz przez okno, polejesz benzyną przednie i tylne siedzenia, właściwie wystarczy je skropić, potem cofniesz się i wrzucisz do środka zapaloną zapałkę. Nie tylko ściągniesz na siebie całą uwagę, ale ogień sprawi, że bok budynku znajdzie się w tak głębokim cieniu, że będę mógł wspiąć się na górę bez przeszkód. Niestety, pewnie milicja cię zatrzyma i weźmie na przesłuchanie, sądzą jednak, że pan Wrinfield do spółki z doktorem Harperem załatwią ci zwolnienie. - Zamyślił się na moment. - Ale uprzedzam, może im się nie powieść.

- Jesteś szalony. Zupełnie szalony!

- już się nie zmienię. - Wstał. - A teraz muszę się porozumieć z Harperem.

Maria również wstała. Zarzuciła mu ręce na szyję i splotła mocno palce.

- Błagam, Bruno, błagam cię! Wycofaj się! Zrób to dla mnie.

Ujął ją za nadgarstki, ale nie próbował rozluźnić jej uścisku.

- Słuchaj, moja wybranko, mieliśmy tylko udawać zakochanych - powiedział łagodnie. - Jeśli mi pomożesz, przynajmniej mamy jakąś szansę.

- Przecież zginiesz - stwierdziła pośpiesznie.

W drodze do swojej kabiny Bruno zatrzymał się przy telefonie i zadzwonił do Harpera. Nikt nie podniósł słuchawki; w końcu odnalazł doktora w salonie.

- Noga znów mnie poboлева.

- Będę u pana za dziesięć minut.

I rzeczywiście; dokładnie za dziesięć minut zjawił się u Bruna. Nalał sobie drinka, usadowił się wygodnie w fotelu i wysłuchał relacji z rozmowy z Marią. Potem chwilę pomyślał i rzekł:

- Przyznaję, to się może udać. I mniej pan ryzykuje, niż przy moim pomysle. Kiedy

zamierza pan przeprowadzić akcję?

- Ostateczna decyzja należy oczywiście do pana, ale myślę, że najlepiej rozejrzeć się po terenie w niedzielę, a włamać się we wtorek wieczorem. Późnym wieczorem. To chyba najlepszy scenariusz i najlepsza pora, bo wyjeżdżamy w środę i jeśli milicja zechce nas przesłuchać, będzie miała niewiele czasu.

- Zgoda.

- Doktorze, czy ma pan jakiś plan na wypadek, gdybyśmy nagle musieli uciekać?

- Tak. Ale jeszcze nie jest dograny w szczegółach. Dam panu znać, jak tylko się porozumiem z szefem.

- Przez ten mały nadajnik? Miał mi pan go pokazać.

- Wiem. Pokażę i zademonstruję jak działa. W dniu kiedy przekażę panu pistolety, dam panu również plan ucieczki i nauczę obsługi nadajnika, zgoda? Zrobimy wszystko za jednym razem. Proszę powiedzieć, jak Maria zareagowała na pański pomysł?

- Bez entuzjazmu. Ale pański też nie przypadł jej do gustu. Zgodziła się pomóc, ale bardzo niechętnie.

Bruno umilkł i rozejrzał się zdziwiony.

- Coś nie tak? - spytał Harper.

- Nie wiem. Statek zwalnia. Nie słyszy pan? Nie czuje? Obroty silnika znacznie spadły. Dlaczego mielibyśmy stawać, czy choćby zwalniać, na środku Morza Śródziemnego? No cóż, pewnie wkrótce się dowiemy.

Dowiedzieli się natychmiast. Drzwi, bez żadnego uprzedzenia, otworzyły się na oścież z taką siłą, że prawie wyleciały z zawiasów. Do środka wpadł Tesco Wrinfeld. Twarz miał szarą i z trudem łapał oddech.

- Nie ma Henry'ego! - zawołał. - Nigdzie nie możemy go znaleźć!

- Czy dlatego "Carpentaria" zwalnia? - spytał Bruno.

- Szukaliśmy wszędzie! - Wrinfeld jednym haustem opróżnił kieliszek koniaku, który Harper wsunął mu do ręki. - Szukała cała załoga i nadal szuka. Ale nigdzie ani śladu. Znikł, po prostu znikł!

Harper spojrzał na zegarek.

- Niech się pan tak nie denerwuje - rzekł uspokajająco. - Przecież szukają najwyżej kwadrans. A to całkiem spory statek.

- Ale załoga też jest liczna - powiedział Bruno. - I dobrze wie, co robić w takiej sytuacji. W krótkim czasie potrafi przeszukać każdy kąt, od łodzi ratunkowych po ładownię. - Zwrócił się do rozdygotanego Wrinfelda. - Przykro mi, panie dyrektorze; wiem, że moje słowa nie brzmią pokrzepiająco. Ale taka jest prawda. Czy dlatego kapitan kazał zwolnić, żebyśmy się za bardzo nie oddalili od miejsca, w którym pański bratanek mógł wypaść za burtę?

- Pewnie tak. - Wrinfeld wyteżył słuch. - Ale chyba znów przyspieszyliśmy, co?

- Tak. I zwracamy - oznajmił Bruno. - Niestety, to znaczy, że kapitan jest przekonany, że Henry'ego nie ma na pokładzie. Robimy skręt o sto osiemdziesiąt stopni i płyniemy z powrotem. Jeśli Henry wypadł za burtę, może wciąż utrzymuje się na wodzie. Zdarzały się takie przypadki. Znajdziemy go.

Wrinfeld z niedowierzaniem podniósł na niego zbolwały wzrok; Bruno nie dziwił mu się - sam też nie wierzył w to, co mówił.

Wyszli na pokład. "Carpentaria" zawróciła i płynęła z powrotem z szybkością około dziesięciu węzłów. Spuszczono na wodę szalupę motorową z marynarzami. Dwa silne reflektory, umieszczone po obu stronach mostku kapitańskiego, omiały morze przed statkiem. Dwaj marynarze stojący na dziobie silnymi latarkami świecili niemal pionowo w dół. Tuż za nimi dwaj następni trzymali w pogotowiu umocowane do liny i zaopatrzone w światła koła ratunkowe. Z burt statku spuszczone drabinki.

Przez dwadzieścia minut napięcie rosło, a nadzieje kurczyły się. W końcu Wrinfild zostawił Bruna i Harpera i udał się na mostek. Kapitan stał przy burcie na prawo od mostku, z lornetką przy oczach.

- Pańskiego bratanka nie ma na statku, panie Wrinfild. To nie ulega żadnej wątpliwości. - Spojrzał na zegarek. - Minęło dokładnie trzydzieści osiem minut, odkąd widziano go ostatni raz. I jesteśmy dokładnie w tym samym miejscu, w którym byliśmy przed trzydziestoma ośmioma minutami. Będę z panem szczery: jeżeli chłopak żyje, to nigdzie dalej na pewno go nie ma.

- Mogliśmy go przeoczyć...

- Mało prawdopodobne. Bezwietrzna noc, spokojne morze, brak silniejszych prądów, a pływy na Morzu Śródziemnym są nieznaczne. Nie mogło go znieść daleko od naszego kursu.

Powiedział coś do stojącego obok oficera, który wysłuchał go i szybko cofnął się na mostek. - Co teraz? - spytał Wrinfild.

- Zatoczmy małe koło. Potem będziemy zataczać coraz większe. Może trzy, może cztery. Jeśli chłopaka nie znajdziemy, wrócimy z tą samą szybkością do miejsca, w którym zawróciliśmy.

- I na tym koniec?

- Niestety. Nic więcej nie możemy zrobić.

- Nie jest pan optymistą, kapitanie.

- Nie jestem.

Poszukiwania, a następnie powrót do miejsca, w którym statek zawrócił, zajęły równo czterdzieści minut. Maria, która stała obok Bruna w cieniu łodzi ratunkowej, wzdrygnęła się, czując, jak silniki "Carpentarii" zwiększają obroty i statek nabiera prędkości.

- A więc po wszystkim, tak?

- Pogaszono reflektory.

- To przeze mnie! - zawołała stłumionym głosem. - Zginał przeze mnie.

- Nie wygłupiaj się. - Bruno objął ją ramieniem. - Nie mogłaś niczemu zapobiec.

- Mylisz się! Mogłam! Ale nie traktowałam poważnie tego, co mówił! Wprawdzie nie wyśmiałam go, ale... ale nie wierzyłam mu. Boże, od razu wtedy, dwa dni temu, powinnam była powiedzieć ci o wszystkim. - Łzy ciekły jej po policzkach. - Albo doktorowi. To był taki miły chłopak!

Słyszając, że dziewczyna mówi o Henrym w czasie przeszłym, Bruno zorientował się, że wreszcie przyjęła do wiadomości to, co dla niego było jasne już od godziny.

- Może porozmawiaj z biednym panem Wrinfildem - powiedział łagodnie.

- Tak. Tak, oczywiście. Ale... ale nie chcę widzieć nikogo innego. Czy nie mógłbyś... przepraszam, że cię o to proszę, ale czy nie mógłbyś... może... tu go przyprowadzić?

- Za nic! Nie zostawię cię samej.

Poczuł na sobie wzrok Marii.

- Myślisz, że ktoś... - szepnęła.

- Sam nie wiem, co myśleć, bo nie wiem ani jak, ani w jakim celu sprzątnięto Henry'ego. Nie wierzę, żeby to był wypadek: zginał, bo zauważył, że ktoś się tobą zbytnio interesuje. Podejrzewam, że coś odkrył. Słuchaj, przeprowadziłem takie małe śledztwo. Otóż Henry opuścił jadalnię tuż po nas. Wyszedł innymi drzwiami, pewnie chciał wszystkich zmylić. Nie sądzę jednak, żeby nas śledził; może mu się nie podobało, że tak często przebywamy razem, ale to był uczciwy i porządny chłopak, a nie żaden stuknięty podglądacz. Myślę, że przyjął na siebie rolę twojego anioła stróża i ruszył za nami tylko po to, żeby sprawdzić, czy nikt nas nie szpieguje. Miał żyłkę do przygód, coś takiego leżało w jego naturze. Mogę się tylko domyślać, że natknął się na kogoś, i ten ktoś, albo jego współnik... - Bóg wie, ilu łobuzów mamy na tej łajbie - zabił Henry'ego, żeby ten go nie wydał. Ale to nie

zmienia faktu, że interesowali się nie Henrym, lecz tobą. Pamiętaj, że trudno utrzymać się długo na wodzie, kiedy otrzymało się miażdżący cios w głowę. - Wyciągnął z kieszeni chustkę do nosa i otarł dziewczynie łzy. - Chodź ze mną.

Na pokładzie łodziowym spotkali Roebucka, który szedł w przeciwnym kierunku. Bruno dyskretnie dał mu znak ręką. Roebuck zatrzymał się, obrócił i wolnym krokiem ruszył za Brunem i dziewczyną, zachowując kilkumetrowy odstęp. Znaleźli Wrinfielda w kabinie radiowej; przygotowywał telegramy do rodziców Henry'ego i innych członków rodziny. Teraz, gdy minął pierwszy szok, Wrinfield był spokojny, opanowany i w sumie to bardziej on pocieszał Marię, niż ona jego.

Kiedy Bruno i Maria wyszli na korytarz, Roebuck czekał na nich pod drzwiami.

- Gdzie jest Kan Dahn? - spytał Bruno.

- W salonie. Żłopie piwo jakby przewidywał siedem lat ciężkiej suszy.

- Czy mógłbyś odprowadzić tę młodą damę do jej kajuty?

- Dlaczego? - zdziwiła się Maria; nie była zła, tylko szczerze zdumiona. - Przecież jestem w stanie...

Roebuck ujął ją stanowczo za ramię.

- Nie będziesz mi się tu buntować, młoda damo - rzekł.

- Dobrze zamknij drzwi - dodał Bruno. - Za ile minut będziesz w łóżku?

- Za dziesięć.

- Wpadnę za kwadrans.

Kiedy usłyszała głos Bruna, otworzyła drzwi. Bruno wszedł do środka, a za nim Kan Dahn z dwoma kocami pod pachą. Siłacz uśmiechnął się przyjaźnie do dziewczyny, po czym ułożył na fotelu swoje ogromne cielsko i przykrył sobie nogi kocami.

- Kajuta pana Dahna jest za ciasna dla niego. Więc będzie spał w twojej.

W pierwszej chwili Maria popatrzyła na nich oszołomiona, potem oburzona, wreszcie potrząsnęła bezradnie głową i uśmiechnęła się. Bruno pożegnał się i wyszedł. Kan Dahn obrócił przełącznik, przyciemniając blask lampy stojącej przy łóżku, po czym przekręcił klosz tak, aby światło nie padało ani na twarz dziewczyny, kiedy obędzie się spała, ani na niego. Następnie ujął dłoń Marii w swoją potężną łapę.

- Śpij spokojnie, małeńka. Nie zwracaj na mnie uwagi.

- Nie zaśniesz na tym fotelu!

- I bardzo dobrze. Nie martw się. Odeśpię jutro w ciągu dnia.

- Nie zamknąłeś drzwi.

- Wiem. - Uśmiechnął się. - Wiem, wiem.

Po kilku minutach Maria zasnęła i tej nocy nikt, na własne szczęście, nie przyszedł zakłócić jej snu.

Rozdział szósty

Przybycie statku do Genui, wyładunek wagonów i sprzętów, oraz zejście na ląd pasażerów, odbyło się szybko, sprawnie i bez komplikacji. Wrinfild całkiem wrócił do równowagi, znów był dawnym sobą, opanowanym i zaradnym; obserwując go, jak nadzoruje wyładunek, trudno było uwierzyć, że zaledwie zeszłej nocy utracił bratanka, którego kochał jak własnego syna. Ale Wrinfild był do szpiku kości człowiekiem cyrku; wiedział, że bez względu na okoliczności nic nie może zakłócić planowanych występów.

Wagony połączono razem, po czym nieduża lokomotywa manewrowa przeciągnęła je na dworzec przetokowy, niecałe dwa kilometry dalej, gdzie czekały już dodatkowe puste wagony oraz zapasy żywności dla ludzi i zwierząt. Późnym popołudniem wszystko było gotowe do dalszej podróży; skład podłączono do ogromnej włoskiej lokomotywy transportowej, która miała przeciągnąć pociąg przez liczne góry znajdujące się na trasie. Zapadał zmierzch, kiedy ruszyli w stronę Mediolanu.

Europejskie tournee, które obejmowało dziesięć krajów - trzy w Europie Zachodniej i siedem we Wschodniej - okazało się czymś więcej niż artystycznym sukcesem; był to po prostu jeden wielki triumfalny pochód. W miarę jak pełne zachwytu opinie docierały do kolejnych miejsc leżących na trasie, artystów przyjmowano z coraz większym entuzjazmem; w końcu doszło do tego, że czuli się niemal zażenowani uwielbieniem, z jakim stykali się na każdym kroku. Chętnych do obejrzenia spektaklu było sześć razy więcej niż miejsc, mimo że

cyrk występował w przeogromnych salach, niekiedy większych niż w Ameryce. W dużych miastach pociąg stawał na bocznych torach daleko od centrum, zawsze jednak witały ich i żegnały rozentuzjasmowane tłumy sporo liczniejsze od tych, jakie gromadzą się na międzynarodowych dworcach lotniczych, kiedy przylatuje najmodniejszy zespół młodzieżowy lub drużyna piłki nożnej, która właśnie wywalczyła puchar. Tesco Wrinfild świadomie zmusił się do tego, żeby nie wracać myślami do tragedii, jaka go spotkała. Był w swoim żywiole. Pokonywanie różnych problemów organizacyjnych związanych z występami w tyłu miastach sprawiało mu przyjemność. Znał Europę, zwłaszcza Europę Wschodnią, skąd pochodzili jego czołowi artyści, nie gorzej niż występujący u niego Europejczycy, a na pewno znacznie lepiej od wszystkich innych Amerykanów w zespole. Wiedział, że widzowie przychodzący na spektakle są bardziej obeznani ze sztuką cyrkową i mają zarówno lepszy gust, jak i bardziej krytyczne podejście, niż widzowie w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie; liczne recenzje w gazetach, które nazywały jego dziecko, jego największą dumę i radość, najlepszym cyrkiem wszechczasów, działały na niego jak wspaniały balsam; jeszcze większą satysfakcją, o ile to w ogóle było możliwe, sprawiała mu tylko coraz częściej powtarzająca się opinia, iż on sam jest najgenialniejszym dyrektorem cyrku na świecie. Również ta bardziej pragmatyczna strona całego przedsięwzięcia rozwijała się po jego myśli: nabite sale powodowały tak duże zyski, że czytanie ksiąg rachunkowych stało się cudowną lekturą, a przecież żaden dyrektor cyrku nie może być naprawdę genialny, jeśli nie jest genialnym biznesmenem. W pewnym momencie zorientował się, że nawet gdyby odbywał tę podróż bez pomocy finansowej rządu Stanów Zjednoczonych, to i tak, mimo wysokich kosztów transportu w obie strony przez Atlantyk, zyski byłyby ogromne. Ale oczywiście nie zamierzał informować o tym rządu.

Równie szczęśliwi jak dyrektor byli ci artyści, którzy pochodzili z Europy Wschodniej, czyli ponad połowa zespołu. Dla nich, zwłaszcza dla Węgrów, Bułgarów i Rumunów, wychowanków najlepszych szkół cyrkowych w Europie, a może i na świecie, był to tak długo oczekiwany powrót do domu. Występując przed rodakami przechodzili sami siebie, osiągając szczyty doskonałości. I chociaż w znanym, cenionym cyrku morale zawsze jest dobre, Wrinfild jeszcze nigdy nie widział swoich ludzi tak wesołych i zadowolonych. Najpierw gościli w północnych Włoszech, potem w Jugosławii, Bułgarii, Rumunii i na Węgrzech, po czym znów przekroczyli żelazną kurtynę, żeby wystąpić w Austrii.

Pierwszego dnia w Wiedniu, po ostatnim występie, gdy wreszcie umilkły niekończące się owacje, do jakich zespół zdołał już przywyknąć, do Bruna podszedł doktor Harper, który od zejścia na ląd starał się ograniczać ich kontakty do minimum.

- Kiedy się pan przebierze, proszę wpaść do mojego przedziału - poprosił.

Bruno zjawił się po kilku minutach.

- Obiecałem, że za jednym zamachem załatwimy trzy sprawy - rzekł Harper, od razu przechodząc do rzeczy; odpiął dno torby lekarskiej i wydobył z niego metalowy pojemnik wielkości niedużej książki.

- Istne cudeńko. Słuchawki i mikrofon. Włącza się tu. Ten guzik nastawia nadajnik na z góry zakodowane długości fal i wysyła sygnał wywoławczy; przy odbiorniku w Waszyngtonie pełnione są dyżury dwadzieścia cztery godziny na dobę. Tu się naciska, kiedy samemu chce się mówić. Proste.

- Wspominał pan coś o szyfrach.

- Nie będę pana nimi trudził. Wiem, że gdybym je napisał, zapamiętałby je pan bez trudu, ale wszyscy w CIA dostaliby gorączki na myśl, że tajne szyfry choć przez moment widniały na papierze. Zresztą, gdyby doszło do tego, że musiałyby pan posłużyć się nadajnikiem, a to niestety by oznaczało, że mnie nie ma już wśród żywych, używanie szyfru byłoby zbędnym zawracaniem głowy. Po prostu krzyknie pan "pomocy!" i tyle. Dziś wieczorem otrzymałem potwierdzenie trasy naszej ewentualnej ucieczki. Mniej więcej za

dziesięć dni na Bałtyku będą odbywać się ćwiczenia NATO. Bliżej nieokreślony okręt - zakładam, że amerykański, ale nie wiem, jakiego typu, Waszyngton nie chce puścić pary z ust - albo będzie czekał na wodzie, albo pływał wzdłuż brzegu, od piątku wieczorem do następnego piątku. Na pokładzie znajduje się helikopter używany do akcji ratunkowych. Wylądować w miejscu, które panu wskażę, kiedy tam dotrzemy. Uznałem, że bezpieczniej nie mieć przy sobie żadnych map, więc dopiero po układzie terenu rozpoznam to miejsce. Radiostacja na okręcie ma odbiornik nastawiony na tę samą częstotliwość, co aparatura w Waszyngtonie. Wystarczy nacisnąć ten przycisk, żeby sprowadzić helikopter.

- Jasne i proste. Organizacja na medal, doktorze. Powoli zaczynam wierzyć, że rządowi rzeczywiście bardzo zależy na obliczeniach Van Diemena.

- Na to wygląda. Aha, jeszcze jedno. Jak długo pamięta pan treść dokumentu, na który pan spojrzysz?

- Tak długo jak chcę.

- Więc jeśli zobaczy pan obliczenia Van Diemena, zdoła je pan odtworzyć nawet po roku?

- Chyba tak.

- Miejmy nadzieję, że tak się stanie, że zobaczy je pan, a potem nam odtworzy. Że uda się panu wejść do środka, zapamiętać obliczenia i wyjść niezauważonym przez nikogo. Innymi słowy, że nie będzie pan musiał posłużyć się tym. - Z górnej kieszeni marynarki wyjął dwa grube długopisy, jeden czarny, drugi czerwony, z przyciskami u góry. - Dziś wieczorem przyniosłem je z miasta. Nie muszę panu chyba mówić, skąd je mam.

Bruno popatrzył na długopisy, potem na Harpera.

- Na co mi to? - zapytał.

- Wprawdzie nasz wydział badań i wynalazków ma różne niedociągnięcia, ale pracownikom nie brak wyobraźni. Uwielbiają wymyślać takie zabaweczki. Myślał pan, że będzie przekraczał komunistyczne granice z dwoma koltami przy pasie? To są właśnie te pistolety, o które pan prosił. Tak, tak. Czerwony jest na strzałki ze środkiem usypiającym, dość niebezpiecznym, jeśli ktoś choruje na serce; czarny to pistolet gazowy.

- Ale małe!

- Przy obecnych możliwościach miniaturyzacji są i tak całkiem duże. Odległość rażenia pocisków usypiających - dwanaście metrów; naboju gazowych - dwa. Obsługa dziecinnie prosta: odbezpiecza się przez naciśnięcie przycisku u góry, strzela przez naciśnięcie skuwki. Niech je pan nosi na widoku, wetknięte do zewnętrznej kieszeni, żeby się wszyscy do nich przyzwyczaili. A teraz proszę uważnie słuchać; zapoznam pana ze szczegółami akcji w Krau.

- Sądziłem, że zaakceptował pan mój plan!

- Tak. Chodzi mi tylko o uzupełnienie pewnych drobiazgów. Zapewne zastanawiał się pan, dlaczego CIA przydzieliła panu agenta, który z zawodu jest lekarzem. Zaraz to panu wyjaśnię.

Daleko od Wiednia, w jasno oświetlonym, pozbawionym okien, surowo urządzonym pokoju, na którego wyposażenie składały się tylko metalowe szafy na akta, metalowy stół i metalowe krzesła, siedziało trzech mężczyzn. Wszyscy trzej mieli na sobie mundury. Po oznaczeniach stopni można się było zorientować, że jeden jest pułkownikiem, drugi kapitanem, trzeci sierżantem. Pułkownik Siergiej Siergiejew, chudy, o sępiej twarzy, oczach jakby pozbawionych powiek i cienkiej szramie w miejscu ust, był wysokim funkcjonariuszem służby bezpieczeństwa; jego wygląd znakomicie pasował do tej roli. Asystent pułkownika, kapitan Kodes, dobrze zbudowany trzydziestokilkulatek, miał uśmiechniętą twarz i zimne, błękitne oczy. Trzeci z mężczyzn, sierżant zwany "Angelo", odznaczał się wyłącznie swoim wyglądem zewnętrznym, ale też wyglądał zaiste imponująco. Masywny i potężnie umięśniony, wydawał się niemal zbyt szeroki w barach jak na swój

wzrost, choć mierzył metr dziewięćdziesiąt, a ważył sto piętnaście kilo. Obowiązki Angela ograniczały się tylko do jednego: do ochrony Siergiejewa. Był jego osobistym - i osobiście wybranym - gorylem; nikt nie mógł zarzucić pułkownikowi, że dokonał wyboru na chybił trafił.

Na stole znajdował się włączony magnetofon. Jakiś głos powiedział

"...to wszystko, co na razie mamy".

Kodes pochylił się i wyłączył magnetofon.

- Starczy w zupełności - oświadczył Siergiejew. - Więcej informacji nam nie trzeba. Cztery różne głosy. Zakładam, Kodes, że gdybyście spotkali jedną z tych osób, któreśmy słyszeli, potrafilibyście ją rozpoznać?

- Oczywiście, towarzyszu pułkowniku.

- A ty, Angelo?

- Absolutnie! - dudniący głos sierżanta zdawał się wydobywać niemal z jego butów.

- W takim razie zarezerwujcie dla nas pokoje w mieście, w którym cyrk występuje przed przyjazdem do Krau - dla nas trzech i dla fotografa. Macie już odpowiedniego?

- Myślałem o Nikołaju, towarzyszu pułkowniku. To młody chłopak, ale piekielnie zdolny.

- W porządku. - Wargi pułkownika rozchyliły się o pół centymetra, co znamionowało uśmiech. - Ostatni raz byłem w cyrku przed wojną, ponad trzydzieści lat temu. Więc teraz, na ten spektakl, cieszę się jak dziecko. Mam nadzieję, że ci artyści są rzeczywiście tak dobrzy jak niesie fama. Aha, Angelo, występuje tam taki jeden człowiek, którego powinieś zobaczyć, a może nawet poznać.

- Nie interesują mnie ludzie, którzy pracują w amerykańskim cyrku, towarzyszu pułkowniku. - No, no, Angelo, nie bądź szowinistą.

- "Szowinistą", towarzyszu pułkowniku?

Siergiejew już otwierał usta, żeby wytłumaczyć sierżantowi, co to słowo znaczy, ale machnął ręką. Angelo odznaczał się tężyzną fizyczną, nie inteligencją.

- W cyrku nieważne są narodowości, Angelo; liczą się tylko wykonawcy. Widowni nie obchodzi, czy dany akrobata to Rosjanin, czy Sudańczyk. Artysta, o którego mi chodzi, nazywa się Kan Dahn. Podobno jest jeszcze większy od ciebie. Reklamują go jako najsilniejszego człowieka na świecie.

Angelo nic nie odpowiedział, jedynie wydał swoją ogromną klatkę piersiową, mierzącą metr trzydzieści dwa w obwodzie, i wyszczerzył ostre jak u wilka zęby w powątpiewającym uśmiechu.

Trzydniowy pobyt w Austrii, kolejny wielki sukces amerykańskich artystów, dobiegł końca. Pociąg ruszył w dalszą drogę i wreszcie dotarł do miasta, do którego pułkownik Siergiejew i jego podwładni udali się specjalnie po to, żeby obejrzeć występy. Przyszli na wieczorny spektakl i zajęli najlepsze miejsca w szóstym rzędzie, dokładnie na wprost środkowej areny. Wszyscy czterej byli ubrani po cywilnemu; nie wyglądali jednak na cywili, lecz na wojskowych w cywilnych ubraniach. Tuż po rozpoczęciu spektaklu, jeden z nich wyjął z torby drogi aparat fotograficzny z teleobiektywem; natychmiast przyleciał do niego umundurowany milicjant. Władze nie pochwały robienia zdjęć; jeśli u cudzoziemca znajdowano aparat wwieziony bez specjalnego zezwolenia, nieszczęśnika czekał areszt, a potem rozprawa sądowa. Wszystkie aparaty fotograficzne należące do pracowników cyrku zostały im zabrane przy przekraczaniu granicy i miały zostać zwrócone dopiero przy wyjeździe.

- Aparat, proszę. I dokumenty - powiedział milicjant.

- Chwileczkę.

Milicjant spojrzał na Siergiejewa z zimną pogardą, po chwili jednak grdyka zaczęła mu chodzić, jakby usiłował przełknąć coś, co utknęło mu w gardle.

- Przepraszam, towarzyszu pułkowniku - wybełkotał wreszcie, przysuwając się bliżej.
- Nikt mnie nie powiadomił.
- Zawiadomiłem waszą komendę. Proszę znaleźć i ukarać winnego przeoczenia.
- Towarzyszu pułkowniku! Wybaczenie mi moje...
- Nie zasłaniajcie.

Spektakl był tak wspaniały, że rzeczywiście szkoda było tracić z niego cokolwiek. Fakt, że ich popisy obserwowali smakosze cyrkowej sztuki, w dodatku szalenie entuzjastyczni smakosze, działał dopingująco na artystów; w ciągu ostatnich kilku tygodni szlifowali swoje umiejętności i doskonalili sztuczki, wzbogacając je o coraz trudniejsze i bardziej niebezpieczne elementy, aż doszli do wręcz niebywałej perfekcji. Nawet Siergiejew, którego umysł zazwyczaj przypominał zamrożony komputer, całkowicie uległ magicznemu urokowi cyrku. Jedynie Nikołaj, młody i niezwykle przystojny fotograf, siedział skupiony, niemal bez przerwy wykonując artystom zdjęcia. Ale nawet on zapomniał o aparacie i swoim zadaniu, kiedy Orły Ciemności rozpoczęły swój samobójczy występ; tak jak i jego towarzysze, gapił się na nich z otwartymi ustami.

Wkrótce po występie Orłów Ciemności do Siergiejewa podszedł mały rzucający się w oczy osobnik.

- Dwa rzędy za wami, dziesięć krzeseł w lewo - szepnął.

Pułkownik bez słowa skinął głową. Tuż przed końcem spektaklu na arenie pojawił się Kan Dahn, który ostatnio niemal z dnia na dzień zdawał się rosnąć w siłę. Kan Dahn traktował z pogardą takie rekwizyty jak żelazne pręty i sztangi; uważał, że nawet pięciolatek może wiązać pręty w supły i podnosić sztangi, o ile są wykonane z odpowiedniego surowca, innego, oczywiście, niż żelazo lub stal. Wolał używać ludzi; trudno bowiem, żeby postacie, które biegają, skaczą i fikają koziołki były wykonane z lekkiego plastyku. Na zakończenie Kan Dahn obszedł środkową arenę, niosąc grubo drewniany bal umieszczony poziomo na specjalnym jarzmie. Po obu stronach bala siedziało pięć dziewcząt. Jeśli artysta odczuwał ich ciężar, nie było tego wcale po nim widać. Czasami przystawał, żeby prawą stopą podrapać się po lewej łydce. Siergiejew przechylił się przez Kodesa do Angela, który obserwował występ ze zdecydowanie obojętną miną.

- Duży, co, Angelo?

- Silny, ale tylko na popis. Wata, nie mięśnie. Raz widziałem w Atenach staruszka: na oko miał już ósmy krzyżyk i nie ważył więcej jak pięćdziesiąt kilo, a dźwigał na plecach fortepian. Sam by się z nim nie wyprostował, ale skoro mu już wsadzili pudło na plecy, to je niósł. Musiał tylko uważać, żeby się nie zachwiać, bo inaczej runąłby jak długi.

Zanim jeszcze Angelo skończył mówić, Kan Dahn zaczął się wspinać po drabinie umieszczonej na środku areny. W górze znajdowała się platforma o wymiarach metr na metr. Siłacz dotarł do niej bez trudu, wszedł na zamontowaną na niej okrągłą płytę i przebijając nogami, grubymi jak pnie drzew, wprowadził ją w ruch; obroty stawały się coraz szybsze i szybsze, aż wreszcie siedzące na końcach bala dziewczyny zwały się w jedną barwną plamę. Stopniowo płyta zaczęła zwalniać; kiedy zatrzymała się, Kan Dahn zszedł po drabinie, kucnął i zniżył ramiona tak, żeby stopy dziewcząt dotknęły wysypanej piaskiem areny.

Siergiejew znów nachylił się do Angela.

- Czy ten twój starzec w Atenach też by to potrafił?

Angelo nie odpowiedział.

- Gość podobno potrafi wykonywać ten sam numer z czternastoma dziewczynami, ale dyrekcja mu nie pozwala, obawiając się, że wszyscy zaczęliby wierzyć jakiś szwindel. No, Angelo?

Angelo znów nie odezwał się ani słowem.

Spektakl dobiegł końca; entuzjastyczne brawa, które przeszły w stojącą owację, trwały dobre kilka minut. Kiedy wreszcie widzowie ruszyli gęsiego w stronę wyjścia,

Siergiejew rozejrzał się uważnie po sali. Wypatrzywszy Wrinfelda dopasował swój krok tak, żeby spotkali się w przejściu między rzędami.

- Pan Wrinfeld?

- Owszem. Przepraszam, ale nie przypominam sobie pana.

- Widzimy się po raz pierwszy. - Siergiejew wskazał na zdjęcie Wrinfelda na okładce programu, który trzymał w ręce - poznałem pana po tym. Jestem pułkownik Siergiejew. Wymienili uścisk dłoni.

- Oszalamiający spektakl. Wręcz niewiarygodny. Gdyby ktoś mi wcześniej powiedział, że takie rzeczy są możliwe, nazwałbym go łgarzem.

Wrinfeld pokraśniał z zadowolenia. Żadna muzyka, nawet Dziewiąta Symfonia Beethovena, nie działała na niego tak, jak pochwały kierowane pod adresem cyrku.

- Od dzieciństwa jestem wielkim miłośnikiem sztuki cyrkowej. - Siergiejew kłamał jak z nut, zresztą miał do tego wyjątkowy dar. - Ale nigdy dotąd nie widziałem równie wspaniałego widowiska.

Wrinfeld pokraśniał jeszcze bardziej.

- Jest pan bardzo uprzejmy, pułkowniku.

Siergiejew potrząsnął smutno głową.

- Po prostu brakuje mi słów, żeby oddać należny hołd pańskim wspaniałym artystom. Ale przedstawiłem się nie tylko po to, żeby złożyć panu gratulacje. Kolejne miasto na trasie cyrku to Krau, a ja jestem tam komendantem milicji. - Wręczył Wrinfeldowi wizytówkę z odpowiednim nadrukiem; nosił przy sobie kilka, z różnymi nadrukami na różne okazje. - Czułbym się naprawdę zaszczycony, gdybym mógł panu w czymkolwiek pomóc. Gdybym był potrzebny, zawsze znajdzie mnie pan na widowni. Postanowiłem, że nie opuszczę ani jednego spektaklu, bo wiem, że już nigdy nie zobaczę występów na tak wysokim poziomie. Dopóki pański cyrk będzie w Krau, złodzieje mogą sobie używać do woli.

- Dziękuję, pułkowniku, jest pan niezwykle uprzejmy. Mam nadzieję, że zgodzi się pan przyjąć moje osobiste zaproszenie na wszystkie występy. Wyświadczyłby mi pan zaszczyt... - Nagle urwał i spojrzał na trzech mężczyzn, przysłuchujących się ich rozmowie. - Czy ci panowie...?

- Są ze mną. Tak bardzo wciągnąłem się w rozmowę, że całkiem o nich zapomniałem. Pułkownik przedstawił swoich podwładnych, a Wrinfeld doktora Harpera, który siedział obok niego w czasie spektaklu, i teraz mu towarzyszył.

- Tak jak zacząłem mówić, wyświadczyłby mi pan zaszczyt, panie pułkowniku, gdyby pan i pańscy ludzie zechcieli wstąpić do mnie na drinka.

Siergiejew odparł, że byłby to znacznie większy zaszczyt dla niego i jego ludzi. Obie strony prześcigały się w uprzejmościach. W biurze Wrinfelda z jednego drinka zrobiły się dwa, z dwóch trzy. Nikołaj, uzyskawszy pozwolenie od Wrinfelda, pstrykał zdjęcia jak oszalały, najchętniej - i nie zwracając uwagi na jej protesty - uśmiechniętej Marii, która siedziała przy biurku, gdy weszli do środka.

- A może chciałby pan, pułkowniku, poznać niektórych naszych wykonawców? - spytał Wrinfeld.

- Czyta pan w moich myślach, dyrektorze! Nie śmiałem sam o to prosić... obawiam się, że strasznie nadużywamy pańskiej gościnności.

- Mario. - Wrinfeld wymienił kilkanaście nazwisk. - Idź do ich garderób i spytaj, czy nie byłiby łaskawi zajrzeć tu na chwilę, żeby poznać naszego szacownego gościa.

W ciągu ostatnich kilku tygodni Wrinfeldowi udzielił się przesadnie uprzejmy sposób wyrażania się jego europejskich rozmówców. Po kilku minutach zaproszeni przez niego artyści przybyli poznać "szacownego gościa"; byli wśród nich Bruno i jego bracia, Neubauer, Kan Dahn, Ron Roebuck, Manuelo, Malthius. Angelo z niejaką rezerwą przywitał się z Kanem Dahnem, ale poza tym atmosfera była przyjemna; goście prawili komplementy,

artyści uśmiechali się skromnie. Siergiejew wiedział, że nie należy przeciągać wizyty i gdy tylko złożył gratulacje ostatniemu artyście, podziękował serdecznie Wrinfeldowi; obaj wyrazili nadzieję, że wkrótce znów się spotkają.

Przed cyrkiem czekała na pułkownika czarna limuzyna z kierowcą w milicyjnym mundurze. Obok kierowcy siedział ciemnowłosa mężczyzna w ciemnym palcie. Kiedy ujechali niespełna pół kilometra, Siergiejew kazał zatrzymać wóz i wydał jakieś polecenia cywilowi, którego nazwał "Aleksiej". Ten skinął głową i wysiadł.

- Nie mieliście trudności z dopasowaniem głosów z taśm do osób? - Siergiejew spytał Kodesa i Angela po powrocie do hotelu.

Mężczyźni potrząsnęli głowami.

- Znakomicie. Nikołaju, ile ci zajmie wywołanie zdjęć?

- Film będzie gotowy za godzinę. Zrobienie odbitek potrwa trochę dłużej.

- Wystarczą nam odbitki Wrinfelda, doktora Harpera, dziewczyny - na imię ma Maria, tak? - i kilku czołowych artystów.

Nikołaj wyszedł z pokoju.

- Ty, Angelo, też możesz odejść. Zawołam cię, jeśli będziesz mi potrzebny.

- Czy wolno spytać o cel dzisiejszej wyprawy? - zapytał Kodes.

- Wolno. Właśnie chciałem wam powiedzieć i dlatego odesłałem Angela. To oddany chłopak, ale nie należy obciążać jego umysłu zbyt zawiłymi sprawami.

Bruno i Maria, po raz pierwszy idąc ze sobą pod rękę, wędrowali słabo oświetloną ulicą, rozmawiając z wyraźnym ożywieniem. Trzydzieści metrów za nimi, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, podążał Aleksiej. Poruszając się z wprawą człowieka przyzwyczajonego do śledzenia innych, zwolnił kroku, kiedy para skręciła w drzwi, nad którymi świecił duży, choć mało czytelny neon.

W kawiarni panował półmrok i dym szczypał w oczy, gdyż pomieszczenie opalano węglem brunatnym. Ponieważ jednak temperatura na zewnątrz spadła do zera, przyjemnie było znaleźć się w cieplej sali, choć jeszcze przyjemniej byłoby otrzymać przy wejściu maskę przeciwgazową. Tylko połowa miejsc była zajęta. Przy jednym ze stolików pod ścianą siedzieli Manuelo i Kan Dahn: pierwszy miał przed sobą filiżankę kawy, drugi - dwa litry piwa. Kan Dahn tłumaczył swoją niemal legendarną konsumpcję piwa tym, że pomaga mu zachować formę; nikt nie wiedział, czy siłacz mówi prawdę, jednakże żadna ilość złocistego trunku nie przeszkadzała mu w pracy. Bruno zamienił z przyjaciółmi kilka słów i przeprosił ich, że wraz z Marią nie dosiędą się do ich stolika. Kan Dahn puścił do niego oko i odparł, że wcale się nie dziwi. Bruno i Maria zajęli stolik w rogu sali. Po kilku sekundach do kawiarni wmaszerował Roebuck; pomachał Brunowi i Marii, a następnie dosiadł się do swoich kompanów. Przez chwilę rozmawiali o jakichś głupstwach, a potem najpierw spokojnie, później coraz bardziej gorączkowo, zaczęli sprawdzać zawartość kieszeni. Brunowi zdawało się, że do ich głosów wkradła się gniewna nuta, jakby czynili sobie wzajem wymówki. Wreszcie Roebuck skrzywił się, machnął ręką, wstał i podszedł do stolika Bruna.

- Przychodzę po prośbie. Jakoś nie wpadliśmy na pomysł, żeby upewnić się, czy ktoś wziął forszę. Okazuje się, że nie mamy centa przy duszy. To znaczy, mamy, nawet kilka tysięcy centów, ale wątpię, żeby pozwolono nam tu płacić w dolarach, a Kan Dahn nie chce odpracowywać wypitych piw zmywaniem naczyń. Znasz takie powiedzenie, Bruno? Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie...

Bruno uśmiechnął się, wyjął z kieszeni portfel, odliczył kilka banknotów i wręczył Roebuckowi, który podziękował mu i wrócił do kumpli. Bruno i Maria zamówili po omlecie. Aleksiej, dygocząc z zimna przed drzwiami kawiarni, zczekał aż kelnerka przyniesie im dymiące talerze, po czym przeszedł na drugą stronę ulicy, wsunął się do budki telefonicznej, wrzucił monetę i wykręcił jakiś numer.

- Aleksiej - powiedział.

- Słucham.

- Mężczyzna i kobieta weszli do "Czarnego Łabędzia". Właśnie zaczęli jeść, więc szybko nie wyjdą. Zanim usiedli, przez chwilę rozmawiali z dwoma mężczyznami przy innym stoliku.

- Jesteś pewien, że śledzisz właściwe osoby?

- Mam ich zdjęcia, towarzyszu pułkowniku. Ledwo zajęli miejsca w rogu sali, do środka wszedł jakiś facet. Usiadł razem z tamtymi dwoma mężczyznami, ale zaraz potem wstał i podszedł do tego człowieka zwanego Brunem. Chyba pożyczał od niego pieniądze; w każdym razie widziałem, że Bruno wręcza mu kilka banknotów.

- Znasz któregoś z tej trójki? - spytał Siergiejew.

- Nie. Ale jednego rozpoznam, choćby i po dwudziestu latach. To istny olbrzym, nawet większy od Angela. W życiu takiego nie widziałem.

- Wiem, kto to. Nietrudno się domyślić. Dobrze, możesz wracać. Albo nie. Zostań tam, ale uważaj, żeby ci z kawiarni cię nie zobaczyli. Przyślę Władimira i Josifa, to cię zastąpią. Wydam im odpowiednie instrukcje, a ty im pokaż, kogo mają pilnować. Przyjadą za kilka minut.

W kawiarni Maria nachyliła się do Bruna.

- Coś nie tak? - spytała.

- Dlaczego?

- Masz taką zafrasowaną minę.

- Bo mam czym się przejmować. Dzień prawdy zbliża się wielkimi krokami. Został nam zaledwie tydzień. Nie przejmowałabyś się, gdybyś to ty musiała włamać się do tego cholernego ośrodka?

- Ale coś jeszcze cię gnębi. Stałeś się taki odległy. Chłodny, opanowany. Zrobiłam coś złego? Powiedziałam coś nie tak?

- Nie bądź śmieszna.

Położyła dłoń na jego ramieniu.

- Powiedz mi, proszę.

- Ten gest wynika z sympatii? Z czegoś więcej? A może z czegoś całkiem innego?

- Dlaczego mnie dręczysz?

- Nie miałem takiego zamiaru - odparł, lecz w jego głosie nie było przekonania. - Czy kiedykolwiek pracowałaś jako aktorka?

Cofnęła dłoń. Na jej twarzy pojawiło się zdumienie i smutek.

- Nie wiem, co złego zrobiłam, ani co takiego powiedziałam, że chcesz mi sprawić ból. A wygląda na to, że chcesz. Jeśli tak bardzo ci zależy, to uderz mnie. Tu, przy ludziach. Sprawisz mi i ból fizyczny, i psychiczny, gdyż mnie upokorzysz. Nie rozumiem cię, Bruno, zupełnie nie rozumiem. - Odsunęła krzesło. - Wrócę sama. Znam drogę.

Teraz z kolei Bruno ujął ją za rękę. Nie wiadomo, czy gest ten wynikał z sympatii, czy z chęci uniknięcia sceny.

- Gdybym tylko mógł powiedzieć to samo!

- Co?

- Że znam drogę. - Popatrzył na nią, lekko marszcząc czoło. - Od dawna jesteś w CIA?

- Prawie cztery lata - odparła; na jej twarzy znów odmalowało się zdziwienie.

- Kto cię wyznaczył do tej konkretnej roboty?

- Doktor Harper. Bo co?

- Myślałem, że admirał.

- Tak, ale na sugestię doktora Harpera. Doktor nalegał, żeby właśnie mnie powierzono to zadanie.

- No jasne.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Nic. Gratuluję doktorowi doskonałego gustu. Jak się nazywa admirał?
- Po prostu admirał.
- Przecież ma jakieś nazwisko.
- To trzeba było jego o nie spytać.
- Nie powiedziałby mi. Ale sądziłem, że ty mi powiesz.
- Dobrze wiesz, że nie wolno mi zdradzać takich rzeczy.
- Ładna sprawa! Ja tu narażam życie, żeby pomóc CIA, a ty mi nawet nie możesz dać prostej odpowiedzi. Myślałem, że po tych paru tygodniach znajomości możemy sobie zaufać. Ja ci zaufałem, ale widzę, że bez wzajemności. Nieważne jest to, że mogę zginąć, ważne natomiast, żebym za dużo nie wiedział. Zaufanie, wiara, lojalność... Piękne słowa, co? Ale tylko słowa! Kiedy przychodzi do czynów, to...

- George C. Jamieson.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się jej z powagą, po czym nagle szeroki uśmiech osiadł mu na ustach, zmieniając wyraz jego twarzy. Maria cofnęła dłoń, oczy rozblęły jej gniewnie. Kan Dahn szturchnął Roebucka i Manuela: wszyscy trzej z zaciekawieniem obserwowali scenę rozgrywającą się nie opodal.

- Ty potworze! Ty wredny, podstępny oszuście! I ty miałeś czelność pytać mnie, czy kiedykolwiek byłam aktorką?! W porównaniu z tobą jestem kompletnym aktorskim beztalenciem. Jak mogłeś mi zrobić coś takiego?! Nie zasłużyłam na to!

- Staje się coraz bardziej wściekła - zauważył Roebuck.

- Zupełnie się nie znasz na kobietach, stary! - stwierdził Kan Dahn. - Zaraz mu się oświadczy.

- Przepraszam - powiedział Bruno. - To było konieczne.

- Co? Przekonać się, czy ci ufam?

- Tak. Nawet nie wiesz, jakie to ma dla mnie znaczenie. Wybacz mi, proszę.

Znów ujął ją za rękę; nie stawiała oporu. Zaczął oglądać jej palce, na których nie było ani jednego pierścionka.

- Wygląda trochę goło - rzekł.

- Co?

- Pamiętasz, że mamy udawać zakochanych?

Odezwała się dopiero po chwili, niepewnie, z wahaniem w głosie.

- Pamiętam. Ale może powinniśmy skończyć z udawaniem?

- No właśnie. Wyjęłaś mi słowa z ust. Czy kochasz mnie, Mario?

Tym razem nie zwlekała z odpowiedzią.

- Tak - odparła szeptem, po czym zerknęła na swoją lewą dłoń i uśmiechnęła się. - Masz rację, że wygląda trochę goło.

Kan Dahn z zadowoleniem odchylił się do tyłu wraz z krzesłem.

- No i co? źle mówił wujaszek Kan Dahn? Należą mi się jeszcze ze dwa piwa.

- Na pewno? - spytał Bruno.

- Czasem nawet najmądrzejszy mężczyzna zadaje wyjątkowo głupie pytania. Nie widzisz tego po mnie?

- Chyba widzę. Oby mnie tylko wzrok nie mylił.

- Kocham cię już od tygodni - powiedziała z powagą. - Na początku oglądałam twoje występy na trapezie. Potem zaczęłam wychodzić z sali, gdy tylko wkładałeś opaskę na oczy.

Robiło mi się niedobrze. Teraz też za każdym razem robi mi się niedobrze, choć nie wchodzę już na salę. Ilekroć pomyślę, że możesz skoczyć o ułamek sekundy za wcześniej albo za późno... - Urwała; jej oczy się zaszkliły. - Wystarczy, że słyszę muzykę, te bębny i umieram ze strachu...

- Wyjdiesz za mnie?

- Oczywiście, ty ośle!

Łzy spływały jej po policzkach.

- Jak ty się brzydko wyrażasz! Swoją drogą chciałbym ci zwrócić uwagę, że Kan Dahn, Manuelo i Roebuck bardzo się nami interesują. Coś mi się zdaje, że poczynili już zakłady. I mam przeczucie, że kiedy dopadną mnie samego, naigrywaniom nie będzie końca.

- Nie widzę ich! Nikogo nie widzę!

Bruno podał jej chustkę; Maria wytarła oczy.

- Tak, chyba rzeczywiście patrzą w naszą stronę. - Nerwowo mnąc chustkę w palcach znów popatrzyła na Bruna. - Kocham cię i chcę wyjść za ciebie, choć to takie staromodne. Gotowa jestem wyjść za ciebie nawet jutro, ale zrozum, nie mogę kochać, nie mogę poślubić największego trapezisty wszechczasów. Po prostu nie mogę. I ty o tym wiesz. Chyba nie chcesz, żebym wymiotowała co chwilę przez całe życie?

- Niezbyt przyjemna perspektywa, ani dla ciebie, ani dla mnie. No cóż, człowiek ciągle się uczy czegoś nowego. Dotąd myślałem, że szantaż małżeński zaczyna się dopiero po ślubie.

- Żyjesz w dziwnym świecie, Bruno, jeśli nie odróżniasz uczciwości od szantażu.

Bruno zrobił zamyśloną minę.

- Możesz poślubić największego byłego trapezistę wszechczasów - rzekł.

- Byłego?

- Nie ma sprawy. - Machnął lekceważąco ręką. - Spalę trapez i już.

- I już? - spojrzała na niego z niedowierzaniem. - Przecież cyrk to całe twoje życie!

- Mam też inne zainteresowania.

- Jakie?

- Powiem ci, kiedy będziesz już panią Wildermann.

- A kiedy nią będę? W tym roku, w przyszłym? Może kiedyś, może nigdy?

Sprawa małżeństwa wyraźnie obchodziła ją znacznie bardziej niż sprawa nowego zawodu jej przyszłego męża.

- Możemy pobrać się choćby pojutrze.

Maria wybałuszyła oczy.

- Tu? W tym kraju?

- Nic podobnego. W Stanach. Formalności da się szybko załatwić. Możemy wsiąść w pierwszy samolot, jaki wylatuje stąd jutro rano. Nikt nas nie zatrzyma. Pieniądzy mam pod dostatkiem.

Trwało chwilę, zanim dotarły do niej jego słowa.

- Chyba sam nie wiesz, co mówisz! - oznajmiła w końcu zdecydowanym tonem.

- Zdarza się to całkiem często, nie przeczę - powiedział z uśmiechem. - Ale tym razem wiem, co mówię, bo oboje - i nie myśl, że przesadzam - znajdujemy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Nasi wrogowie wiedzą o mnie. Podejrzewam, że o tobie też. W drodze do tej knajpy byliśmy śledzeni.

- Śledzeni? Skąd wiesz?

- Później ci powiem. Nie chcę, żeby cię zabili. - Przez chwilę milczał zamyślony, pocierając dłonią podbródek. - Jeśli mam być szczery, to sam też nie chcę zginąć.

- Zostawiłbyś swoich braci? Zawiodł pana Wrinfelda, zawiodł cały cyrk? Zrezygnował z misji?

- Dla ciebie zrezygnowałbym ze wszystkiego!

- Czyżby nagle obleciał cię strach?

- Może. Jedźmy czym prędzej do ambasady amerykańskiej i ustalmy co i jak. Pewnie nie jest to najlepsza pora, ale przecież nie odeślą nas z kwitkiem, kiedy usłyszą, co nam grozi.

Maria nie wierzyła własnym uszom. Powoli wyraz zdumienia znikł z jej twarzy i zastąpiła go pogarda, która po chwili również znikła, ustępując miejsca zamyśleniu. Potem usta Marii ułożyły się w lekki uśmiech, który stawał się coraz szerszy i szerszy, aż w końcu parsknęła śmiechem. Bruno przyglądał się jej z uwagą, a jego trzech przyjaciele zerkali na nich ciekawie, nie mogąc pojąć, co się dzieje.

- Jesteś niemożliwy! - zawołała. - Jeden raz ci nie wystarczyło? Znowu mnie sprawdzasz?

- Słyszałaś, co powiedziałem? - spytał, nie reagując na jej słowa. - Jestem gotów porzucić dla ciebie wszystko. A ty? Dla mnie?

- Ależ tak. Z rozkoszą mogę porzucić wszystko. Ale nie ciebie. Wiesz, co by się stało, gdybyśmy pojechali razem do ambasady? jutro leciałabym samolotem do Stanów. Sama, bez ciebie. Ty zostałbyś tutaj. Nie próbuj zaprzeczać. Widzę to w twojej twarzy. Wydaje ci się, że nic z niej nie można wyczytać. Tajemniczy Bruno. Wszyscy tak twierdzą. Ale ze mną sobie tak łatwo nie poradzisz. Nim miną trzy miesiące, nie będziesz miał przede mną żadnych sekretów.

- Właśnie tego się obawiam. No dobrze. Spróbowałem, nie wyszło. Trudno, zdarza się. Tylko błagam, ani słówka o tym Harperowi. Nie tylko uzna mnie za durnia, ale będzie wściekły, że łączymy... no, przyjemne z pożytecznym. - Położył na stole kilka banknotów. - Chodźmy. Kiedy dojdę do drzwi, zawrócę pod pretekstem, że chcę coś powiedzieć Roebuckowi, a ty rozejrzyj się dyskretnie, czy nikt się mną nie interesuje.

Kiedy doszli do drzwi, Bruno przystanął, jakby sobie coś przypomniał, cofnął się do stolika, przy którym siedział Roebuck.

- Jak wyglądał? - spytał.

- Średniego wzrostu. Ciemne włosy, ciemny wąsik. Czarne palto. Śledził was od samego cyrku.

- W przedziałach mogą być podsłuchy. Na wszelki wypadek uważajcie. Do zobaczenia.

Bruno i Maria wyszli z kawiarni, trzymając się pod rękę.

- Kim są dla ciebie ci trzej? - spytała z zaciekawieniem.

- To starzy przyjaciele. Ale nie wystawia się głów przyjaciół pod topór. Ciemnowłosy facet w czarnym palcie; widziałas takiego? - Widziałam dwóch, ale zupełnie innych. Jeden łysy jak kolano, a drugi jasny blondyn, cała głowa w obrzydliwych loczkach jak po trwałej.

- Czyli tamten wrócił złożyć raport swojemu szefowi.

- Swojemu szefowi?

- Pułkownikowi Siergiejewowi.

- To ten komendant milicji w Krau?

- Jest komendantem, ale nie milicji w Krau. To szef służby bezpieczeństwa.

Maria aż przystanęła oszołomiona tą wiadomością.

- Skąd wiesz? Skąd możesz wiedzieć coś takiego?

- Mogę. On mnie nie zna, ale ja znam go dobrze. Pamiętaj, że stąd pochodzę. Siergiejewa nigdy nie zapomnę. Nie zapomina się człowieka, który zabił ci żonę.

- Zabił... O Boże! - umilkła. - Ale w takim razie teraz on też wie, kim jesteś.

- Wie.

- I wie, dlaczego tu przyjechałeś!

- Raczej tak.

- Więc jutro wyjeżdżamy. Wyjeżdżamy razem! - do jej głosu wkradła się nuta hysterii.

- Wylecimy pierwszym samolotem! Bo jeśli zostaniemy, to nie wyjedziesz stąd żywy!

- Mam zadanie do wykonania. I proszę cię, mów ciszej. Ten gość z głową w obrzydliwych loczkach idzie tuż za nami.

- Boję się. Tak bardzo się boję!

- Strach jest zaraźliwy. Chodź, zapraszam cię na filiżankę dobrej kawy.

- Dokąd?

- Do mojego przedziału. Do tych luksusów, których tak mi zazdrościsz.

Przez jakiś czas szli w milczeniu.

- Skoro cię podejrzewają, nie sądzisz, że mogli zainstalować u ciebie podsłuch?

- Nie musimy omawiać żadnych tajemnic.

Właśnie ich tajemnice leżały najbardziej na sercu pułkownikowi Siergiejewowi, gdy wypytywał Aleksieja.

- I to wszystko? Bruno i dziewczyna weszli do kawiarni, zamienili kilka słów z dwoma mężczyznami, którzy już tam siedzieli, po czym zajęli miejsca przy innym stoliku i zamówili kolację. Potem zjawił się trzeci mężczyzna, który podszedł do Bruna pożyczyc pieniądze, a następnie usiadł z tamtymi dwoma.

Aleksiej skinął głową.

- I twierdzisz, że widziałeś tych trzech mężczyzn po raz pierwszy w życiu i nie wiesz, jak się nazywają, ale że jeden z nich to olbrzym, tak wielki jak Angelo?

Aleksiej spojrział na Angela.

- Większy - oświadczył z satysfakcją, gdyż Angelo nie był równie życzliwie usposobiony do bliźnich co Kan Dahn, i współpracownicy nie darzyli go zbyt dużą sympatią.

Angelo zasępił się jak chmura gradowa, lecz nikt na to nie zwrócił uwagi, bo zawsze miał dość ponurą minę.

- Przynajmniej wiemy, kto to taki - stwierdził Siergiejew. - Potrafiłbyś rozpoznać ich na zdjęciach?

- Oczywiście - odparł Aleksiej, urażony w swych zawodowych ambicjach.

- Angelo, idź do Nikołaja i powiedz mu, żeby przyniósł wszystkie odbitki, jakie dotąd zrobił.

Po chwili wrócili obaj z plikiem zdjęć. Siergiejew w milczeniu wręczył je Aleksiejowi; agent zaczął je przeglądać i wkrótce położył jedno na stole.

- To ta dziewczyna - rzekł.

- Wiemy - burknął Siergiejew, z trudem panując nad sobą.

- Przepraszam, towarzyszu pułkowniku. - Aleksiej wybrał z pliku jeszcze trzy zdjęcia.

- Ci trzej.

Siergiejew spojrział na nie, po czym wręczył je Kodesowi.

- Kan Dahn, Manuelo, specjalista od rzucania nożem, i Roebuck, kowboj z lassem.

- Otóż to. - Siergiejew uśmiechnął się nieprzyjemnie. - Mają być śledzeni dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Kodes nie umiał ukryć zdumienia.

- Ich spotkanie mogło być całkiem niewinne. W końcu są gwiazdami tego cyrku i chyba się przyjaźnią. Zresztą "Czarny Łabędź" to jedyna kawiarnia w tej okolicy, więc to naturalne, że się tam udali.

Siergiejew westchnął.

- Zawsze to samo. Kiedy dochodzi co do czego, mogę liczyć tylko na siebie. O wszystkim muszę sam myśleć, o wszystkim sam decydować. Nic dziwnego, że właśnie ja jestem waszym szefem. - Próżno byłoby szukać fałszywej skromności wśród grzechów Siergiejewa. - Bruno Wildermann to przebiegły facet, może nawet i niebezpieczny. Diabli wiedzą dlaczego, ale zaczął podejrzewać, że jest śledzony, więc postanowił to sprawdzić. Kazał Roebuckowi iść za sobą w pewnej odległości i mieć oczy szeroko otwarte. To by

wskazywało, że Roebuck, a przypuszczalnie i tamci dwaj, to coś więcej niż zwykli przyjaciele. Roebuck spostrzegł Aleksieja. W kawiarni podszedł do Bruna nie po pieniądze, ale żeby mu powiedzieć, że śledził go wąsaty głupiec w czarnym palcie.

Spojrzał z politowaniem na strapionego wywiadowcę.

- Pewnie nie przyszło ci do głowy, Aleksiej, żeby choć raz obejrzeć się za siebie, co?

- Przepraszam, towarzyszu pułkowniku.

Siergiejew przeszył go dokładnie takim samym wzrokiem, jakim wygłodzony krokodyl spoziera na śniadanie przechadzające się nieopodal.

Rozdział siódmy

W środę wieczorem cyrk wyruszył do Krau. Przed odjazdem pociągu Bruno odwiedził doktora Harpera w jego przedziale. Jak na człowieka, który tyle ma na głowie, a kierowana przez niego akcja należy do najważniejszych w całej jego karierze zawodowej, Harper wydawał się wyjątkowo odprężony i spokojny. Tego samego nie sposób było powiedzieć o Wrinfildzie, który siedział u Harpera, z kieliszkiem w dłoni i najbardziej smętnym wyrazem twarzy, jaki tylko można sobie wyobrazić. Wcześniejsza brawura zupełnie go opuściła; sprawiał wrażenie człowieka, któremu wali się świat. Gdyby miał do wyboru, prędzej odwiedziłby piekło niż Krau.

- Dobry wieczór, Bruno. Niech pan siada. Czego się pan napije?

- Dziękuję. Ograniczam się do jednego drinka na tydzień i wolę wypić go później.

- Podejrzewam, że w towarzystwie uroczej panny Hopkins?

- Podejrzewa pan słusznie.

- Najlepiej się z nią ożeń - powiedział kwaśno Wrinfild. - Ja nie mam z niej prawie żadnej pociechy. Albo się czymś smuci, albo całymi dniami chodzi rozmarzona.

- Zamierzam. Może martwi się tak samo jak pan, panie Wrinfild.

- Co pan zamierza? - spytał Harper.

- Ożenić się z nią.

- O mój Boże!

Bruno nie obraził się na reakcję Wrinfilda.

- Ludzie często się żenią - rzekł.

- Czy ona o tym wie? - spytał podejrzliwie dyrektor cyrku, który autentycznie polubił

dziewczynę i, zwłaszcza od śmierci Henry'ego, coraz bardziej traktował ją jak córkę, której nigdy nie miał.

- Tak. - Bruno uśmiechnął się. - Pan też by wiedział, gdyby tylko był pan ciut bardziej spostrzegawczy. Siedziała obok pana przy kolacji.

Wrinfield stuknął się dłonią w czoło.

- Pierścionek na palcu! Przedtem nie nosiła żadnej biżuterii. Tak, pierścionek na serdecznym palcu lewej ręki! - Zmarszczył czoło, a po chwili obwieścił triumfalnie: - Pierścionek zaręczynowy!

- Miał pan wiele innych spraw na głowie. Maria również. Kupiłem ten pierścionek dziś po południu.

- Moje gratulacje! Kiedy pociąg ruszy, wpadniemy do was wypić wasze zdrowie. Co pan na to, doktorze Harper?

Bruno skrzywił się nieznacznie, bo wcale nie miał ochoty na gości, ale Harper rzekł:

- Bardzo chętnie! Znakomity pomysł.

- W takim razie serdecznie zapraszam. Ale nie przyszedłem tu powiedzieć wam o pierścionku, tylko o tym, że miałem towarzystwo, kiedy go kupowałem. Niestety, ktoś się mną wyraźnie interesuje. Dwa dni temu, wieczorem, poszliśmy z Marią do kawiarni. Tak się złożyło, że chwilę później przyszedł Roebuck. Powiedział, że zwróciło jego uwagę zachowanie faceta, który wyłonił się z zaułka w pobliżu cyrku, a potem szedł za nami przez całą drogę. Kiedy znikliśmy w drzwiach kawiarni, został na zewnątrz i obserwował nas przez szybę. Myślałem, że to zwykły zbieg okoliczności, albo, że Roebuck cierpi na zbyt bujną wyobraźnię. Ale wczoraj wieczorem ja też miałem wrażenie, że ktoś nas śledzi, a dziś, w ciągu dnia, nabrałem pewności. Na zmianę obserwowało nas dwóch facetów, jeden kompletnie łysy, a drugi z blond loczkami jak po ondulacji. Chodziliśmy po mieście bez celu, na chybił trafił, jak to turyści, ale któryś z tych dwóch zawsze był gdzieś w pobliżu.

- Nie podoba mi się to - stwierdził Harper.

- Dziękuję, że przynajmniej mi pan wierzy. Mnie też się nie podoba. I nie bardzo rozumiem. Nie robiłem nic, co mogłoby zwrócić na mnie uwagę naszych przeciwników. Może chodzi po prostu o to, że nazywam się Wildermann i pochodzę z Krau? Diabli wiedzą. Może zresztą śledzą wszystkich artystów, nie tylko mnie?

- Bardzo niepokojąca sprawa - rzekł Wrinfield. - Bardzo niepokojąca. Co zamierzasz, Bruno? - Jak to co? Przecież nie odwołamy akcji! Postaram się, żeby tej nocy nikt mnie nie śledził.

- Tej nocy?

- Doktor Harper nic panu nie mówił?

- A, chodzi ci o wtorkowy wieczór? Ciekawe, gdzie my wszyscy wtedy będziemy.

Wagonem szarpnęło kilka razy i pociąg ze zgrzytem ruszył z miejsca.

- Wiem, gdzie ja będę. Do zobaczenia wkrótce. - Bruno skierował się do drzwi i nagle zatrzymał się na widok nadajnika na biurku Harpera. - Niech pan mi wyjaśni, doktorze, jak to się dzieje, że nam wszystkim celnicy niemal zagląдают pod plomby w zębach, a panu udaje się przemycać nadajnik?

- Nadajnik? Jaki nadajnik?

Harper nałożył na głowę słuchawki, przyłożył mikrofon do klatki piersiowej Bruna i pociągnął przełącznik do tyłu zamiast do przodu. Urządzenie zaszumiało, a po chwili z prawie niewidocznej szczeliny z boku obudowy zaczął się wysuwać wąski pasek papieru. Harper odczekał z dziesięć sekund, wyłączył urządzenie, oderwał kilkunastocentymetrowej długości pasek i pokazał Brunowi. Środkiem paska biegła długa, falista linia.

- To elektrokardiograf, drogi panie. Zaden szanujący się lekarz nie wyrusza w podróż bez takiego aparatu. Nawet sobie pan nie wyobraża, ile mam zabawy, robiąc po kolei elektrokardiogramy wszystkim celnikom.

- No, no!

Bruno wyszedł na korytarz kołyszącego się na boki wagonu, zapukał do Marii i zaprosił ją do siebie. Dziewczyna zgodziła się ochoczo. Otworzył drzwi swojego przedziału, drzwi bez klamki na zewnątrz, i odsunął się, przepuszczając Marię przodem.

- Najpierw muzyka. Nastrojowa i romantyczna. Potem proponuję wyśmienite wytrawne martini, przyrządzone moją wprawną ręką, żeby uczcić - o ile to właściwe słowo - moje oddanie się tobie w niewolę. Następnie, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym ci szepnąć do uszka kilka czułych słówek.

Maria uśmiechnęła się.

- Zapowiada się cudownie. Zwłaszcza te czułe słówka.

Bruno włączył gramofon i nastawił cichą muzykę, przyrządził drinki, postawił je na stoliku, po czym usiadł na kanapie obok Marii i przytulił twarz do jej czarnych włosów, mniej więcej na wysokości jej ucha. Z wyrazu twarzy dziewczyny, na której najpierw odmalowało się zdziwienie, a potem totalne zaskoczenie, można się było domyślać, że Bruno zna takie czułe słówka, jakich dotąd nikt jej nie szeptał.

Odległość do Krau wynosiła około trzystu kilometrów, więc nawet dla lokomotywy ciągnącej tak ciężki skład była to podróż do pokonania w ciągu niespełna nocy, mimo dwóch postojów po drodze. Pociąg wyruszył po zapadnięciu zmroku i dotarł na miejsce przed świtem; wysiadali w ciemności. Mróz dawał się porządnie we znaki. Na pierwszy rzut oka Krau sprawiało wrażenie wyjątkowo ponurego i niegościnnego miasta, lecz bocznicę kolejową nigdzie na świecie nie prezentują się zbyt zachęcająco, zwłaszcza w mroku. Bocznicę, na której zatrzymał się ich pociąg, dzielił kilometr od gmachu, w którym mieli występować, co nikomu nie było na rękę, lecz Wrinfild ze swoim talentem organizatorskim, a także jego zastępcy, stanęli na wysokości zadania: na cyrk czekały wynajęte ciężarówki, autobusy i limuzyny.

Bruno ruszył wzdłuż torów w stronę trzęsącej się z zimna grupy artystów i pracowników fizycznych stojących w jaskrawym świetle lampy łukowej. Przywitawszy się ze wszystkimi, zaczął rozglądać się za braćmi, ale nigdzie nie było ich widać. W końcu zwrócił się do Malthiusa, tresera tygrysów, który stał najbliżej.

- Nie widziałeś moich braci? Te dwa głodomory zawsze wpadają do mnie na śniadanie, a dziś nie miałem przyjemności ich gościć.

- Nie - odparł Malthius, po czym krzyknął do pozostałych: - Czy nikt z was nie widział Vladimira i Yoffe'ego?

Kiedy okazało się, że nikt, Malthius przywołał jednego ze swoich pomagierów.

- Idź i obudź braci Bruna, dobrze?

Pomagier odszedł. Do grupy przyłączyli się Wrinfild i doktor Harper, obaj w futrzanych czapach i z postawionymi kołnierzami dla osłony przed prószącym śniegiem. Wrinfild zwrócił się do Bruna.

- Chcesz pojechać ze mną, obejrzeć salę? Budynek zwie się Pałacem Zimowym, tak jak ten w Leningradzie, choć wątpię, żeby go przypominał. - Zadygotał z zimna. - Zresztą wszystko jedno, jak wygląda, byleby tylko ogrzewanie działało bez zarzutu. Podobno jest znakomite.

- Chętnie, dyrektorze, ale musi pan na mnie chwilę zaczekać. Dwie trzecie Orłów Ciemności chyba dziś zasnęło. O, Johann już wraca.

- Chodź ze mną, Bruno - powiedział zdenerwowanym głosem pomagier Malthiusa. - Szybko!

Bruno bez słowa wskoczył do pociągu. Doktor Harper i Wrinfild, wymieniwszy zdumione spojrzenia, ruszyli za nim. Vladimir i Yoffe zajmowali wspólny przedział, nie tak luksusowo urządzony jak ich starszego brata, ale mimo to całkiem wygodny. Wszyscy

wiedzieli - i ciągle na ten temat dowcipkowali - że bracia mają bzika na punkcie czystości i porządku; gdyby teraz zobaczyli swój przedział, pewnie dostaliby szału. Panował w nim taki bałagan, jakby na moment znalazł się w oku małego, lecz zaciekłego cyklonu. Na podłodze leżała pościel, dwa połamane krzesła, kawałki potłuczonych szklanek i pęknięta miska. Wykonane z grubego szkła okno też było pęknięte; choć szyba wytrzymała, pojawiły się na niej gwiazdziście rozchodzące się rysy. Ale najbardziej przerażający był widok krwi na pościeli i na kremowych ściankach działowych. Bruno chciał wejść do środka, lecz doktor Harper powstrzymał go, kładąc dłoń na jego ramieniu.

- Nie. Na całym świecie glinom nie podoba się, kiedy dotyka się czegoś na miejscu przestępstwa.

Lokalnym glinom, kiedy wreszcie przybyli, głównie nie podobało się to, co ujrzeli. Byli oburzeni, że w ich rejonie mogło się zdarzyć coś tak potwornego jak porwanie dwóch sławnych amerykańskich artystów. Jeśli wiedzieli, że Vladimir i Yoffe urodzili się niespełna kilometr od miejsca, w którym stał pociąg, zachowali tę wiedzę dla siebie. Oświadczyli, że śledztwo zostanie natychmiast wszczęte. Na początek, jak oznajmił oficer dowodzący, należy oczyścić teren z gapiów i rozstawić strażę; zabrzmiało to bardzo szumnie, ale okazało się, że chodzi mu tylko o ustawienie dwóch milicjantów na korytarzu przed drzwiami przedziału. Wszyscy pozostali, których przedziały znajdowały się w tym samym wagonie, mieli nie oddalać się, dopóki nie zostaną przesłuchani. Wrinfeld zaproponował wagon restauracyjny jako miejsce przesłuchań, gdyż temperatura na zewnątrz była sporo poniżej zera; oficer zgodził się ochoczo. Kiedy ruszali w tamtą stronę, przybyło kilku milicjantów w cywilu i specjaliści od daktyloskopii. Wrinfeld udał się wraz z innymi do wagonu restauracyjnego, zlecając swoim zastępcom nadzór nad wyładunkiem, transportem i rozstawianiem sprzętu w gmachu, w którym miały odbyć się występy. W wagonie restauracyjnym było wręcz upalnie; potężna lokomotywa nadal pracowała, i miała pracować aż do wieczora, żeby zapewnić ciepło zwierzętom, dopóki nie zostaną przetransportowane do rozstawionych w Pałacu Zimowym klatek. Bruno, Wrinfeld i Harper stanęli nieco na uboczu. Przez chwilę rozważali, co mogło przydarzyć się braciom i dlaczego, ale nie umieli znaleźć odpowiedzi na żadne z tych pytań. Akurat zamilkli, kiedy do wagonu wkroczył nie lada gość: pułkownik Siergiejew we własnej osobie. Minę miał ponurą, zaciętą; sprawiał wrażenie człowieka, który z trudem powściąga furję.

- To podłość! - zawołał. - Nikczemność! Hańba dla naszego kraju! Jak mogło coś takiego spotkać oficjalnych gości! Obiecuję, że najwyższe czynniki w kraju dołożą starań, żeby jak najrychlej wyjaśniono tę sprawę. Co za powitanie, co za czarny dzień dla mieszkańców Krau! - Nie sądzę, żeby ktokolwiek z mieszkańców Krau miał z tym coś wspólnego - oświadczył spokojnie Harper. - Vladimira i Yoffe'ego nie było z nami, kiedy przybyliśmy na miejsce. Dwa razy zatrzymywaliśmy się po drodze. To się mogło wydarzyć w jednej z tych miejscowości.

- W takim razie mieszkańcy Krau rzeczywiście nie są winni. Ale czy myśli pan, że przez to łatwiej się nam z tym pogodzić? Hańba naszego kraju jest hańbą nas wszystkich. - Na moment umilkł, po czym spojrział na Bruna, i dodał głosem bardziej ochrypłym: - To nie musiało się zdarzyć, kiedy pociąg stał. Mogli zostać wyrzuceni z jadącego pociągu.

Bruno prawie zaniemówił z wrażenia; potrafił jednak panować nad swoimi uczuciami i nie dał nic po sobie poznać.

- Dlaczego ktoś miałby ich wyrzucać? Dlaczego w ogóle miałby im robić krzywdę? Znam moich braci lepiej niż ktokolwiek i wiem, że nie mieli żadnych wrogów.

Siergiejew popatrzył na niego współczująco.

- Nie wie pan, że najbardziej zawsze cierpią niewinni? Jeśli ktoś chce się włamać, nie włamuje się do domu osławionego gangstera. - Zwrócił się do podwładnego. - Przynieście tu radiostację i połączcie się z ministrem transportu. Jeśli zacznie marudzić, że zakłóacie mu

sen, zagrożenie, że sam do niego przyjadę i własnoręcznie wyciągnę go z łóżka. Powiedźcie mu, że szukamy dwóch ludzi; chcę, aby sprawdzono każdy centymetr torów. I dodajcie, że sprawa jest bardzo pilna. Zaginionieni mogą być ranni, a temperatura utrzymuje się poniżej zera. Chcę mieć jego raport w ciągu dwóch godzin. Potem połączcie się z lotnictwem wojskowym. Niech wyślą dwa helikoptery, żeby zrobiły to samo. Ich raport chcę mieć za godzinę. Podwładny wyszedł.

- Myśli pan, że naprawdę... - zaczął Wrinfield.

- Nic nie myślę. Ale muszę brać pod uwagę każdą ewentualność. W ciągu godziny powinniśmy coś wiedzieć. Nie mam zaufania do tego starego niezguły, ministra transportu, ale lotnictwo wojskowe to zupełnie co innego. Helikoptery będą leciały na wysokości dziesięciu metrów, jeden po każdej stronie torów, i w każdym oprócz pilota będzie wyszkolony obserwator. - Zwrócił się w stronę Bruna, przybierając wyraz, który w jego przekonaniu wyrażał smutek. - Bardzo panu współczuję, panie Wildermann. Panu również, dyrektorze.

- Mnie? - spytał Wrinfield. - No tak, to dwaj z moich najlepszych artystów. Poza tym, szczerze ich lubię. Ale nie ja jeden. Wszyscy w cyrku bardzo się z nimi przyjaźnią.

- Ale nie wszyscy będą musieli zapłacić okup. Bo taka możliwość też istnieje. Gdyby się okazało, że rzeczywiście porwano ich dla okupu, byłby pan gotów zapłacić za nich całkiem pokazałą sumę, prawda?

- O czym pan mówi?

- Nawet w naszym wspomniałym kraju żyją bandyci. I kidnaperzy; ich ulubiona metoda, to porywanie podróżnych z pociągów. Są bardzo niebezpieczni, zdolni do wszystkiego; za porwanie w naszym kraju grozi kara śmierci. Chciałbym, żeby moje obawy się nie spełniły, ale wiele wskazuje na to, że mamy do czynienia właśnie z porywaczami. - Znowu popatrzył na Bruna i jego usta rozchyliły się o milimetr; pułkownik Siergiejew uśmiechnął się. - Współczuję także nam. Wygląda na to, że nie zobaczymy w Krau Orłów Ciemności.

- Zobaczycie jednego z nich.

Siergiejew wbił wzrok w Bruna. Inni też spojrzeli na niego, a Maria wolno zwilżyła wargi językiem.

- Czy mam rozumieć... - zaczął Siergiejew.

- Zanim moi bracia dorosli na tyle, żeby występować razem ze mną, występowałem sam. Wystarczy mi kilka godzin treningu. Siergiejew długo przypatrywał się jego twarzy.

- Wiemy, że jest pan człowiekiem pozbawionym nerwów - rzekł w końcu. - Ale czy jest pan także człowiekiem pozbawionym uczuć?

Bruno odwrócił się bez słowa. Siergiejew jeszcze chwilę patrzył na niego w zamyśleniu, po czym zwrócił się do obecnych.

- Czy wszyscy pasażerowie wagonu są obecni? - spytał.

- Wszyscy, pułkowniku - odparł Wrinfield. - Ale skoro powiedział pan, że to sprawka porywaczy...

- Na razie to tylko hipoteza. Ale, jak mówiłem, muszę brać pod uwagę każdą ewentualność. Czy nikt z państwa nie słyszał w nocy żadnych podejrzanych hałasów, odgłosów?

Zaległa cisza świadcząca, że nikt nie słyszał nic podejrzanego.

- No dobrze. Bracia zajmowali ostatni przedział w wagonie. Kto zajmował sąsiedni?

Kan Dahn wysunął do przodu swoje potężne cielsko.

- Ja.

- Musiał pan przecież coś słyszeć?

- Gdybym słyszał, odezwałbym się wcześniej. Mam mocny sen.

Siergiejew spojrział na niego z namysłem.

- Jest pan dość silny, żeby wyrzucić ich sam jeden, bez niczyjej pomocy.
- Czy to oskarżenie? - spytał spokojnie Kan Dahn.
- Nie. Stwierdzenie faktu.
- Vladimir i Yoffe są moimi przyjaciółmi, dobrymi przyjaciółmi. Wszyscy o tym wiedzą. Dlaczego nagle miałyby mi coś odbić? Zresztą, gdybym to ja ich sprzątnął, nie byłoby żadnych śladów walki. Wziąłbym po jednym pod pachę i już.
- Czyżby? - zapytał powątpiewająco Siergiejew.
- Może zademonstrować?
- To byłoby ciekawe.
Kan Dahn wskazał na dwóch rosnących umundurowanych milicjantów stojących obok siebie.

- Są więksi, znacznie więksi od obu braci, prawda?
- Zgadza się.

Jak na takiego olbrzyma, Kan Dahn poruszał się niemal z kocią zwinnością. Skoczył do milicjantów, zanim zdążyli przyjąć pozycję obronną. Objął każdego jedną ręką, grubą jak łapa goryla, przyciskając im ich własne ręce do boków, i podniósł do góry; szamotali się energicznie, usiłując się wyzwolić z jego objęć, które - sądząc po ich minach - nie należały do czułych. - Przestańcie się wyrywać, bo was mocniej ścisnę - powiedział Kan Dahn równie spokojnym tonem co poprzednio. Jakby nie wierząc, że to jest w ogóle możliwe, milicjanci zdwoili wysiłki, żeby się oswobodzić. Kan Dahn zacisnął mocniej ręce. Jeden z mężczyzn krzyknął, drugi stęknął; na twarzach obu odmalował się ból. Kan Dahn jeszcze ciut silniej napiął mięśnie. Mężczyźni przestali się szamotać. Ostrożnie, delikatnie, postawił ich na ziemi i cofnął się o krok; patrzył niemal ze smutkiem, jak obaj osuwają się na podłogę. Siergiejew obserwował w skupieniu całą scenę.

- Przekonał mnie pan - stwierdził ponuro. - Szkoda, że nie ma tu Angela.

Do wagonu wszedł kapitan Kodes.

- No i co? - spytał Siergiejew.

- Sprawdziliśmy odciski palców, towarzyszu pułkowniku. Wszędzie powtarzają się odciski dwóch osób, pewnie zaginionych braci. Ale znaleźliśmy także odciski dwóch innych osób; na ścianach, na oknie, na drzwiach od wewnątrz, a więc w miejscach, o które ludzie się opierają w trakcie zaciętej bójki.

- W porządku.

Siergiejew zamyślił się na chwilę, obojętnie przypatrując się milicjantom, którzy doszli już do siebie i krzywiąc się z bólu usiłowali podnieść się z podłogi. Ich cierpienie nie robiło na nim żadnego wrażenia.

- Musimy wziąć odciski palców wszystkich pracowników cyrku - powiedział, zwracając się do Wrinfelda. - Może w sali widowiskowej, gdzie będą się odbywać spektakle.

- Czy to naprawdę konieczne?

- To mój obowiązek. - Siergiejew wzruszył ze znużeniem ramionami. - Już dwa razy panu mówiłem, że muszę brać pod uwagę każdą ewentualność.

Chociaż Krau położone było na północny zachód od stolicy, dworzec nie znajdował się - jak można by oczekiwać - ani we wschodniej, ani południowej części miasta; ze względu na niedogodność terenu, tory kolejowe okrążyły łukiem miasto i dochodziły do niego od północy. Tak więc, kiedy czarna limuzyna o bliżej nieokreślonym roczniku wyruszyła w kierunku Pałacu Zimowego, skierowała się na południe, jadąc ulicą, która - gdy zbliżyli się do centrum - okazała się, zgodnie zresztą ze swoją nazwą, główną ulicą miasta. Bruno i doktor Harper zajmowali miejsca z tyłu. Wrinfeld, z którego ponurej miny można było bez trudu wyczytać, że właśnie myśli o tym, iż jego najgorsze przeczucia związane z pobytem w Krau zaczęły się spełniać, siedział w milczeniu obok kierowcy. Okropna pogoda

potęgowała nastrój przygnębienia; choć nastał już dzień, wciąż było ciemno, smutno, a z szarych, ciężkich chmur padał śnieg. Przejechali niespełna sto metrów, kiedy Harper, siedzący po prawej, przetarł zaparowane okno, wyjrzał na ulicę i dotknął ramienia Bruna.

- Czegoś takiego w życiu nie widziałem! Co to jest, u licha?

- Nic nie widzę.

- Na tamtym budynku. Jakieś krzaki; krzewy; o rany, nawet drzewa!

- Ogrody na dachach. Bardzo popularne w tej części kraju. To, że mieszka się w bloku, wcale nie znaczy, że nie można mieć ogródka. Na dachach są ogródki, trawniki...

Bruno przetarł własne okno. Po swojej stronie zobaczył posępne, ohydne, wręcz odpychające gmaszysko. Policzył piętra; osiem. W oknach tkwiły grube kraty. Na szczycie budynku dojrzał groźnie wygięte, ostre stalowe pręty, a na obu widocznych rogach wieżyczki strażnicze; z samochodu nie było widać, co mają na dachach, podejrzewał jednak, że syreny alarmowe i reflektory. Popatrzył na Harpera i uniósł pytająco jedną brew; kierowca tylko się uśmiechnął i wzruszył ramionami, kiedy wcześniej próbowali go zagadnąć, ale istniało duże prawdopodobieństwo, że był człowiekiem Siergiejewa, a pułkownik na pewno nie przydzieliłby im kogoś, kto nie mówi po angielsku. Harper odpowiedział skinieniem głowy, że poznaje Łubian; ponure gmaszysko było tak podobne do znanego mu opisu, że pomyłka nie wchodziła w grę. Myśl o dostaniu się do wewnątrz tej fortecy przejmowała dreszczem. Pół kilometra dalej minęli rząd czarnych samochodów zaparkowanych po prawej stronie ulicy. Na samym początku stał karawan z wieńcami. Godzina była jeszcze dosyć wczesna, ale pewnie kondukt miał przed sobą daleką drogę. Po drugiej stronie jezdni mieścił się zakład pogrzebowy; na tle czarnej, aksamitnej draperii leżały umiejętnie wyeksponowane wieńce i bukiety ze sztucznych kwiatów, także w kolorze czarnym, obok stała płyta czarnego marmuru. Jedynie na drzwiach, mających tą samą pogodną barwę co marmur i draperia - widniał biały krzyż. Na oczach Bruna drzwi zakładu otworzyły się i ukazało się dwóch żałobników podtrzymujących na ramionach przód trumny.

- Blisko więzienia - mruknął Bruno. - Słusznie.

Doktor Harper chyba go nie usłyszał. Pałac Zimowy był dumą Krau, zresztą nie bez powodu. Barokowy w stylu i wystroju, zbudowany został zaledwie trzy lata temu. Konstrukcję ze stali i betonu pokryto płytami białego marmuru, zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz budynku; przypuszczalnie tym płytom budynek zawdzięczał swoją nazwę. Wnętrze składało się z wielkiego przedsionka w kształcie elipsy, z którego wchodziło się na salę wielkości stadionu. Każdy, kto widział liczne wieżyczki, kopuły, płaskorzeźby i posągi zdobiące z zewnątrz budynek przeżywał szok po wejściu do środka, gdzie wszystko urządzone było funkcjonalnie i nowoczesnie, zgodnie z najbardziej aktualnymi zasadami projektowania tego rodzaju obiektów. Możliwości adaptacyjne były praktycznie nieograniczone. Sala nadawała się do wystawiania oper i sztuk teatralnych; mogły w niej się odbywać koncerty, projekcje filmowe a także zawody sportowe, poczynając od hokeja na lodzie a kończąc na tenisie; na potrzeby cyrku też nadawała się znakomicie. Wznoszące się stromo w górę rzędy krzesel o miękkich obiciach mieściły osiemnaście tysięcy widzów. Wrinfield uznał, że jest to najlepszy obiekt, w jakim cyrk kiedykolwiek występował; był to nie lada komplement, jeśli zważyć, że dyrektor znał największe budowle tego typu w Ameryce Północnej i Europie Zachodniej.

Warto dodać, że Krau liczyło zaledwie ćwierć miliona mieszkańców. Pobieranie odcisków palców od pracowników cyrku odbyło się przed południem w jednej z licznych kawiarni, pustych o tej porze dnia, do których wchodziło się z obszernego przedsionka. Wszyscy czuli się dotknięci, a nawet oburzeni niczym nieuzasadnioną decyzją Siergiejewa; Wrinfield musiał uruchomić cały swój dar przekonywania, aby podporządkowano się jej bez oporów. Siergiejew, sterując operacją z prowizorycznego biura Wrinfielda, nie dawał po sobie poznać, że widzi niezadowolenie cyrkowców i gniewne spojrzenia, które posyłają w

jego stronę; pułkownik miał zaiste skórę hipopotama. Kiedy w kawiarni zostało już kilka ostatnich osób, Siergiejew odbył krótką rozmowę telefoniczną, ale ponieważ mówił w swoim ojczystym języku, ani obecny w biurze Wrinfied, ani Maria nic nie zrozumieli. Siergiejew opróżnił kolejny kieliszek wódki - wchłaniał ten trunek z równą łatwością co piach wodę - po czym spytał:

- Gdzie jest Bruno Wildermann?

- Na sali. Ale chyba nie zamierza pan brać jego odcisków? Przecież to jego rodzeni...

- Niech się pan uspokoi, nie jestem idiotą. Niech pan idzie ze mną, dyrektorze, moje wiadomości zainteresują także pana.

Kiedy podeszli do niego, Bruno, który nadzorował rozpinanie liny nad środkową areną, odwrócił się i spojrzał chłodno na Siergiejewa.

- Coś nowego, pułkowniku? - spytał.

- Tak. Mam wiadomości i od kolei i od lotnictwa. Niestety, przy torach nie znaleziono nic, żadnych ciał, żadnych śladów.

- A więc mamy do czynienia z porwaniem?

- To jedyny sensowny wniosek.

Późnym popołudniem, kiedy Bruno ćwiczył swój solowy występ na trapezie, poproszono go nagle do biura Wrinfieda mieszczącego się zaledwie kilka metrów od wciąż pustych tygryskich klatek. Artysta zsunął się po linie na ziemię i włożył szatę chińskiego mandaryna, w której występował jako mag. Kiedy wszedł do dyrektora, Wrinfied siedział przy swoim biurku, Maria przy swoim. Siergiejew i Kodes stali. Atmosfera była napięta, żeby nie rzec pogrzebowa. Siergiejew wyjął z rąk Wrinfieda kartkę, którą ten właśnie skończył czytać, i podał ją Brunowi. Widniał na niej, po angielsku, następujący tekst:

"Bracia Wildermann zostaną wypuszczeni po otrzymaniu przez nas 50.000 dolarów w używanych banknotach różnych nominałów. Instrukcję przekazania pieniędzy otrzymacie w niedzielę; pieniądze mają być przekazane w poniedziałek. Jeśli nie otrzymamy pieniędzy, jeszcze w poniedziałek dostaniecie po małym palcu każdego z artystów. Dostaniecie je również wtedy, gdy dostarczycie pieniądze oznaczone znakami widocznymi w świetle podczerwonym, ultrafioletowym, lub pod promieniami Roentgena. We wtorek prześlemy dalsze dwa palce. W czwartek dłonie".

Bruno oddał kartkę Siergiejewowi.

- Pańskie podejrzania się potwierdziły - rzekł.

- Miałem rację. Człowiek bez nerwów, bez uczuć. Niestety; wygląda na to, że tak.

- Wydają się bezzwzględni.

- Są bezzwzględni.

- To zawodowcy?

- Tak.

- Dotrzymują obietnic?

Siergiejew westchnął.

- Bardzo naiwne są te pańskie podchody. Dlaczego pan wprost nie spyta, skąd tyle o nich wiem? Jeśli to są ci sami przestępcy, o jakich myślę - a treść listu jest zbliżona do znanych mi już żądań okupu - mamy do czynienia z niezwykle sprawnym gangiem porywaczy, którzy dokonali kilku podobnych zbrodni na przestrzeni ostatnich paru lat.

- Zna pan członków tego gangu?

- Chyba znamy jednego albo dwóch.

- Więc dlaczego wciąż są na wolności?

- Podejrzania, drogi panie Wildermann, to jeszcze nie dowody. Nie wystarczą, żeby żądać kary śmierci.

- Zadałem panu jeszcze jedno pytanie. Czy dotrzymują obietnic? Czy mogą okaleczyć

moich braci? Czy puszczą ich wolno, jeśli zapłacimy okup?

- Nie ma żadnych gwarancji. Ale sądząc po naszych wcześniejszych doświadczeniach, szanse są spore. To zawodowi porywacze; jeśli chcą, żeby interes szedł dobrze, logika nakazuje im zwalniać ofiary. Może to zabrzmie absurdalnie w tym kontekście, ale solidność i dobra opinia bardzo się liczą. Jeśli ofiara zostaje wypuszczona zaraz po przekazaniu okupu w dodatku cała i zdrowa, rodzice lub krewni następnej ofiary są tym bardziej skłonni do zapłaty. Gdyby natomiast po otrzymaniu okupu porywacze zamordowali ofiarę, krewni następnego porwanego doszliby do wniosku, że płacenie pieniędzy nie ma żadnego sensu.

- Jakie są szanse odnalezienia moich braci przed poniedziałkiem?

- W ciągu czterech dni? Bardzo mizerne, niestety.

- W takim razie musimy szykować pieniądze, tak?

Kiedy Siergiejew skinął głową, Bruno zwrócił się do Wrinfelda.

- Zajmie mi to rok, ale spłacę panu wszystko, co do centa.

Wrinfeld uśmiechnął się smutno.

- Zapłaciłbym za nich nawet bez obietnicy zwrotu pieniędzy. Z pobudek czysto egoistycznych. Bo nigdy nie było i nigdy nie będzie, drugiej tak wspaniałej trupy, jak Orły Ciemności.

Idąc wolnym krokiem, pozornie bez celu, skręcili w prawo, vis a vis zakładu pogrzebowego na ulicy Zachodniej.

- Jak pan uważa, śledzą nas? - zapytał doktor Harper.

- Możliwe, że obserwują. Ale nie idą za nami.

Kilkaset metrów dalej ulica zamieniła się w krętą wiejską drogę. Wkrótce dobiegła do solidnego drewnianego mostu, przerzuconego przez leniwy nurt głębokiej rzeki, szerokości może dziesięciu metrów i już zamarzającej po brzegach. Bruno obejrzał most z pewną uwagą i pośpieszył za zniecierpliwionym Harperem, którego układ krążenia najwyraźniej słabo znosił temperatury poniżej zera. Zaraz za mostem droga wchodziła w dziewiczy las sosnowy. Niecałe pół kilometra dalej obaj mężczyźni ujrzeni po prawej stronie dużą półkolistą polanę.

- Tutaj - powiedział doktor Harper - wyląduje helikopter.

Zapadał zmierzch, kiedy Bruno, w najcieplejszym wyjściowym okryciu, zapukał do biura Wrinfelda. Była tam z nim jedynie Maria.

- Czy mogę wziąć narzeczoną na kawę, dyrektorze?

Wrinfeld uśmiechnął się, skinął głową i wrócił do ponurych rozmyślań. Bruno pomógł dziewczynie włożyć ciężki płaszcz karakułowy i wyszli w gęsto padający śnieg.

- Nie mogliśmy iść na kawę do bufetu albo do Ciebie? - spytała Maria ze złością. - Jest strasznie zimno i mokro.

- Jeszcze nawet nie było ślubu, a już zaczyna się gderanie. To tylko dwieście metrów. Przekonasz się, że Bruno Wildermann ma zawsze swoje powody.

- Na przykład jakie?

- Pamiętasz naszych przyjaciół, którzy tak wiernie nam towarzyszyli tamtego wieczoru?

- Tak. - Spojrzała na niego z przestraczem. - Czy to znaczy...

- Nie. Pozwolono im na zasłużony wypoczynek, śnieg nie sprzyja ondulacjom i łysinom. Gość za nami jest o pół głowy niższy od Ciebie, ma czapkę z daszkiem, podarty płaszcz, workowate spodnie i koślawe buty. Wygląda jak typowy obdartus, ale nim nie jest.

Weszli do kawiarni, która wyraźnie już dawno porzuciła wszelką nadzieję na lepsze jutro. W kraju, gdzie specjalnością lokali jest dym z papierosów i skąpe oświetlenie, ten niewątpliwie wybijał się na czoło. Zaraz po wejściu zaczynały piec oczy: para dogorywających świeczek zapewniłaby więcej światła. Bruno posadził Marię w rogu. Rozejrzała się wokół z niesmakiem.

- Czy tak ma wyglądać nasze małżeńskie życie?
- Jeszcze będziesz to wspominać jako jedną z najpiękniejszych chwil.

Obejrzał się. Chaplinowski osobnik opadł niedbale na krzesło w pobliżu drzwi, wydobył skądś wymiętoszoną gazetę i siedział zgarbiony z łokciem na stole podpierając głowę brudną ręką. Bruno zwrócił się z powrotem do Marii.

- Poza tym musisz przyznać, że to miejsce ma w sobie coś z nieskrępowanego ducha cyganerii.

Położył palec na ustach, nachylił się i uniósł kołnierz jej płaszcza. W zagłębieniu ukryty był mały, błyszczący, metalowy przedmiot, nie większy niż orzech laskowy. Pokazał go jej, a ona spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Zamów coś dla nas, dobrze? - poprosił.

Wstał, podszedł do tajniaka, chwycił go bezceremonialnie za prawy nadgarstek, wyszarpnął mu rękę spod głowy i wykręcił ją, co spowodowało okrzyk bólu ze strony mężczyzny, ale nie wywołało żadnej reakcji pozostałych gości, którzy byli zapewne aż do znudzenia przyzwyczajeni do podobnych scen. W dłoni mężczyzny spoczywała miniaturowa słuchawka z przewodem wiodącym do metalowego pudełeczka, niewiele większego od zapalniczki, ukrytego w kieszeni na piersi. Bruno schował oba przedmioty do własnej kieszeni i wycedził: - Powiedz swojemu szefowi, że jeśli jeszcze raz ktoś będzie mnie śledził, to już nie zdoła złożyć mu raportu. Wynoś się!

Mężczyzna wyszedł. Bruno wrócił do stolika i pokazał Marii trofeum.

- Wypróbujmy to - rzekł.

Wsunął metalowe owalne sitko do ucha, a Maria odwróciła usta w kierunku kołnierza płaszcza.

- Kocham cię - szepnęła. - Naprawdę. Na wieki.

Bruno wyjął słuchawkę.

- Działa dobrze, choć chyba nie wie, co mówi. - Odłożył urządzenie. - Uparciuchy, co? Ale dlaczego tak bardzo, bardzo rzucają się w oczy?

- Nie mnie. Czasami myślę, że to ty powinienes być na moim miejscu. Ale czy musiałeś zdradzać się, że go nakryłeś?

- I tak wiedzą. Może teraz przestaną mnie śledzić i dadzą mi święty spokój. A poza tym jak miałem porozmawiać z tobą przy tym typie siedzącym nam na karku?

- Porozmawiać? O czym?

- O moich braciach.

- Przepraszam. Nie chciałam... Dlaczego ich porwano, Bruno?

- No cóż, po pierwsze dało to temu obłudnemu, pokrętnemu, sadystycznemu kłamcy...

- Siergiejewowi?

- A znasz jakichś innych obłudnych, pokrętnych, sadystycznych kłamców? Uzyskał dzięki temu doskonały pretekst do zdjęcia odcisków palców wszystkim pracownikom cyrku.

- A co mu to da?

- Oprócz poczucia siły i własnej wartości, nie wiem. To nie ma znaczenia. Moi bracia są trzymani jako zakładnicy. Jeśli zbytnio się wychylę, oni za to zapłacą.

- Czy rozmawiałeś o tym z doktorem Harperem? Nie możesz ryzykować ich życiem, Bruno. Po prostu nie możesz. Och, Bruno, jeśli cię stracę, a oni zginą, jak wszyscy inni członkowie twojej rodziny...

- Doprawdy, jesteś największą beksą, jaką kiedykolwiek widziałem. Kto, na Boga, zaangażował cię do CIA?

- Więc nie wierzysz w tę historyjkę z porwaniem?

- Kochasz mnie?

Skinęła głową.

- Ufasz mi?

Znów przytaknęła.

- Więc nie powtarzaj tego, o czym mówimy, absolutnie nikomu.

Kiwnęła głową po raz trzeci. Potem spytała:

- Nawet doktorowi Harperowi?

- Nawet jemu. Jest bardzo inteligentny, ale straszny z niego legalista i obcy mu jest nasz środkowoeuropejski sposób myślenia. Ja nie jestem taki inteligentny, ale i nie taki zasadniczy, a poza tym właśnie tu się urodziłem. Może nie zaaprobować pewnych improwizacji, które zechcę wprowadzić.

- Jakich improwizacji?

- No proszę. Typowa żona. Skąd się wzięła ta czerwona plamka na twojej chusteczce do nosa? Nie wiem, jakich. Sam ich jeszcze nie wymyśliłem.

- A co z porwaniem?

- To bzdura. Musiał mieć jakiś pretekst, żeby wyjaśnić ich zniknięcie. Słyszałaś, jak mówił, że zna paru członków gangu, ale nie może im nic udowodnić? Gdyby Siergiejew ich znał, wpakowałby ich bez żadnych ceregieli do Łubianu i wydobył z nich prawdę w ciągu pięciu minut, zanim by skonali w okrutnych mękach. Jak ci się zdaje, gdzie jesteś? U siebie w domu, w Nowej Anglii?

Zadrzała.

- Ale po co te groźby? Po co mówią, że obetną im palce? Po co żądają pieniędzy?

- Dla dodania kolorytu. Poza tym, jakkolwiek hojnie Siergiejew byłby wynagradzany za swoją nikczemną robotę, pięćdziesiąt tysięcy dolców w kieszeni daje mężczyźnie bardzo miłe poczucie komfortu. - Spojrzał z niesmakiem na swoją nietkniętą kawę, położył na stole należność i wstał. - Masz ochotę napić się prawdziwej kawy?

Wrócili do hali widowiskowej rozglądając się za środkiem transportu do pociągu. Szybko im coś zorganizowano. Kiedy znów wyszli w ciemność i mróz, natknęli się na wracającego Roebucka. Był zziębnięty, siny i dygoczący. Na ich widok zatrzymał się.

- Wracacie do pociągu? - spytał.

Bruno potwierdził.

- Podwieźcie swojego zmęczonego i cierpiącego przyjaciela.

- Dlaczego cierpiącego? Pływałeś w Bałtyku?

- Z nadejściem zimy wszyscy tutejsi taksówkarze zapadają w sen zimowy.

W drodze na dworzec Bruno siedział w milczeniu z przodu. Kiedy wysiadali przy boczniccy, obok ich wagonów mieszkalnych, poczuł, że coś mu wsunięto do kieszeni kurtki. Po kawie, muzyce i czułych słówkach w przedziale Bruna, Maria wyszła.

Wtedy sięgnął do kieszeni i wyjął skrawek papieru. Roebuck napisał na nim:

"4.30. Zachodnie wejście. Żadnego problemu. Ręczę życiem".

Bruno spalił notkę i spłukał popiół w umywalce.

Rozdział ósmy

Wypadek zdarzył się następnego dnia podczas wieczornego przedstawienia - oficjalnie była to premiera, chociaż w rzeczywistości odbyły się wcześniej dwa występy, darmowy poranek dla dziatwy szkolnej i skrócona wersja pełnego spektaklu po południu. Entuzjazm ogromnej widowni sięgnął takich szczytów, że tym większy był późniejszy szok. Pałac Zimowy pękał w szwach, a jeszcze dziesięć tysięcy próśb o bilety, kierowanych do cyrku od ponad dwóch tygodni, musiano z żalem odrzucić. Atmosfera na początku była wesoła, radosna, pełna oczekiwania. Panie, zadając kłam zachodniemu przekonaniu, że kobiety za żelazną kurtyną ubierają się zazwyczaj w przepasane worki po kartoflach, były wystrojone równie odświętnie, jak gdyby do miasta zawitał Bolszoj - co jednak, gdy miało miejsce, spotkało się z mniej hucznym przyjęciem - a mężczyźni prezentowali się bardzo wytwornie w swoich najlepszych garniturach lub obwieszonych medalami mundurach. Siergiejew, siedzący obok Wrinfelda, wyglądał imponująco. Za nimi usadowili się Kodes i Angelo, ten ostatni zakłócając nieco swoją fizjonomią panującą ogólnie pogodną atmosferę. Doktor Harper, jak zawsze, siedział w pierwszym rzędzie, z nieodłączną czarną walizeczką schowaną dyskretnie pod siedzeniem.

Widownia, odpowiednio nastawiona przez wcześniejsze niezwykle entuzjastyczne relacje poprzedzające przybycie cyrku, spodziewała się czegoś nadzwyczajnego i nie zawiodła się. Jakby dla zrekompensowania nieobecności Orłów Ciemności - w komunikacie przed przedstawieniem z żalem obwieszczono niedyspozycję dwóch członków trupy (jeśli Siergiejew nie chciał, aby coś się przedostało do prasy, to się nie przedostawało) - pozostali wykonawcy wzniesli się na szczyty, zdumiewając samego Wrinfelda. Zgromadzony tłum - osiemnaście tysięcy widzów - był olśniony, oczarowany. Kolejne numery następowały po sobie płynnie i z bezbłędną precyzją, z jakiej cyrk słychać, a każdy wydawał się jeszcze lepszy od poprzedniego. Ale Bruno tego wieczoru przeszedł sam siebie. Miał nie tylko zawiązane oczy, ale i kaptur na głowie, a jego występ na górnym trapezie, wspomagany jedynie przez dwie dziewczyny na platformach, które łapały i puszczały dwa luźne trapezy w synchronizacji z dokładnie taktującą muzyką orkiestry, miał w sobie coś z magii i czystego

nieprawdopodobieństwa, wprawiając najwytrawniejszych nawet artystów cyrkowych w podziw graniczący z niedowierzaniem. Zwieńczył swój numer podwójnym saltem między dwoma trapezami - i jego wyciągnięte ręce, rozminęły się z nadlatującym drążkiem. Widownia jak jeden mąż przestała oddychać - w przeciwieństwie do kibiców sportowych, od wyścigów samochodowych poczawszy, a skończywszy na boksie, publiczność cyrkowa zawsze sprzyja wykonawcom - i jak jeden mąż wydała ogromne westchnienie ulgi, kiedy Bruno zaczepił się o trapez wygiętymi stopami. Żeby udowodnić, że nie był to jedynie szczęśliwy traf, powtórzył całą ewolucję jeszcze dwukrotnie.

Publiczność oszalała. Dzieci piszczały, młodzież wrzeszczała, mężczyźni krzyczeli, kobiety łkały, rozpętał się hałas, jakiego nawet Wrinfeld nigdy przedtem nie słyszał. Konferansjer potrzebował pełnych trzech minut i wielokrotnych apeli o spokój, aby przywrócić na sali coś w rodzaju porządku.

Siergiejew delikatnie wytarł czoło jedwabną chusteczką.

- Bez względu na to, ile pan płaci swojemu młodemu przyjacielowi tam na górze, to i tak wart jest o niebo więcej.

- Płacę mu fortunę i zgadzam się z panem. Czy widział pan kiedyś coś podobnego?

- Nigdy. I wiem, że nigdy nie zobaczę.

- Dlaczego?

Siergiejew myślał chwilę nad odpowiedzią. Wreszcie rzekł:

- Mamy takie stare powiedzenie: "Tylko raz w życiu człowiek może spacerować z bogami." Dzisiaj jest właśnie taka noc.

- Może ma pan rację, może ma pan rację.

Wrinfeld ledwo go słuchał, rozmawiał z równie podnieconym sąsiadem z drugiej strony, tymczasem światła przygasły. Między górną a dolną krawędzią ust Siergiejewa, trudno to było nazwać wargami - pojawiła się milimetrowa szparka. Siergiejew pozwolił sobie na jeden z rzadkich uśmiechów.

Światła znów rozbłysły. Jak zwykle drugim numerem Bruna była jazda na niskiej linii (jeśli wysokość sześć metrów nad ziemią można uznać za niską) rozciągniętej nad otwartą od góry klatką, w której Neubauer dyrygował swoim chórem, jak nazywał prowadzenie ćwiczeń z tuzinem nubijskich lwów, dzikich i krwiożerczych bestii, które nie dopuszczały do siebie nikogo oprócz niego. Podczas pierwszej przejażdżki na rowerze nad klatką, z balansem lecz bez dodatkowego ciężaru swoich dwóch braci, Bruno wykonywał akrobatyczne wyczyny, z którymi niewielu artystów w świecie cyrku mogłoby się zmierzyć, z dziecinną łatwością. Widownia zdawała się wyczuwać tę łatwość i choć podziwiała jego kunszt, odwagę i mistrzostwo, czekała w napięciu na coś więcej. Nie zawiodła się. Do drugiej ewolucji nad klatką użył innego roweru: o jednym kole i z siodełkiem na wysokości metra, pod którym przymocowane były pedały i długi pionowy łańcuch. Przejechał nad areną w jedną i drugą stronę, ponownie prezentując swoje akrobatyczne umiejętności, choć teraz z większą ostrożnością. Gdy pojawił się na linii po raz trzeci, na widowni powiało niepokojem, gdyż tym razem siodełko było wysunięte na dwa i pół metra w górę, z pionowym łańcuchem odpowiedniej długości. Obawa widzów przerodziła się w wyraźny lęk, kiedy dojechawszy na środek, do miejsca, w którym lina najbardziej się ugiwała, zarówno rower - jeśli to dziwne urządzenie można było jeszcze tak nazwać - jak i mężczyzna, zaczęły alarmująco się chwiać i Bruno musiał ograniczyć się do najbardziej podstawowych ewolucji akrobatycznych, żeby utrzymać równowagę. Wrócił w końcu bezpiecznie z powrotem, ale przedtem wywołał znaczne zmiany w poziomie adrenaliny, rytmie oddechu i pulsu u większości widowni. Do czwartej i ostatniej jazdy siodełko i łańcuch zostały uniesione na wysokość przeszło trzech i pół metra. To oznaczało, że głowa Bruna znajdowała się prawie pięć metrów nad liną, a jedenaście nad ziemią.

Siergiejew spojrzał na Wrinfelda, który z oczami wbitymi w arenę pocierał nerwowo

usta dłonią.

- Czy ten pański Bruno jest może w zмовie z aptekarzami, którzy sprzedają środki uspokajające albo z lekarzami specjalizującymi się w zawałach? - zapytał.

- Nigdy dotąd nic takiego nie robił, pułkowniku, ani on, ani nikt inny. Żaden akrobata nawet tego nie próbował.

Bruno zaczął się chwiać i kiwać niemal natychmiast po zjechaniu z górnej platformy, ale jego niesłychany zmysł równowagi i zadziwiające zdolności pozwoliły mu opanować chybotanie i sprowadzić je do rozsądnych granic. Tym razem nie usiłował nawet pokazywać żadnych sztuczek akrobatycznych, jego oczy, mięśnie, ścięgna, nerwy, były skoncentrowane wyłącznie na jednym - na utrzymaniu równowagi.

Dokładnie w połowie drogi przestał pedałować. Nawet najmniej znający się na sztuce cyrkowej widz wiedział, że była to rzecz niemożliwa, samobójcza; kiedy współczynnik równowagi osiąga stan krytyczny - a tu już zdawał się go nawet przekraczać - tylko ruch w przód lub w tył może pomóc odzyskać właściwe położenie.

- Nigdy więcej - odezwał się Wrinfeld. Jego głos był niski, chrapliwy. - Niech pan na nich spojrzy. Niech pan tylko na nich spojrzy!

Siergiejew rzucił okiem na widownię, zatrzymując na niej wzrok nie dłużej niż ułamek sekundy. Nietrudno było zrozumieć, co Wrinfeld ma na myśli. Pewien stopień pośredniego współuczestnictwa widzów w niebezpieczeństwie może być atrakcyjny, a nawet przyjemny, gdy jednak zagrożenie staje się zbyt wielkie - i jak w tym przypadku zbyt długotrwałe - przyjemność zamienia się w strach, w dławiący lęk. Zaciśnięte pięści, zagryzione usta, w wielu wypadkach odwrócone oczy, fale grozy płynące przez halę - nic z tego nie sprzyja przyciąganiu szerokich tłumów do kas. Niemożliwe napięcie utrzymywało się przez dziesięć nieskończenie długich sekund, koła roweru nie drgnęły ani o cal w przód ani w tył, a kąt przechylenia dostrzegalnie się powiększył. Bruno nacisnął silnie na pedały.

W tym momencie zerwał się łańcuch. Próżno by potem szukać dwóch jednobrzmiących relacji z tego, co zaszło. Rower natychmiast przechylił się na prawo, w stronę, na którą naciskał Bruno. On sam rzucił się do przodu - nie było kierownicy, która stanęłaby mu na przeszkodzie. Z rozpostartymi rękami, żeby zamortyzować upadek, opadł niezgrabnie, bokiem, na linę, zahaczając o nią wewnętrzną stroną uda i szyją, gdyż głowę miał odchyloną do tyłu pod nienaturalnym kątem. Potem jego ciało ześlizgnęło się z liny, zawisł na moment na prawej ręce i podbródku, aż wreszcie głowa obsunęła mu się, uścisk ręki zelżał i Bruno runął w dół, lądując najpierw na nogach, lecz natychmiast opadając bezwładnie na piasek jak zgruchotana lalka. Neubauer, którego dziesięć nubijskich lwów siedziało półkolem na podestach, nie tracił ani sekundy.

Wprawdzie Bruno wraz z rowerem upadł na środek areny, daleko od lwów, ale te nerwowe i drażliwe zwierzęta bardzo źle reagują na nagłe ruchy i niespodziewane sytuacje, a to była niewątpliwie zupełnie niespodziewana sytuacja. Trzy z nich w środku półkola już się podniosły na cztery łapy, kiedy Neubauer szybko pochylwszy się rzucił im piaskiem w oczy. Nie usiadły, ale na wpół oślepione zostały na swoich miejscach, dwa z nich pocierając powieki olbrzymimi łapami. Drzwi klatki otworzyły się, weszli przez nie opanowanym krokiem, nie biegiem, pomocnik tresera i kłown, wynieśli Bruna i zamknęli drzwi. Doktor Harper znalazł się przy nim w ułamku sekundy. Nachylił się, szybko go zbadał i dał znak ręką, ale niepotrzebnie: Kan Dahn stał już obok z noszami. Trzy minuty później ze środka areny ogłoszono komunikat, że słynny Orzeł Ciemności jest tylko w szoku i jeśli wszystko dobrze pójdzie, będzie mógł wystąpić już nazajutrz. Tłum, nieobliczalny jak zawsze, powstał z miejsc, jak jeden mąż i wiwatował przez pełną minutę: lepiej, żeby Orzeł Ciemności był w szoku niż w trumnie. Po chwili przedstawienie potoczyło się dalej.

Za kulisami, w ambulatorium, atmosfera była zdecydowanie mniej radosna: była pogrzebowa. Znaleźli się tam Harper, Wrinfeld, jego dwaj zastępcy, oraz Siergiejew i

dżentelmen około siedemdziesiątki o wspaniałej siwej grzywie i siwych wąsach. On i Harper stali w drugim końcu pokoju, gdzie na stole zabiegowym ułożono nosze z Brunem.

- Doktorze Hachid, może chce pan sam osobiście przeprowadzić obdukcję... - zaproponował Harper.

Doktor Hachid uśmiechnął się ze smutkiem.

- Nie sądzę, żeby to było konieczne. - Spojrzał na jednego z wicedyrektorów nazwiskiem Armstrong. - Czy widział pan już kiedyś nieboszczyka?

Armstrong przytaknął.

- Niech pan dotknie jego czoła.

Armstrong zawahał się, podszedł i położył rękę na czole Bruna. Niemal natychmiast ją cofnął.

- Jest zimne. - Wzdrygnął się. - Już zdążył wystygnać.

Doktor Hachid zakrył twarz Bruna białym prześcieradłem, odszedł od stołu i zaciągnął zasłonę.

- Jak to mówicie w Ameryce, lekarz jest lekarzem i basta - powiedział. - Nie chciałbym w żadnym razie obrazić kolegi, ale przepisy naszego państwa...

- Przepisy każdego państwa... - przerwał mu doktor Harper. - Cudzoziemiec nie może wystawić świadectwa zgonu.

Z piórem w ręku Hachid nachylił się nad formularzem.

- Złamanie kręgosłupa. Drugi i trzeci kręgi, powiedział pan? Przerwanie rdzenia kręgowego. - Wyprostował się. - Jeśli chce pan, żebym załatwił formalności...

- Już wezwałem ambulans. Kostnica szpitalna...

- To nie będzie konieczne - wtrącił Siergiejew. - Nie dalej niż sto metrów stąd jest zakład pogrzebowy.

- Doprawdy? To by nam zaoszczędziło mnóstwo kłopotów. Ale o tej porze nocy...?

- Doktorze Harper...

- Przepraszam, pułkowniku. Panie Wrinfeld, czy może mi pan użyczyć jednego ze swoich ludzi, kogoś zaufanego, kto potrafi zachować dyskrecję?

- Najlepszy będzie Johnny, dozorca nocny.

- Proszę go posłać do pociągu. Pod moim łóżkiem jest czarna walizka, niech ją tu przyniesie.

Pomieszczenie na tyłach zakładu pogrzebowego oświetlone było ostrym światłem jarzeniówki, podkreślającym zimną antyseptyczną czystość otoczenia, wykafelkowane ściany, marmurową podłogę, zlewy z nierdzewnej stali. Pod jedną ze ścian stały sztorcem trumny. Na środku pokoju znajdowały się jeszcze trzy; leżały na marmurowych stołach o stalowych nogach. Dwie z nich były puste. Doktor Harper zaciągał prześcieradło na trzecią. Stojący obok niego zażywny właściciel zakładu, o błyszczących butach i błyszczącej łysej czaszce, przestępował wzburzony z nogi na nogę, najwyraźniej mocno zraniony w swoich profesjonalnych uczuciach.

- Ale tak nie można robić - protestował. - To znaczy kłaść go prosto do trumny. Trzeba najpierw wykonać pewne czynności...

- Ja je wykonam. Wysłałem po własne wyposażenie.

- Ale trzeba go ubrać.

- Był moim przyjacielem. Ja to zrobię.

- Ale całun...

- Trudno mieć panu za złe niewiedzę w tym względzie, ale artystów cyrkowych zawsze chowa się w ich kostiumach.

- To wszystko jest nie w porządku. Mamy swoją etykę. W naszym zawodzie...

- Panie pułkowniku... - W głosie Harpera brzmiało znużenie.

Siergiejew skinął głową, wziął właściciela za ramię, odciągnął go na bok i coś cicho

powiedział. Wrócił po dwudziestu sekundach z mężczyzną bledszym o trzy tony i z kluczem, który wręczył Harperowi.

- Zakład jest do pańskiej dyspozycji, doktorze. Może pan odejść - rzekł do właściciela, który czym prędzej wyszedł.

- Sądzę, że i my powinniśmy już stąd pójść - powiedział Wrinfeld. - Mam w biurze trochę niezłej wódki.

Kiedy weszli do biura, zastali Marię przy biurku z czołem opartym na splecionych na blacie rękach. Podniosła wolno głowę, patrząc przez zmrużone oczy, jakby niedowidząc. Strapiony i zakłopotany doktor Harper stał na wprost niej, mając po bokach równie strapionego Wrinfelda i niewzruszonego Siergiejewa: z biegiem lat muskuły twarzy tego ostatniego utraciły zdolność układania się w wyraz współczucia. Oczy Marii były czerwone, zapuchnięte i szkliste, policzki błyszcząły od łez.

Wrinfeld spojrział na jej ściągniętą bólem twarz i niezgrabnie dotknął jej ramienia.

- Przepraszam, Mario. Zapomniałem... nie zdawałem sobie sprawy... już stąd idziemy.

- Nie, nie, nie trzeba. - Wytarła twarz chusteczką. - Proszę, niech panowie wejdą.

Kiedy trzech mężczyźni ociągając się weszli i Wrinfeld wyjął obiecaną butelkę wódki, Harper spytał:

- Skąd się dowiedziałeś? Strasznie mi przykro, Mario. - Spojrział na jej pierścionek zaręczynowy i odwrócił wzrok. - Ale skąd wiedziałeś?

- Nie wiem. Po prostu wiedziałam. - Jeszcze raz wytarła oczy. - To znaczy wiem. Usłyszałam komunikat po upadku. Nie poszłam zobaczyć, co się stało... po prostu się bałam. Byłam pewna, że gdyby został ranny wezwałby mnie do siebie albo wy byście po mnie przysłali. Ale nikt nie przyszedł.

W zrozumiałej, pełnej napięcia ciszy mężczyźni dość pospiesznie wypili po kieliszku wódki i wymknęli się. Harper, który wychodził ostatni, odwrócił się do Marii.

- Muszę wziąć trochę niezbędnych rzeczy - oznajmił. - Będę z powrotem za dwie minuty.

Zamknął drzwi za sobą. Maria odczekała chwilę, podniosła się, zerknęła przez okno, otworzyła drzwi i ostrożnie wyjrzała. Nikogo nie było w pobliżu. Zamknęła drzwi na klucz, wróciła do biurka, wyjęła z szuflady tubkę, zdjęła zakrętkę i wycisnęła na rękę jeszcze trochę gliceryny, wcierając ją w twarz i oczy. Potem otworzyła drzwi.

Doktor Harper wrócił po chwili z walizką. Nalał sobie następny kieliszek wódki, starając się omijać wzrokiem dziewczynę, jakby nie wiedział, od czego zacząć. Wreszcie chrząknął i powiedział przeproszającym tonem:

- Wiem, że nigdy mi tego nie wybaczysz, ale musiałem tak postąpić. Widzisz, nie wiedziałem, czy potrafisz być dobrą aktorką. Obawiam się, że nie. Nie umiesz ukryć swoich uczuć.

- Nie umiem ukryć swoich... Przecież pan wie, że Bruno i ja... - Urwała i dodała wolno: - Co to na Boga ma znaczyć?

Uśmiechnął się do niej szeroko, choć z pewnym zakłopotaniem.

- Wytrzymaj oczy i sama chodź zobacz. Na jej twarzy pojawił się pierwszy ślad zrozumienia. - Czy to znaczy?..

- To znaczy chodź i zobacz.

Bruno odrzucił dwa przykrywające go prześcieradła i usiadł w trumnie. Spojrział na Harpera bez cienia entuzjazmu.

- Niezbyt się pan spieszył, co? - zapytał z naganą. - Ciekawe, jakby pan się czuł leżąc na marach i czekając, aż nadejdzie jakiś nadgorliwy pracownik i zacznie zabijać wieko?

Maria uratowała Harpera od konieczności udzielenia odpowiedzi. Kiedy Bruno się w końcu od niej uwolnił, zeskoczył sztywno na podłogę i sięgnął do trumny po mokry, ociekający wodą płócienny woreczek.

- Na domiar złego przemokłem do suchej nitki.

- A co to takiego? - spytała Maria.

- Mały podstęp, moja droga. - Harper uśmiechnął się kwaśno. - Woreczek na lód. Był konieczny, żeby Bruno miał zimne i wilgotne czoło jak u nieboszczyka. Niestety, lód ma to do siebie, że topnieje. - Położył walizkę na trumnie i otworzył ją. - A teraz będziemy jeszcze musieli przysporzyć Brunowi dodatkowych cierpień: mamy za zadanie przemienić go w cud piękności i radość dla oczu.

Przemiana zajęła nie więcej niż dwadzieścia minut. Harper może niekoniecznie minął się z powołaniem, ale z pewnością czułby się też w swoim żywiole w charakterystycznej studiu filmowego. Pracował szybko i sprawnie, najwyraźniej czerpiąc satysfakcję ze swojego dzieła. Kiedy skończył, Bruno przejrzał się w dużym lustrze i skrzywił z niesmakiem. Ciemnoblond peruka była jakby ciut za długa i za rzadka, ciemnoblond wąsy odrobinę za bujne, wyraźna półokrągła blizna, która biegła od czoła przez kącik prawego oka aż do nasady nosa powstała najwyraźniej na skutek spotkania ze stłuczoną butelką; co do ubrania zaś, to składało się z koszuli w niebiesko_białe paski, czerwonego krawata, brązowego garnituru w pionowy, czerwony rzucik, musztardowych skarpetek i butów w tym samym oszałamiającym kolorze. Sygnety na jego palcach zdawały się pochodzić z odpustowego straganu albo ze strzelnicy w lunaparku.

- Cud piękności, rzeczywiście - powiedział Bruno. - Mógłbym się wynajść w charakterze stracha na wróble. - Rzucił rozgoryczone spojrzenie na Marię, której ręka dyskretnie zasłaniająca usta, nie mogła jednak ukryć małych zmarszczek śmiechu w kącikach oczu, po czym zwrócił się do Harpera. - To przebranie ma sprawić, że nie będę rzucać się w oczy?

- W tym cała rzecz. Tak bardzo rzuca się pan w oczy, że nikomu nie przyjdzie do głowy przypatrywać się panu dokładniej... pomijając tych, którzy zechcą się upewnić, że ich oczy nie mylą. Tylko anonimowi, cisi, szarzy ludzie przemykający chyłkiem po ulicach wzbudzają podejrzenie. Nazywa się pan Jon Neuhaus i jest sprzedawcą obrabiarek z Niemiec Wschodnich. Paszport i dokumenty znajdują się w wewnętrznej kieszeni marynarki.

Bruno sięgnął po paszport, solidnie wyglądający dokument, z którego wynikało, że jego obowiązki handlowca zawiodły go do niemal wszystkich krajów za żelazną kurtyną, do niektórych nawet parokrotnie. Spojrzał na zdjęcie, a potem znów na swoje odbicie w lustrze. Podobieństwo było uderzające.

- Przygotowanie tego wymagało sporo wysiłku - powiedział. - Gdzie to zrobiono?

- W Stanach.

- I miał to pan cały czas?

Harper przytaknął.

- Mógł mi pan to wcześniej pokazać. Dać mi sposobność do oswojenia się z tym obrzydlistwem.

- Po to, żeby wycofał się pan z całej sprawy? - Harper spojrział na zegarek. - Ostatni dzisiejszy pociąg przyjeżdża za piętnaście minut. Samochód czeka na pana sto metrów dalej na ulicy. Zawiezie pana dyskretnie na dworzec; proszę się postarać, żeby pana zauważono: właśnie wysiadł pan z pociągu. Walizka zawiera wszystkie potrzebne ubrania i przybory toaletowe. Ten sam samochód odwiezie pana do hotelu, gdzie dwa tygodnie temu zrobiono rezerwację.

- Sam pan to wszystko zaaranżował?

- Tak. A raczej nie ja, tylko jeden z naszych agentów. Nasz człowiek w Krau, można powiedzieć. Nieoceniony. Potrafi załatwić wszystko w tym mieście, i nic dziwnego, jest szychą w radzie miejskiej. Właśnie jeden z jego ludzi będzie woził dziś pana samochodem.

Bruno spojrział na niego z zamyśleniem.

- Niewątpliwie trzyma pan karty przy orderach, doktorze Harper.

- I dlatego jeszcze chodzę po tym świecie. - Harper pozwolił sobie na cierpliwe westchnienie. - Kiedy spędziło się większość życia w tym interesie, to wiadomo, że im mniej ludzi wie cokolwiek, tym większa doza bezpieczeństwa. Maria wynajmie rano samochód. Dwie przecznice na zachód stąd jest gospoda zwana "Pod rogiem myśliwskim". Proszę stawić się tam o zmierzchu. Maria przybędzie wkrótce potem. Zajrzy do środka i odejdzie. Pójdzie pan za nią. Ma pan wyjątkową zdolność wyczuwania, kiedy ktoś pana śledzi, więc o to się nie martwię. Maria przekaże panu wszelkie ewentualne zmiany planu czy dodatkowe instrukcje.

- Mówił pan, że pański człowiek w Krau może wszystko załatwić?

- Owszem.

- Niech zdobędzie kilka lasek dynamitu. Zresztą może to być dowolny materiał wybuchowy, byleby miał dziesięciosekundowy zapalnik. Da się to zrobić?

Harper zawahał się.

- Przypuszczam, że tak. Po co to panu?

- Powiem panu wkrótce i to nie dlatego, że chcę być równie tajemniczy jak niejaki doktor Harper. Po prostu jeszcze sam nie jestem do końca pewien, ale przyszedł mi do głowy pomysł, który ewentualnie pomoże mi ująć z życiem z Łubianu. - Bruno. - Na twarz dziewczyny wrócił bolesny skurcz strachu, ale on na nią nie patrzył. - Myślę, że jest szansa, aby dostać się tam niepostrzeżenie, ale nie ma praktycznie żadnych szans, aby tak samo się stamtąd wydostać. Zapewne będę musiał uciekać w szalonym pośpiechu, a kiedy podniosą alarm, wszystkie wyjścia zostaną automatycznie zablokowane. Wtedy mogę być zmuszony do wysadzenia drzwi w powietrze.

- O ile pamiętam mówił pan, że nie chce nikogo zabijać. Wybuch dynamitu może zabić sporo osób.

- Będę bardzo ostrożny. Ale mogę stanąć wobec nieuchronnego wyboru: oni albo ja. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Da mi pan ten dynamit czy nie?

- Muszę mieć czas, żeby to przemyśleć.

- Niech pan posłucha, doktorze Harper. Wiem, że pan jest szefem, ale tu i teraz to nie pan się liczy, tylko ja. Ja jestem tym, który ryzykuje życiem, żeby się dostać do Łubianu... i wydostać stamtąd. Ja, nie pan. Pan będzie sobie siedział wygodnie i bezpiecznie w bazie i w razie mojej wpadki wyprze się wszelkiej wiedzy na ten temat. Nie proszę już, ale żądam. Chcę mieć ten materiał wybuchowy. - Spojrzył z niesmakiem na swoje ubranie. - Jeśli nie, może pan przymierzyć ten garnitur.

- Powtarzam, potrzebuję czasu.

- Mogę poczekać. - Bruno oparł się łokciami o trumnę. - Mogę poczekać całe pięć sekund. Odliczę je. A potem zdejmę te łańcuchy i wrócę do cyrku. Życzę panu szczęścia w zdobywaniu Łubianu. A także w rozmowach z milicją, kiedy będzie się pan tłumaczył, jakim cudem doszło do drobnej omyłki z uznaniem mnie za zmarłego. Raz. Dwa. Trzy. - To szantaż. - Naturalnie. Cztery.

- Dobrze, już dobrze, dostanie pan te swoje przeklęte fajerwerki. - Harper zamilkł ponuro, a potem dodał z wyrzutem: - Muszę przyznać, że nie znałem pana dotąd od tej strony.

- A ja nie znałem dotąd tego cholernego Łubianu. Teraz poznałem. Wiem, jakie mam szanse. Proszę, żeby Maria przywiozła mi jutro te materiały wybuchowe. Czy Wrinfeld wie, że dzisiejszego wieczoru to była mistyfikacja.

- Oczywiście.

- Ryzykował pan sprowadzając tu ze sobą Siergiejewa.

- Pomijając, że na to należał, ryzykowałbym o wiele bardziej, gdybym tego nie zrobił. Z całą pewnością dopiero to wzbudziłoby jego podejrzenie.

- A nie ma żadnych podejrzeń?

- Ostatnia rzecz, jaka przyszlaby pułkownikowi Siergiejewowi do głowy, to myśl, że ktoś mógłby być na tyle niemądry, aby wybrać teren jego działania do popełnienia samobójstwa.

- Pieniądze?

- W drugiej wewnętrznej kieszeni.

- Na dworze jest lodowato zimno.

- W aucie znajdzie pan piękny ciepły płaszcz. - Harper uśmiechnął się. - Na pewno się panu spodoba.

Bruno wskazał głową na otwartą trumnę:

- A to?

- Zostanie obciążona i zabita dziś w nocy. Pochowamy pana w poniedziałek rano.

- Czy mogę sobie wysłać wieniec?

- To nie byłoby rozsądne. - Harper uśmiechnął się kącikiem ust. - Ale może pan, oczywiście, wmieszać się dyskretnie w tłum żałobników.

Czterdzieści minut później Bruno rozpakowywał się w pokoju hotelowym, zerkając od czasu do czasu na "piękny ciepły płaszcz", który Harper tak przewidująco mu dostarczył. Był zrobiony z grubego sztucznego futra, w pionowe, kręte, biało-czarne pasy i wyglądał kropka w kropkę jak szynszyle za dobrych kilka tysięcy dolarów. Bezsownie był jedyny w swoim rodzaju w całym Krau i zapewne w obrębie setek mil wokół, a poruszenie, jakie Bruno wywołał krocząc przez hall do recepcji, należało uznać za bardziej niż zadowolające; gdy widok futra dodać do faktu, że było niedbale rozpięte, ukazując całą gamę kolorów pod spodem, trudno się dziwić, iż mało kto rzucił choćby okiem na twarz jego właściciela. Bruno zgasił światło, rozsunał story, otworzył okno i wyrzwał. Jego pokój był na tyłach hotelu i wychodził na wąską uliczkę z ciągiem magazynów. Jeśli nawet nie była pogrążona w kompletnych ciemnościach, to niewiele brakowało. Jakiś metr od okna znajdowała się drabinka przeciwpożarowa: łatwa i - w połączeniu z ciemnym zaułkiem - idealna droga na wymknięcie się z hotelu. Zbyt łatwa, zbyt idealna. Zgodnie z zaleconą przez Harpera taktyką jawności, Bruno zszedł do restauracji hotelowej na kolację, trzymając pod pachą wschodniobrzeńską gazetę z aktualną datą, którą znalazł w walizce. Harper był człowiekiem, dla którego każdy najmniejszy szczegół potrafił mieć znaczenie. Skąd ją zdobył, Bruno nie miał pojęcia. Jego wejście nie wywołało żadnej wyraźnej sensacji, mieszkańcy Krau, czy przybyli goście byli na to zbyt dobrze wychowani. Tylko uniesione brwi, uśmieški i szepty świadczyły, że jego obecność nie pozostała niezauważona. Bruno rozejrzał się niedbale wokół. Na widoku nie było nikogo, kto w najmniejszym stopniu wyglądałby na tajnego agenta, chociaż to słaba pociecha: najlepsi agenci nigdy na takich nie wyglądają. Bruno zamówił posiłek i pogrążył się w lekturze. Nazajutrz o ósmej rano znów siedział w restauracji czytając gazetę, tym razem dziennik lokalny. Pierwszą rzeczą, która rzuciła mu się w oczy, była duża nota pośmiertna, obwiedziona czarną ramką - grubą na przeszło centymetr - na środku pierwszej strony. Dowiedział się z niej, że zmarł podczas tej nocy. Głęboka żałoba ogarnęła wszystkich miłośników cyrku na świecie, ale naturalnie nigdzie nie odczuwano jej tak dotkliwie jak w Krau. Później następowało wiele sentymentalnych i filozoficznych rozważań na temat dziwnych kolei losu, który przywiódł Bruna do rodzinnego miasta, aby tu znalazł śmierć. Miał być pochowany w poniedziałek o jedenastej przed południem. Spodziewano się, że w pogrzebie weźmie udział wielka liczba mieszkańców Krau, chcących złożyć ostatni hołd najświetniejszemu synowi tego miasta, największemu akrobacie wszechczasów. Bruno wziął po śniadaniu gazetę do swojego pokoju, znalazł nożyczki i wyciął artykuł w czarnej ramce, który starannie złożył i schował do wewnętrznej kieszeni marynarki. Po południu Bruno udał się na zakupy.

Dzień był zimny i słoneczny, a on zostawił swoje futro w hotelu. Zrobił to nie z

powodu pogody ani z jakiejś wrodzonej wstydlivosti - po prostu było zbyt grube, aby nieść je później niepostrzeżenie w pakunku, choćby bardzo ciasno zwiniętym. To miasto Bruno znał lepiej niż jakiegokolwiek inne na świecie i mógł bez zbyteń wysiłku pozbyć się każdego, kto by go śledził, ale już po pięciu minutach wiedział, że nikt za nim nie idzie. Skręcił w przecznicę, potem w jeszcze mniejszą uliczkę, niemal wiejską drogę, i wszedł do sklepu z używaną odzieżą, przy którym każdy pchli targ był szczytem wytworności: nawet najlepsze wystawione tu ubrania trudno by określić mianem lekko używanych. Właściciel, starszy, przygarbiony człowiek, którego wodniste oczy pływały za grubymi szklami okularów i który z pewnością nigdy nie zdołałby go rozpoznać - zapewne nie rozpoznawał nawet członków własnej rodziny - miał oryginalny, ale nad wyraz praktyczny sposób wystawiania swoich towarów na sprzedaż. Poszczególne sztuki garderoby leżały w niechlujnych stosach na podłodze, osobno marynarki, osobno spodnie, płaszcze, koszule i tak dalej. Rzuciła się w oczy nieobecność krawatów. Bruno opuścił sklep z okazałą paczką zawiniętą w mocno przybrudzony szary papier, obwiązany wystrzępionym sznurkiem. Skierował się do najbliższego szaletu, a kiedy stamtąd wyszedł, był zmieniony nie do poznania. Miał na sobie niedopasowane, połatane i wiekowe ubranie, niemożliwie wyświechtane, i nie wyglądał na osobnika, do którego porządny obywatel zechciałby się zbliżyć na odległość paru metrów, a co dopiero pokusić o bliższą znajomość. Brudny, pognieciony beret był o dwa numery za duży i opadał mu na uszy, ciemny płaszcz deszczowy roił się od plam, spodnie były niewiarygodnie wypchane, pomięta, niegdyś granatowa koszula rozchełstana u szyi, a obcasy koślawych butów tak zdarte, że dawało mu to szczególnie, kołyszający się krok. Dla dopełnienia obrazu otaczała go przenikliwa woń odstręczająca każdego już na odległość kilku metrów: w celu wytępienia wszy, pcheł i innych niepożądanych żyjątek, handlarz starzyzną zlewał każdą sztukę odzieży środkiem dezynfekującym, który był równie silny jak cuchnący. Ściskając pod pachą szary pakunek Bruno szedł niespiesznie przez miasto. Zapadał zmrok. Bruno wybrał skrót przez duży park, którego część przeznaczono na jeden z cmentarzy miejskich.

Mijając otwartą żelazną bramę w wysokim murze okalającym cmentarz, zauważył dwóch mężczyzn kopiących pracowicie ziemię przy świetle dwóch latarni. Zaintrygowany podszedł bliżej, właśnie, kiedy mężczyźni, stojący w płytkim jeszcze grobie, wyprostowali się, rozcierając zbolale krzyże.

- Pracujecie do późnych godzin, towarzysze - powiedział Bruno ze współczuciem w głosie.

- Umarli nie mogą czekać - odezwał się starszy z grabarzy grobowym tonem i przypatrując mu się uważniej dodał: - Niektórzy z nas muszą zarabiać na życie. Nie mógłbyś stanąć po drugiej stronie grobu?

Bruno uświadomił sobie, że lekki wiatr niesie jego zapach w ich kierunku. Przesunął się.

- A dla kogo szykujecie to miejsce ostatniego spoczynku? - zapytał.

- Dla jednego sławnego Amerykanina, chociaż urodził się on i wychował w tym mieście. Dobrze znałem jego dziadka. To wnuk starego Wildermanna. Występował w cyrku, w tym słynnym cyrku co jest teraz w Pałacu Zimowym. Zginął w wypadku. W poniedziałek będzie tu wielka uroczystość, nawet Iwan i ja włożymy najlepsze garnitury.

- W wypadku? - Bruno potrząsnął głową. - Założę się, że wpadł pod autobus. Cholera, wiele razy o mało...

- Nie, stary głupcze - wtrącił młodszy z mężczyzn. - Spadł z liny w cyrku i skręcił kark. - Wepchnął łopatę w piaszczysty grunt. - Wybacz, ale musimy już wracać do roboty.

Bruno wybąkał coś przepraszająco i powłókł się dalej. Pięć minut później był "Pod rogiem myśliwskim", gdzie musiał zapłacić z góry odwracającemu nos kelnerowi zanim dostał kawę. Po piętnastu minutach w drzwiach pokazała się Maria, rozejrzała się

najwyraźniej go nie poznając i po pewnym wahaniu odeszła. Bruno podniósł się niedbale i skierował do wyjścia. Na ulicy wydłużył krok nie zmieniając tempa i po minucie był już tuż za nią.

- Gdzie samochód? - spytał.

Odwróciła się.

- Skąd do diabła... nie było cię... ależ tak, byłeś!

- Zaraz dojdiesz do siebie. Gdzie samochód?

- W następnej przecznicy.

- Czy ktoś za tobą jechał?

- Nie.

Samochód okazał się niepozornym starym volkswagenem, jakich wiele jeździło po mieście. Był zaparkowany pod latarnią. Bruno usiadł za kierownicą, Maria obok. Pociągnęła nosem z obrzydzeniem.

- Co tak niemiłosiernie śmierdzi?

- Ja.

- Tyle wiem, ale...

- To tylko środek dezynfekujący. Bardzo silny, ale nic więcej. Przyzwyczaisz się. Właściwie pachnie całkiem ożywczo.

- Pachnie obrzydliwie! Dlaczego na Boga...

- To przebranie - wyjaśnił Bruno cierpliwie. - Nie sądzisz chyba, że to mój ulubiony sposób ubierania się? Uważam, że doktor Harper nie docenia pułkownika Siergiejewa. Mogę się nazywać Jon Neuhaus i być szacownym obywatelem z zaprzyjaźnionego satelickiego kraju, ale nadal jestem cudzoziemcem i głowę dam, że Siergiejew ma każdego cudzoziemca namierzonego od momentu, gdy znajdzie się w obrębie trzydziestu kilometrów od Krau. W ciągu dziesięciu minut będzie wiedział - jeśli zechce, o każdym nowym gościu hotelowym w mieście. Będzie miał mój dokładny rysopis. Moje dokumenty są w porządku, więc nie poświęci mi większej uwagi. Ale robi to, kiedy szacowny przedstawiciel handlowy dużej firmy zacznie odwiedzać podłe knajpy jak ta "Pod rogiem myśliwskim" albo przesiadywać bez końca w samochodzie w cieniu Łubianu. Nie uważasz?

- Masz rację. Wobec tego pozostaje mi tylko jedna rzecz do zrobienia.

Otworzyła torebkę, wyjęła mały aerozol z wodą kolońską, spryskała się obficie, a resztę wylała na Bruna. Kiedy skończyła, Bruno pociągnął nosem.

- Środek dezynfekujący zwyciężył - oznajmił.

Rzeczywiście; woda kolońska zamiast zneutralizować ostry zapach, jeszcze go spotęgowała. Bruno otworzył okna i szybko ruszył, patrząc równie często w boczne lusterko co na drogę przed sobą. Kręcił i kluczył po ciemnych ulicach i zaułkach, aż stało się pewne, że jakiś ewentualny pościg musiał zostać dawno zgubiony. Podczas jazdy omawiali w skrócie plan wdarcia się do Łubianu we wtorek w nocy.

- Masz to, o co prosiłem? - spytał Bruno.

- W bagażniku. Nie to, o co prosiłeś, człowiek Harpera nie mógł tego zdobyć, dał coś innego. Mówi, że musisz być bardzo ostrożny z tym materiałem, zdaje się, że wystarczy na niego spojrzeć, żeby wybuchnął.

- Dobry Boże! Chyba nie dał mi nitrogliceryny?

- Nie. To się nazywa amatol.

- Wobec tego w porządku. To znaczy, że miał na myśli detonator. Piorunian rtęci, prawda?

- Tak, tak powiedział.

- Granulacja siedemdziesiąt siedem. Bardzo wybuchowy towar. Cyklonitowy zapalnik aktywowany chemicznie.

- Tak, dokładnie tak mówił. - Spojrzała na niego z zaciekawieniem. - Jakim cudem

jesteś ekspertem w dziedzinie materiałów wybuchowych?

- Nie jestem. Czytałem o tym parę lat temu i zakodowałem tę wiadomość w głowie.

- Musisz mieć tam niezły bank danych. Jak to się robi, żeby tak od razu na oczekaniu przywołać odpowiednią informację?

- Gdybym wiedział, zbiłbym na tym majątek zamiast wyglupiać się na trapezie. Potrzebne mi będzie jeszcze coś. Po pierwsze, duża, najlepiej dwa i pół na dwa i pół metra, gumowa lub skórzana płachta.

Potrząsnęła głową i spytała:

- Po co ci to? - Jej oczy powiedziały mu, że wie.

- A jak myślisz? Żeby ją przerzucić przez to przekłete elektryczne ogrodzenie, oczywiście. Może to być mata gimnastyczna. Potrzebuję też linę z owiniętym hakiem. Chcę mieć obie te rzeczy jak najszybciej. Poproś Harpera, żeby je załatwił i włożył do bagażnika samochodu. Czy chciałabyś zjeść ze mną jutro lunch?

- Co?

- Chcę zobaczyć te rzeczy.

- Ach tak. Z przyjemnością. - Pociągnęła nosem. - Nie, bez przyjemności. W każdym razie dopóki nosisz te łachy. I tak żadna, choć trochę szanująca się restauracja cię nie wpuści.

- Przebiorę się.

- Ale jeśli zobaczą nas razem... i to jeszcze w świetle dziennym...

- Znam pewną uroczą małą gospodę w uroczej małej wiosce jakieś piętnaście kilometrów stąd. Nikt nas tam nie pozna, a poza tym nikt nie będzie mnie wypatrywał: przecież nie żyję. Co mi przypomina, że niecałą godzinę temu rozmawiałem z dwoma grabarzami.

- Widzę, że dopisuje ci humor, co?

- Rzeczywiście. Było to bardzo interesujące.

- "Pod rogiem myśliwskim"?

- Na cmentarzu. Spytałem ich dla kogo kopią grób, a oni powiedzieli, że dla mnie. To znaczy, dla tego Amerykanina, który spadł z liny. Nie każdy ma okazję widzieć, jak szykuje się dla niego mogiłę. Robili to bardzo porządnie, trzeba przyznać.

- Proszę cię. - Zadrzała. - Musisz?

- Przepraszam. To nie było śmieszne. Tylko tak mi się wydawało. Pojedziesz do tej wioski, nazywa się Kolszuki, samochodem, a ja pociągami. Spotkamy się tam na stacji. Możemy teraz pojechać i sprawdzić rozkład pociągów na dworcu w Krau. Będziesz musiała uzgodnić to z Harperem, oczywiście.

Na spartańskim metalowym stole, w spartańsko urządzonej biurze, przewijały się szpule magnetofonu. Przy stole siedzieli naprzeciwko siebie pułkownik Siergiejew i kapitan Kodes. Obaj mieli słuchawki na uszach. Siergiejew miał ponadto jeszcze cygaro i butelkę wódki, a na twarzy najbardziej błogi wyraz, w jaki jego rysy były w stanie się ułożyć. Kapitan Kodes także pozwolił sobie na luksus szerokiego uśmiechu. Angelo, dyskretnie siedzący w rogu, również się uśmiechał, chociaż nie miał słuchawek na uszach ani wódki. Jeśli pułkownik był szczęśliwy, to i on był szczęśliwy.

Bruno wrócił z dworca sprawdzwszy rozkład jazdy.

- Jest bardzo dogodny pociąg w porze lunchu - powiedział. - Spotkamy się na stacji w Kolszuchach o dwunastej w południe. Trafisz tam bez trudu. W całej wiosce nie ma więcej niż pięćdziesiąt chałup. Wiesz, gdzie to jest?

- W schowku na rękawiczki znalazłam mapę i sprawdziłam. Będę punktualnie.

Bruno pojechał ulicą Główną i zatrzymał volkswagena naprzeciwko uliczki od południowej strony Łubianu. Nie była pusta, stały na niej dwie ciężarówki i samochód,

najwyraźniej zaparkowane na noc. Brak zakazu parkowania w tak bliskiej odległości od więzienia dowodził, że strażnicy pokładali całkowitą wiarę w jego systemie bezpieczeństwa. Bruno zanotował w pamięci: nie ma zakazu parkowania w nocy ciężarówek od południowej strony.

- Nie zapomnij przekazać Harperowi wszystkiego, o czym dzisiaj mówiliśmy - powiedział. - I nie zapomnij, że na użytek przypadkowych przechodniów jesteśmy tylko parą patrzących sobie w oczy kochanków. Moja najmilsza Mario. To dla wprawy.

- Tak, Bruno - zgodziła się powściągliwie. - Niedługo się pobierzemy, Bruno.

- Bardzo niedługo, najdroższa. Zapadli w ciszę, ze wzrokiem utkwionym w uliczkę; Maria cały czas, Bruno większość czasu.

W kwaterze głównej służby bezpieczeństwa pułkownik Siergiejew wydawał z gardła chrapliwy bulgot. Nie znaczy to, że zakrztusił się wódką. Pułkownik Siergiejew się śmiał. Skinął na Angela, żeby nalał mu następny kieliszek, a potem wskazał, żeby nalał i sobie. Angelo omal nie zmiażdżył butelki ze zdumienia, uśmiechnął się swoim drapieźnym uśmiechem i czym prędzej wypełnił polecenie, nie czekając aż Siergiejew się rozmyśli. Było to wydarzenie bez precedensu, epokowa noc.

Bruno odwrócił się nagle, objął Marię ramieniem i pocałował ją namiętnie. W pierwszej chwili spojrzała na niego szeroko otwartymi, ciemnymi oczami, w których malowało się zdumienie i podejrzliwość, potem rozluźniła się i przyłgnęła do niego, by zaraz zeszytywieć, kiedy rozległo się władcze pukanie o szybę. Wysunęła się z ramion Bruna i otworzyła okno. Dwaj potężni milicjanci, uzbrojeni w broń palną i pałki, nachylali się, zaglądając do auta. Pomijając mundury i pistolety, nie przypominali jednak popularnego wizerunku stróżów porządku za żelazną kurtyną. Wyraz twarzy mieli łagodny, niemal ojcowski. Ten wyższy pociągnął nosem podejrzliwie.

- Bardzo dziwnie pachnie w tym aucie, trzeba stwierdzić.

- Rozbiłam buteleczkę perfum - powiedziała Maria. - Kropelka pachnie przyjemnie, ale całe opakowanie... cóż, rzeczywiście ten zapach jest trochę zbyt mocny, muszę przyznać.

Bruno, zacinając się lekko i z widocznym zażenowaniem w głosie rzekł:

- O co chodzi, panie władzo? To moja narzeczona. - Podniósł lewą rękę Marii z pierścieniem zaręczynowym, żeby nie było, co do tego wątpliwości. - Chyba przepisy nie zabraniają...

- Oczywiście, że nie. - Milicjant oparł się konfidencjonalnie łokciem o krawędź okna.

- Ale zabraniają parkować na ulicy Głównej.

- Och! Bardzo mi przykro. Nie zdawałem sobie sprawy...

- To te opary - powiedział uprzejmie milicjant. - Musicie być całkiem zaczadzeni.

- Tak, obywatelu sierzancie. - Bruno uśmiechnął się blade. - Czy możemy zaparkować za tymi ciężarówkami? - Z nadzieją wskazał ręką na pojazdy przy ulicy Południowej.

- Oczywiście. Tylko się nie zaziębcie. Aa, towarzyszu?

- Tak, obywatelu sierzancie?

- Jeśli ją tak kochacie, czemu nie kupicie swojej narzeczonej porządnych perfum? Wcale nie muszą być drogie. - Zachwycony własnym dowcipem odszedł z kolegą uśmiechając się szeroko.

Maria, mając w pamięci chwilę, gdy przyłgnęła do Bruna, powiedziała ze złością:

- Wielkie dzięki. Przez moment myślałam, że nie możesz mi się oprzeć.

- Zawsze patrz w boczne lusterko. To równie ważne, kiedy się stoi, jak kiedy się jedzie.

Wykrzywiła się do niego, gdy zapuszczał silnik, by przestawić samochód na drugą

ulicę.

Milicjanci obserwowali ich przez chwilę, potem odeszli, schodząc im z oczu. Wyższy z nich wyjął z kieszeni na piersi mały nadajnik, nacisnął guzik i powiedział:

- Zaparkowali przy ulicy Południowej, obok Łubianu, towarzyszu pułkowniku.

- Doskonale. - Mimo metalicznego przydźwięku i słów przerywanych chrapliwym gulgotem - jego krtań była nienawykła do śmiechu - nie ulegało wątpliwości, że to głos Siergiejewa. - Niech sobie zakochana parka pogrucha.

Już po paru minutach Bruno i Maria ustalili, że na dole również są strażnicy. Było ich trzech i chodzili nieustannie wokół Łubianu, w odstępach jeden za drugim, nie widząc się nawzajem. Jako wartownicy wykazywali umiarkowany entuzjazm. Nie interesowało ich ciągle, dokładne lustrowanie otoczenia, baczne przypatrywanie się wszystkiemu, co znajdowało się w zasięgu wzroku: krążyli wokół z oczami wbitymi w ziemię, powłóczącym krokiem, sprawiając wrażenie nieszczęśników kulących się przed zimnem i marzących tylko o końcu zmiany. Łubian patrolowano od dziesięciu czy dwudziestu lat i nigdy nic szczególnego się nie zdarzyło - dlaczego więc miałyby zdarzyć się teraz? Z dwóch widocznych wieżyczek strażniczych, południowo_zachodniej i południowo_wschodniej, od czasu do czasu błyskały ponad murem nieregularne smugi reflektorów. Nie można się było dopatrzeć żadnego określonego porządku ich zapalania i gaszenia; wyglądało na to, że jest to proces zupełnie przypadkowy i dowolny, zależny wyłącznie od kaprysu strażnika. Po dwudziestu minutach Bruno odjechał, kierując się do szaletu, który odwiedził przed wieczorem. Wysiadł z samochodu, pocałował Marię na pożegnanie i zniknął w ciemnościach.

Kiedy wyszedł, z brudnym pakunkiem ze starymi łachami i amatolem pod pachą, był ubrany w swój poprzedni wielobarwny strój.

Rozdział dziewiąty

Nazajutrz, punktualnie o dwunastej w południe, Bruno spotkał się z Marią na stacji w Kolszukach. Był piękny, bezchmurny, zimowy dzień, rześki i słoneczny, ale nizinny wschodni wiatr przejmował dokuczliwym chłodem. Podczas dwudziestominutowej podróży pociągiem Bruno spędził mile czas czytając mocno ubarwione wspomnienie pośmiertne o sobie w lokalnej gazecie niedzielnej. Był zdumiony bogactwem i różnorodnością swojej kariery, międzynarodowym uznaniem, które towarzyszyło mu na każdym kroku, niebywałymi wyczynami, jakie prezentował przed głowami państw na całym świecie, a już szczególnie wzruszyło go odkrycie, że bardzo lubił małe dzieci. Z treści artykułu jasno wynikało, że dziennikarz przeprowadził wywiad z kimś z cyrku, kogo cechowało czarne poczucie humoru. Był pewien, że to nie robota Wrinfelda, najbardziej prawdopodobnym sprawcą wydał mu się Kan Dahn, choćby z tego powodu, że był jedyną osobą oprócz Bruna wymienioną w artykule. Pomyślał, że ta publikacja wróży wspaniały pogrzeb: liczba zgromadzonych na cmentarzu nazajutrz o jedenastej przed południem zapowiadała się imponująco. Starannie wyciął artykuł i włożył do kieszeni wraz z tym z poprzedniego dnia. Gospoda, którą wybrał, leżała trzy kilometry od stacji. Po kilometrze zjechał na bok, wysiadł, otworzył bagażnik, obejrzał szybko matę gimnastyczną i hak z liną, zamknął bagażnik i wrócił do samochodu.

- Mata i lina są takie jak chciałem. Niech tu zostaną do wtorku wieczorem. Do kiedy masz wynajęty samochód?

- Aż do naszego wyjazdu w środę.

Zjechali z szosy w wąską drogę i po chwili zatrzymali się na brukowanym podjeździe wiekowo wyglądającej gospody. Kelner uprzejmie zaprowadził ich do stolika w rogu i przyjął zamówienie.

- Czy możemy się przesiąść do stolika przy oknie? - spytał nagle Bruno.

Maria spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Jest taki śliczny dzień - dodał.

- Ależ oczywiście, proszę pana.

- Nie widzę stąd żadnego ślicznego dnia, tylko tył rozwalonej stodoły - powiedziała Maria, kiedy już usiedli. - Po co ten nowy stolik?

- Chciałem siedzieć plecami do sali, żeby nikt nie obserwował naszych twarzy.

- Znasz tu kogoś?

- Nie. Jechał za nami od stacji szary volkswagen. Kiedy zatrzymaliśmy się na poboczu minął nas, ale później stanął na bocznej drodze, czekał, aż przejedziemy i znów ruszył za nami. Teraz ten facet siedzi dokładnie naprzeciwko naszego poprzedniego stolika. Może umieć czytać z ust.

Zdenerwowała się.

- To ja powinnam zauważać takie rzeczy.

- Może zamienimy się rolami?

- Wcale mnie to nie śmieszy - powiedziała, a potem uśmiechnęła się na przekór sobie.

- Jakoś się nie widzę w roli nieulekłej akrobatki na latającym trapezie. Wystarczy, że stoję na balkonie pierwszego piętra lub choćby na krześle, a już kręci mi się w głowie. Naprawdę. Widzisz, co cię czeka? - uśmiech zgasł. - Bruno, to że się uśmiecham, nic nie znaczy. W głębi duszy jestem przerażona. Widzisz, co ze mną masz?

Nie odpowiedział.

- W każdym razie dziękuję, że ze mnie nie drwisz. Dlaczego ktoś za nami jechał, Bruno? Kto może wiedzieć, że tu jesteśmy? I kogo śledzą, ciebie, czy mnie?

- Mnie.

- Skąd ta pewność?

- Czy miałas jakiś ogon?

- Nie. Posłuchałam twojej rady w kwestii bocznych lusterek. Podczas jazdy częściej patrzyłam na to, co się dzieje z tyłu niż z przodu. Stawałam dwa razy. Nikt mnie nie mijał.

- To znaczy, że chodzi o mnie. I nie masz się czym martwić. Węszę w tym robotę Harpera. To, jak sądzę, stary, wypróbowany sposób działania CIA. Nigdy, przenigdy nikomu nie ufać. Podejrzewam, że połowa agentów wywiadu i kontrwywiadu spędza większość czasu na śledzeniu drugiej połowy. Skąd Harper może wiedzieć, że nie zamierzam nawrócić się na stare obywatelstwo i przejść na stronę dawnych towarzyszy? Trudno go winić. Nasz dobry doktor znalazł się w bardzo trudnej sytuacji. Sto do jednego, że gość za nami to ten, kogo Harper określa mianem swojego człowieka w Krau. Zrób coś dla mnie - kiedy wrócisz do pociągu cyrkowego, idź do Harpera i zapytaj go wprost.

- Naprawdę myślisz, że to dobry pomysł? - zapytała z powątpiewaniem.

- Naprawdę.

Po lunchu pojechali z powrotem na stację w Kolszukach, z szarym volkswagenem trzymającym się ich wiernie, choć w pewnej odległości. Bruno zatrzymał samochód przed głównym wejściem.

- Zobaczymy się dziś wieczorem? - spytał.

- O tak, chętnie. - Zawahała się. - Ale czy to bezpieczne?

- Oczywiście. Dwieście metrów na południe od gospody "Pod rogiem myśliwskim" znajdziesz kawiarnię z neonem w kształcie krzyża lotaryńskiego. Bóg wie czemu. Będę tam czekał. O dziewiątej. - Objął ją ramieniem. - Nie bądź taka smutna, Mario.

- Nie jestem smutna.

- Nie chcesz przyjść?

- Ależ tak, tak, chcę. Najchętniej spędzałabym z tobą każdą wolną minutę.

- Doktor Harper nie byłby tym zachwycony.

- Chyba nie. - Ujęła jego twarz w dłonie i zajrzała mu głęboko w oczy. - Ale czy pomyślałaś, że chwila obecna może być wszystkim, co nam będzie dane? - zadrżała. - Niemal czuję, jak ktoś zaciska mi rękę na gardle.

- W dzisiejszych czasach trudno się spodziewać dobrych manier. Powiedz mu, żeby się odczepił.

Nie patrząc na niego ani nie mówiąc już ani słowa, zapaliła silnik i ruszyła przed siebie; obserwował ją dopóki nie zniknęła mu z oczu. Bruno leżał na łóżku w pokoju

hotelowym, kiedy zadzwonił telefon. Recepcjonista upewnił się, czy to pan Neuhaus, a gdy Bruno potwierdził, połączył rozmowę. Dzwoniła Maria.

- Tania - powiedział. - Jaka miła niespodzianka.

Po chwili ciszy, w której Maria najwyraźniej przystosowywała się do swojego nowego imienia, usłyszał:

- Miałeś rację. Nasz przyjaciel bierze na siebie odpowiedzialność za to, co stało się podczas lunchu.

- Jon Neuhaus ma zawsze rację. Do zobaczenia w umówionym czasie.

O szóstej wieczorem było już zupełnie ciemno. Temperatura spadła sporo poniżej zera, wiał lekki wiatr, kłęby wolno sunących chmur zasłaniały od czasu do czasu księżyc w trzeciej kwadrze. Niebo jarzyło się mroźnym migotaniem gwiazd. W ciężarówce stojącej pod zajazdem dla kierowców, pięć kilometrów na południe od miasta, siedziało parę osób. Z niskiego, parterowego budynku dobiegało jaskrawe światło i muzyka z szafy grającej; knajpa miała wielu stałych klientów, przyjeżdżających i wyjeżdżających w dość regularnych odstępach czasu. Jeden z nich, kierowca w średnim wieku, okutany w liczne warstwy ubrań, właśnie wyszedł i wspiał się do swojego pojazdu, dużego meblowozu, z parą drzwi na zawiasach z tyłu i poręczami do przywiązywania mebli wewnątrz. Nie było ścianki działowej między kabiną a pudłem samochodu, które zaczynało się zaraz za fotelem. Kierowca przekreślił kluczyk w stacyjce i potężny diesel z warkotem obudził się do życia, ale zanim mężczyzna zdążył dotknąć hamulca, sprzęgła, czy biegów, spadł głową na kierownicę, tracąc przytomność. Para olbrzymich rąk wzięła go pod pachy, podniosła z siedzenia niczym kukielkę i ułożyła na podłodze samochodu. Manueto zalepił plastrem usta nieszczęsnego kierowcy i zajął się opaską na oczy.

- Przykro mi, że musimy potraktować w ten sposób niewinnego człowieka - powiedział.

- Prawda, prawda. - Kan Dahn potrząsnął ze smutkiem głową, zaciskając ostatni węzeł na nadgarstkach ofiary. - Ale cel uświęca środki. A poza tym - dodał z nadzieją - może wcale nie jest taki niewinny.

Ron Roebuck, który przywiązywał nogi mężczyzny do jednej z dwóch poręczy, najwyraźniej nie uważał, aby zaistniała sytuacja wymagała jakiegokolwiek komentarza. Miał przy sobie lasso, sznury, gruby powróż i duży zwój nylonowej liny - najcięższy, najokazalszy i najbardziej rzucający się w oczy: był powiązany w węzły rozmieszczone, co czterdzieści pięć centymetrów.

O szóstej piętnaście Bruno w swoim wyszukanym stroju, który prywatnie uważał za kostium Pierrota, i we wspaniałych sztucznych szynszylach opuścił hotel. Szedł spokojnym, miarowym krokiem człowieka, któremu się nigdzie nie spieszy - w rzeczywistości nie chciał narażać na wstrząsy piorunianu rtęci w sześciu ładunkach wybuchowych wiszących mu u pasa. Puszyste nylonowe futro doskonale je maskowało. Jak przystało na człowieka, który ma dużo czasu, szedł wybierając drogę na chybił trafił, co mogło w innych warunkach wyglądać na przebiegłe kluczenie. Zatrzymywał się, co chwilę przed wystawami, oglądając wyłożone towary i nie pomijał nawet bocznych okien sklepowych przy wejściu. W końcu skrzył wolno za róg, przyspieszył kroku i dał nura w cień bramy.

Mężczyzna w ciemnym płaszczu deszczowym wyłonił się zza tego samego rogu, zawahał się, pobiegł naprzód, minął ukrytego w niszy Bruna i padł na kolana, na chwilę zamroczony ciosem, który Bruno krawędzią prawej dłoni wymierzył mu poniżej ucha. Bruno podniósł go jedną ręką, drugą sprawnie przeszukując kieszenie, z których wyłowił pistolet z krótką lufą. Rozległ się szcęk odbezpieczanego zamka.

- Ruszaj - powiedział Bruno.

Porwany wóz meblowy stał mniej więcej w połowie ulicy Południowej, przylegającej

do Łubianu, jako ostatni z pięciu zaparkowanych samochodów ciężarowych. Bruno zobaczył go od razu, kiedy zatrzymał się na rogu Główniej, w serdecznym uścisku ze swoim niedawnym cieniem. Uznał, że będzie rozsądniej się zatrzymać, ponieważ z przeciwnej strony ulicy zbliżał się strażnik z automatem przewieszonym przez ramię. Sądząc po wyglądzie, broń była ostatnią rzeczą, jaka zaprzętała jego myśli. Podobnie jak wartownicy widziani poprzedniej nocy nie szedł zwawym żołnierskim krokiem, ale włókł się powoli, zatopiony w swoich troskach.

Bruno wbił pistolet głębiej w bok towarzysza, tuż nad kością biodrową.

- Tylko piśnij, a już po tobie.

Więźniowi ten pomysł najwyraźniej nie przypadł do gustu. Strach w połączeniu z zimnem nadał mu wyraz człowieka skostniałego z mrozu. Kiedy tylko strażnik skrzyknął za róg na ulicę Główną - a nie sprawiał wrażenia osoby, która oglądałaby się podejrzliwie przez ramię - Bruno poprowadził jeńca w kierunku zaparkowanych ciężarówek: gdy się już przy nich znaleźli, byli niewidoczni z drugiej strony ulicy. Pchając go przed sobą, przemycił się ostrożnie między trzecią a czwartą ciężarówką, zerkając na prawo.

Zza południowo_wschodniego rogu pojawił się drugi strażnik i skrzyknął w ulicę Południową. Bruno cofnął się na chodnik. Nie było żadnej gwarancji, że jeniec nie zdobędzie się nagle na odwagę i nie wznieci alarmu, natomiast, będąc teraz poza zasięgiem wzroku, można było bez ryzyka ciągnąć nieprzytomnego mężczyznę do wozu. Ponowił, więc poprzedni cios, tym razem z większą siłą i ofiara osunęła się na ziemię. Strażnik, niczego nie świadomy, minął ich po drugiej stronie ulicy. Bruno zarzucił jeńca na ramię i zaniósł do tylnych drzwi meblowozu, które się otworzyły jak na zawołanie: ktoś musiał ich bacznie obserwować przez okno. Kan Dahn w ułamku sekundy wrzucił ogłuszonego szpicla do środka, a Bruno wszedł za nim.

- Czy Roebuck już pojechał? Żeby przywieźć mi z pociągu tę zabaweczkę i taśmy?

- Tak, jest już w drodze.

Kan Dahn zeskoczył na ziemię, a za nim Manuelo, który się schował za tyłem wozu. Kan Dahn położył się na środku ulicy, wyjął z kieszeni butelkę whisky, oblał sobie obficie twarz i piersi i zastygł nieruchomo z butelką zaciśniętą w garści. Twarz zasłonił ramieniem. Strażnik, który wyłonił się zza rogu, zobaczył go niemal natychmiast. Na moment stanął bez ruchu, rozejrzał się wokół, nie dojrzał nic niepokojącego i rzucił się biegiem w stronę leżącego mężczyzny. Kiedy się zbliżył, zdjął automat i zaczął podchodzić wolno i ostrożnie, z lufą wymierzoną w potężne cielsko. Przy odległości piętnastu metrów było nie do pomyślenia, żeby chybił. Przy odległości siedmiu metrów było nie do pomyślenia, żeby chybił Manuelo. Rękojeść noża trafiła strażnika prosto między oczy, a Kan Dahn z galanterią pochwycił go w ramiona, chroniąc przed upadkiem, i w ciągu pięciu sekund załadował do ciężarówki. W ciągu następnych dziesięciu sekund Manuelo odzyskał swój nóż i powrócił na dawne stanowisko, a Kan Dahn zajął przednią pozycję. Bruno pokładał taką wiarę w przyjaciół, że nawet nie tracił czasu na obserwowanie tych kłopotliwych czynności, tylko zajął się unieruchamianiem i kneblowaniem więźniów.

W ciągu sześciu minut pięciu mężczyzn było przywiązanych do poręczy wewnątrz ciężarówki, i choć trzech z nich odzyskało już przytomność, obezwładnieni i bezsilni nie byli w stanie nic zrobić w zaistniałej sytuacji. Ludzie cyrku są mistrzami w wiązaniu węzłów: ich życie często zależy od biegłości w tej sztuce. Trzej przyjaciele opuścili ciężarówkę. Kan Dahn miał w kieszeni płócienne pantofle i niósł nieduży, zgrabny łom; Bruno wziął latarkę, przerzucił przez ramię trzy związane drążki, a do kieszeni wsunął dziwną, zawiniętą w folię paczuszkę; Manuelo oprócz zestawu noży do rzucania niósł jeszcze parę groźnie wyglądających i grubo izolowanych nożyc do cięcia drutu. Amator Bruno zostawił w ciężarówce. Poszli ulicą w kierunku wschodnim.

Od czasu do czasu księżyc wyzierał spoza chmur zdradzając ich obecność każdemu,

kto by się nadarzył. Nie mieli jednak wyboru, posuwali się, więc naprzód, starając się nie rzucać w oczy, choć mało prawdopodobne, aby baczny obserwator uznał łom, nożyce do drutu i tyczki za rzeczy nierzucające się w oczy. Gady dotarli do elektrowni, oddalonej o trzysta metrów od więziennej części Łubianu, księżyc znów schował się za chmury. Nigdzie nie było widać strażników, jedyną ochronę stanowiła gruba stalowa siatka, rozpięta na trzymetrowych metalowych słupkach, z jedną szyną biegnącą na samej górze i drugą na wysokości dwóch metrów. Górna szyna była szczerze opleciona bardzo nieprzyjemnym drutem kolczastym.

Bruno wziął łom od Kana Dahna, oparł go jednym końcem mocno o ziemię, a drugi spuścił na siatkę, cofając się przezornie o dwa kroki. Nie nastąpił żaden pokaz pirotechniki, żadne oślepiające wyładowania ani iskrzenia. Siatka nie była pod napięciem, w co Bruno ani na moment nie wątpił. Tylko szalenie puściłby dwa tysiące woltów przez ogrodzenie stojące na ziemi, ale nie było gwarancji, że nie mają do czynienia z szaleńcami. Manuelo zaczął przecinać siatkę. Bruno wyjął swój czerwony długopis i ostrożnie nacisnął przycisk.

Kan Dahn spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Czy to trochę nie za późno na pisanie testamentu?

- Zabawka, którą dał mi doktor Harper. Strzela nabojami usypiającymi.

Jeden po drugim przecisnęli się przez dziurę w siatce. Zrobili zaledwie pięć kroków i przekonali się, że brak wartowników został zrekompensowany psią strażą w postaci trzech dobermanów, które wypadły na nich z ciemności. Nóż Manuela śmignął w powietrzu, wyrzucony błyskawicznym ruchem, i jeden z psów zginął w pół skoku, z ostrzem po rękojeść w szyi. Drugi, który rzucił się do gardła Kana Dahna, znalazł się w żelaznym uścisku potężnych rąk, z których jedna chwyciła go za dolną szczękę, a druga za uszami: wystarczył szybki, nieznaczny ruch i trzasnął złamany kręgosłup. Trzecie zwierzę zdołało wprowadzić zwalić z nóg Bruna, ale ten zdążył jeszcze umieścić mu stalowe żądło w piersi. Pies opadł ciężko na ziemię, przekręcił się dwukrotnie i legł nieruchomo.

Podeszli do budynku elektrowni. Żelazne drzwi były zamknięte. Bruno przyłożył do nich ucho i szybko się odsunął: nawet na zewnątrz huk turbin i generatorów na wysokich obrotach stanowił zagrożenie dla bębenków usznych. Na lewo od drzwi na wysokości trzech metrów było zakratowane okno. Bruno spojrzał na Kana Dahna, który pochylił się, chwycił go za kostki i podsadził w górę bez najmniejszego wysiłku, jak na podnośniku. W elektrowni znajdował się tylko jeden człowiek, który siedział w oszklonej dyspozytorni, mając na uszach coś, co Bruno w pierwszej chwili wziął za słuchawki, lecz w rzeczywistości były to nauszники tłumiące hałas.

Bruno powrócił na ziemię.

- Teraz drzwi, Kan Dahn. Nie, nie tutaj, z drugiej strony. Projektanci zawsze robią ten sam błąd: zawiasy nigdy nie są tak mocne jak zamki.

Kan Dahn włożył płaski koniec żelaznego pręta między drzwi a ścianę i w ciągu dziesięciu sekund zdjął je z zawiasów. Spojrzał z niesmakiem na wygięty łom, pochwycił go w obie ręce i wyprostował, jakby był z plasteliny. Dotarcie do sterowni zajęło im niecałe dwadzieścia sekund, zwłaszcza, że nie starali się ukrywać. Dyżurny inżynier, wpatrzony w rzędy wyłączników i przyrządów pomiarowych, siedział w odległości dwóch metrów, zupełnie nieświadom ich obecności. Bruno nacisnął klamkę. Te drzwi też były zamknięte. Bruno spojrzał na towarzyszy. Kiwnęli głowami. Jednym zamaszystym ruchem łomu Kan Dahn roztrzaskał szybę w drzwiach. Nawet przy zasłoniętych uszach inżynier nie mógł nie usłyszeć łomotu, bowiem Kan Dahn wykonał całą rzecz z werwą. Inżynier odwrócił się na obrotowym fotelu, lecz miał tylko ułamek sekundy na dojrzenie trzech mglistych sylwetek za drzwiami, zanim trzonek noża Manuela trafił go w czoło. Bruno sięgnął ręką przez dziurę i przekręcił klucz.

Weszli do środka i podczas gdy Kan Dahn z Manuelem wiązali nieszczęsnego

inżyniera, Bruno odczytywał metalowe tabliczki pod wyłącznikami. Wybrał jeden z nich i ściągnął dźwignię w dół o dziewięćdziesiąt stopni.

- Jesteś pewien? - spytał Kan Dahn.

- Tak. Był zaznaczony.

- A jeśli się mylisz? - To zginę porażony prądem.

Bruno usiadł w fotelu inżyniera, zdjął buty i zastąpił je parą płóciennych pantofli, których używał na linii. Buty oddał Kanowi Dahnowi, który spytał:

- Masz maskę albo kaptur?

Bruno spojrział na swój prążkowany brązowo_czerwony garnitur i musztardowe skarpetki.

- Myślisz, że jak włożę maskę, to mnie nie poznają?

- Też racja.

- To zresztą nie ma znaczenia. Po robocie nie zamierzam tu zostawać. Ważne jest, żeby nie poznali ciebie, Manuela i Roebucka.

- Przedstawienie musi trwać?

Bruno kiwnął głową i wyszedł. Ciekaw, jak długo działają strzałki usypiające, nachylił się nad leżącym dobermanem i wolno się wyprostował. Najwidoczniej doberman miał inny system nerwowy niż ludzie: pies był martwy.

Na terenie elektrowni stały trzy dwudziestoczworometrowe słupy wysokiego napięcia. Bruno podszedł do najbardziej wysuniętego na zachód i zaczął się wspinać. Kan Dahn i Manuelo wyszli przez dziurę w ogrodzeniu. Słup nie stanowił dla Bruna problemu. Choć noc była ciemna, a księżyc nadal pozostawał za chmurami, Bruno wspinał się z równą łatwością, z jaką przeciętny człowiek wchodzi po schodach w świetle dnia. Kiedy dosięgnął ostatniej poprzeczki, zdjął z ramienia związane żerdki, rozwiązał troczki, które wrzucił do kieszeni, i skręcił trzy kawałki mocno razem: miał już swoją tyczkę balansową. Nachylił się i wyciągnął rękę poza izolator, żeby dotknąć grubego, stalowego kabla, który wiodł do południowo_wschodniego rogu Łubianu. Przez chwilę się zawahał, lecz z fatalistyczną rezygnacją stwierdził, że nie ma co zwlekać: jeśli przesunął niewłaściwą dźwignię, to nawet nie zdąży sobie tego uświadomić. Wyciągnął rękę i dotknął kabla. Wyłącznik okazał się właściwy. Kabel był zimny i co ważne, nie pokryty lodem. Wiał wiatr, lecz dość lekki i zmienny. Panowało przeraźliwe zimno, ale tym się nie martwił: wiedział, że zanim przejdzie te niekończące się trzysta metrów, będzie zlany potem. Nie czekał dłużej. Balansując tyczką ruszył ostrożnie po drucie kotwicznym izolatora i stanął na kablu.

Roebuck zszedł dwa stopnie po schodach wagonu, wyciągnął szyję, rozejrzał się uważnie na wszystkie strony, nie zobaczył nikogo, zeskoczył, więc na dół i opuścił pociąg równym krokiem. Co nie znaczy, że nie mógł wychodzić z pociągu, kiedy zechciał, ani nawet, że nie powinien być widziany z dwoma brezentowymi workami spiętymi u góry i przerzuconymi przez ramię, gdyż nosił w nich zwykle swoje lassa i metalowe szpikulce, na które je zarzucał podczas występów; co mogło jednak obudzić pewne zdziwienie, to fakt, że wyszedł z pociągu cyrkowego cztery wagony dalej niż mieszkał. Wsiadł do małej, skody, którą przyjechał, skierował się w stronę Łubianu i zaparkował w odległości stu metrów. Poszedł rażno przed siebie do małej uliczki. Tu skręcił, wszedł przez furtkę w ogrodzeniu, wspiał się po drabince przeciwpożarowej na murze domu i wciągnął się na dach.

Przejście na jego drugą stronę było porównywalne do przedzierania się przez dżunglę amazońską. Jakiś ogrodnik, któremu Roebuck przy swojej zupełnej ignorancji w sprawach uprawy roślin w Europie Środkowej przypisał w myślach domieszkę krwi angielskiej, posadził w wypełnionych ziemią donicach i skrzyniach krzewy, krzaki i iglaki mające do sześciu metrów wysokości, a nawet wyhodował jakimś cudem dwa poprzeczne, starannie przystrzyżone żywopłoty i jeszcze jeden na krawędzi dachu nad ulicą Główną. Nawet w tym egalitarnym społeczeństwie istniała potrzeba prywatności. Był to w istocie ten sam ogród na

dachu, który zwrócił uwagę doktora Harpera podczas pierwszej jazdy z dworca do Pałacu Zimowego.

Roebuck, współczesny Ostatni Mohikanin, rozchylił żywopłot na krawędzi i rozejrzał się dookoła. Po drugiej stronie ulicy, jakieś cztery i pół metra nad miejscem, gdzie stał, wznosiła się wieżyczka strażnicza na południowo_zachodnim rogu Łubianu. Rozmiarem i kształtem bardzo przypominała budkę telefoniczną: u dołu miała konstrukcję metalową lub drewnianą, u góry szklaną. Siedział w niej tylko jeden strażnik, co było wyraźnie widać, gdyż w środku paliło się światło.

Nagle nieco nad szczytem wieżyczki rozbłysnął zdalnie sterowany reflektor, przesunął się wzdłuż zachodniej krawędzi dachu, po czym obniżył się, żeby nie oślepić strażnika w północno_zachodniej wieży. Promień reflektora zgasł i znów ożył, tym razem penetrując południową stronę, po czym ponownie przygasł. Strażnik wyraźnie się nie kwapił do zgaszenia światła w wieżyczce. Zapalił papierosa, potem podniósł do ust coś, co wyglądało na piersiówkę. Roebuck miał nadzieję, że tak zostanie: dopóki w budce paliło się światło, strażnik niewiele mógł dostrzec w ciemności na zewnątrz. Zagięte szpice ogrodzenia pod napięciem znajdowały się u podnóża wieżyczek. Uwzględniając różnicę poziomów było to w odległości kilkunastu metrów. Roebuck cofnął się za żywopłot, błogosławiąc osobę, którą potrzeba prywatności doprowadziła do takiego ogrodniczego kunsztu, zdjął z ramienia linę i zrobił osiem zwojów, które wziął do prawej ręki. Wolny koniec liny był już zawiązany w samozaciskającą się pętlę. Sama lina, niewiele grubsza od zwykłego sznurka, wyglądała jakby nadawała się najwyżej do wiązania paczek. W rzeczywistości była to nylonowa plecionka ze stalowym rdzeniem o wytrzymałości ponad siedemset kilo.

Roebuck znów rozsunał żywopłot i zerknął w dół. Kan Dahn i Manuelo stali na rogu ulic Głównej i Południowej pozornie pogrążeni w beztroskiej rozmowie. Ulica Główna była pusta, jeśli nie liczyć przejeżdżających samochodów, ale to nie miało znaczenia: ani jeden kierowca na tysiąc nie patrzy w nocy w górę. Roebuck stanął na krawędzi, zakreślił liną nad głową i przy drugim obrocie puścił ją w powietrze. Z dziecinną, zdałoby się, łatwością, lina popłynęła w górę i pętla opadła dokładnie na te dwa szpice, na które miała opaść. Roebuck nie próbował jej zaciskać: mógłby ściągnąć linę przez zakrecone na zewnątrz pręty. Zgarnął resztę lassa i rzucił na ziemię dokładnie pod nogi Kana Dahna i Manuela, którzy podnieśli koniec sznura i zniknęli w ulicy Południowej, a pętla sama zacisnęła się mocno u nasady szpiców.

Pierwszą połowę drogi po kablu wysokiego napięcia w kierunku Łubianu Bruno przebył bez większych trudności. W drugiej musiał przywołać na pomoc wszystkie swoje umiejętności, wrodzoną sprawność, refleks i nadzwyczajne poczucie równowagi. Nie spodziewał się, że kabel będzie zwisał tak nisko i że będzie miał po nim tak strome podejście do pokonania; nie przewidział też coraz częstszych podmuchów wiatru. Były wprawdzie niezbyt silne, ale dla człowieka w jego położeniu nagły wzrost szybkości wiatru choćby o kilka kilometrów na godzinę mógł okazać się zgubny już teraz kabel kołysał się nader niepokojąco. Gdyby pokrywała go nawet najcieńsza warstwa lodu, Bruno nigdy nie zdołałby pokonać reszty drogi. Ale ją pokonał.

Kabel był przytwierdzony do wielkiego izolatora podtrzymywanego przez dwa druty kotwiczne przymocowane do muru. Potem szedł w górę przez drugi izolator w podstawie dużego wyłącznika w obudowie z plastiku. Wyłączenie go eliminowałoby groźbę, że ktoś odkryje włamanie do elektrowni i ponownie włączy prąd, ale dwubiegunowy wyłącznik, mimo że najpewniej zanurzony w oleju, mógł narobić tyle hałasu, że zaalarmowałoby to strażnika w południowo_wschodniej wieżyczce, odległej zaledwie o trzy metry. Bruno postanowił, więc na razie go nie ruszać. Rozkręcił tyczkę, związał razem poszczególne części i powiesił na drucie kotwicznym izolatora, choć było mało prawdopodobne, aby miał jej jeszcze użyć. Samo sforsowanie ogrodzenia z wygiętych na zewnątrz prętów nie stanowiło

problemu: sterczały niecały metr nad jego głową i wystarczyło podciągnąć się na pokrywę wyłącznika, by po prostu przejść przez nie na drugą stronę. Był to jednak także moment największego niebezpieczeństwa: po raz pierwszy miał się znaleźć w pełni w polu obserwacji. Zarzucił pętlę sznura na jeden ze szpiców, podciągnął się i stanął na wierzchu wyłącznika, z głową półtora metra ponad prętami ogrodzenia. Masywny, płasko zwieńczony mur miał przynajmniej siedemdziesiąt centymetrów grubości. Pięcioletni berbec, niecierpiący na zawroty głowy, mógł wybrać się tu na przechadzkę, ale byłby jednocześnie niebezpiecznie wystawiony na częste i nieregularne światła szperaczy penetrujących koronę muru.

Właśnie w momencie, kiedy Bruno miał przekroczyć stalowe pręty, rozbłysł jeden z reflektorów. Świecił od strony północno_wschodniej wieży i jego promień wędrował wzdłuż wschodniej ściany muru, tej, przez którą miał przejść. Bruno zareagował błyskawicznie. Przycupnął poniżej krawędzi muru, trzymając się pętli liny, żeby nie spaść. Było rzeczą mało prawdopodobną, aby strażnik dojrzał coś tak nieznacznego, jak skręt sznura wokół pręta, i rzeczywiście. Światło reflektora zatoczyło łuk, krótko omiotło ścianę północną i zgasło. Pięć sekund później Bruno stał na murze. Półtora metra niżej ciągnął się dach więzienia. Stamtąd musiało być wejście do budki strażniczej. Bruno opuścił się na dół i skradającym się krokiem podszedł do podnóża wieżyczki. Wiodło do niej osiem stromych drewnianych stopni. Kiedy spojrział w górę, we wnętrzu błysnęła zapalka i dostrzegł mężczyznę w futrzanej czapie, z postawionym kołnierzem kozucha, zapalającego papierosa.

Zdjął nasadkę długopisu gazowego i bezszelestnie wszedł po schodach, kładąc lewą rękę na klamce. Odczekał, aż strażnik głęboko się zaciągnie, otworzył drzwi bez zbytniego pośpiechu, wycelował koniec długopisu w czerwony ogień i nacisnął skuwkę. W chwilę później przybył przez dach do wieżyczki północno_wschodniej. Nie zabawił tam dłużej niż przy pierwszej. Zostawiwszy drugiego strażnika unieszkodliwionego równie skutecznie, wrócił wzdłuż ściany wschodniej, opuścił się na wierzch wyłącznika i delikatnie przełożył dźwignię. Stłumiony dźwięk mógł być słyszany najwyżej na odległość paru metrów, gdyż - jak przypuszczał, wyłącznik był zanurzony w oleju. Wrócił do południowo_wschodniej wieży, wyjrzał przez mur po południowej stronie i trzy razy szybko zamigał latarką, po czym skierował ją w dół. Z dołu dobiegł rozpoznawczy błysk. Bruno zgasił latarkę, wyjął z przepastnej kieszeni długi, obciążony sznurek i spuścił go. Gdy tylko poczuł, że sznurek się naprężył i nastąpiło lekkie szarpnięcie, natychmiast zaczął go wciągać. Już po chwili miał w ręku drugi koniec liny, którą Roebuckowi udało się zarzucić na kolce ogrodzenia przy południowo_zachodnim rogu Łubianu. Naciągnął ją, ale niezbyt mocno - stalowy rdzeń w nylonowej żyłce gwarantował, że nie będzie zwisać - i starannie przywiązał. Miał teraz linę, która biegła przez całą długość ściany południowej, ponad metr poniżej kolców ogrodzenia. Dla akrobaty i linskoczek było to niczym spacer po chodniku.

Odległość do południowo_zachodniej wieży wynosiła pięćdziesiąt metrów i pokonał ją w niecałe trzy minuty. Z liną pod stopami i prętami ogrodzenia do podtrzymania się to przejście było dla Bruna śmiesznie łatwe. Raz, na krótką chwilę, musiał przykucnąć, kiedy reflektor z wieżyczki, do której się zbliżał, omiatał południową ścianę, ale ani przez moment nie zaistniało niebezpieczeństwo wpadki. W minutę po osiągnięciu przez niego celu trzeci strażnik stracił zainteresowanie najbliższą przyszłością. Bruno skierował latarkę w dół do przyjaciół i zasygnalizował cztery razy, że dotarł na miejsce, ale muszą jeszcze poczekać. Należało się pozbyć ostatniego strażnika, tego z wieży północno_zachodniej. Mogło być tak, że strażnicy puszczały reflektory, kiedy i jak im się podobało, a mógł też istnieć umówiony system, niełatwy do rozszyfrowania. W każdym razie Bruno nie zamierzał pozwalać sobie na najmniejszy element ryzyka. Przeczekał, aż ostatni strażnik zrobi kilka niedbałych zygzaków swoim szperaczem, zeskoczył na dach ośrodka badań - który jak jego odpowiednik od strony wschodniej leżał półtora metra poniżej krawędzi muru - i cicho jak kot przekradł się do wieży. Strażnik najwyraźniej nie miał żadnych podejrzeń. Bruno wrócił na poprzedni róg,

dwukrotnie błysnął latarką i ponownie spuściła obciążony sznurek. W minutę później mocował powiazaną w węzły linę do kołców ogrodzenia. Mignął raz jeszcze i po paru sekundach dotknął liny. Była naprężona jak struna. Pierwszy z jego towarzyszy już się wspinał. Bruno zerknął w dół, chcąc zobaczyć, który, ale ciemność nie dawała jednoznacznej odpowiedzi: sądząc po zarysach potężnej sylwetki musiał to być Kan Dahn.

Bruno zajął się teraz dokładniejszymi oględzinami dachu. Musiał tu gdzieś być wlot wjazdu dla strażników, gdyż ani w samych wieżyczkach, ani obok nie było żadnego innego wejścia z dołu. Dostrzegł go niemal natychmiast dzięki odbłaskowi światła z częściowo obudowanego luku blisko wewnętrznej krawędzi dachu w połowie drogi między południową a północną ścianą. Pokrywa była osadzona skośnie, czy to dla przyciemnienia światła płynącego z góry, czy dla zabezpieczenia przed kaprysami pogody, co było bardziej prawdopodobne. Bruno zakradł się ostrożnie, zaglądając do środka. Światło dochodziło zza gęsto zbrojonego szkła lufcika osadzonego na zawiasach. Zobaczył tylko fragment pokoju pod spodem, ale to mu wystarczyło. Znajdowało się tam czterech strażników w pełnym umundurowaniu, trzech z nich leżało, najwyraźniej śpiąc, na brezentowych składanych łóżkach, czwarty siedział tyłem do Bruna, naprzeciwko otwartych drzwi, układając pasjansa. Z podłogi do kłapy biegła pionowa stalowa drabina. Bruno spróbował delikatnie podważyć klapę, ale była zamknięta, zapewne zablokowana od środka. To miejsce może i nie było strzeżone niczym Fort Knox - jak twierdził doktor Harper - ale z pewnością przedsięwzięto wszelkie środki ostrożności przeciw najbardziej niespodziewanym zdarzeniom. Bruno odsunął się i spojrzał przez krawędź dachu w dół, na dziedziniec. Nie dojrzał tam śladu pilnujących psów, o których wspominał Harper; mogły czaić się w którymś z podcieni, ale to niezbyt prawdopodobne: dobermany zwykle niestrudzenie krążą w koło. Nie było też żadnego ruchu ani znaku życia w przeszklonym przejściu łączącym oba budynki na wysokości czwartego piętra.

Kiedy Bruno wrócił do południowo_zachodniej wieżyczki, Kan Dahn już tam był. Po wspinaczce na wysokość blisko trzydziestu metrów nawet nie miał zadyszki.

- Jak ci się szło po kablu? - zapytał.

- Dobry artysta odchodzi u szczytu swoich dokonań. Tego dokonania już nie przebiję, więc postanowiłem odejść.

- I pomyśleć, że żywa dusza cię nie widziała. To dopiero ironia losu. Gdybyś miał dziś publiczność, moglibyśmy zgarnąć ze dwadzieścia kawałków. - Decyzja Bruna zdawała się wcale go nie dziwić. - Co ze strażnikami z wież obserwacyjnych?

- Uśpieni.

- Wszyscy?

Bruno przytaknął.

- Więc nie ma pośpiechu?

- Nie ma też czasu do stracenia. Nie wiem, kiedy następuje zmiana warty.

- Siódma wieczorem to dość nietypowa pora.

- Tak. Ale nie po to robiliśmy to wszystko, żeby teraz narażać się na najmniejsze choćby ryzyko.

Odwrócił się na widok Roebucka a zaraz po nim Manuela przechodzących przez mur. W przeciwieństwie do Kana Dahna mieli kłopoty ze złapaniem oddechu. Roebuck, wciąż z podwójną brezentową torbą na ramieniu, powiedział:

- Dzięki Bogu, że drogę powrotną będziemy odbywać w dół, a nie w górę. - Nie tędy będziemy schodzić. - Nie tędy? - Roebuck zbladł pod opalenizną. - Czy masz na myśli jakąś inną drogę? Nie jestem pewien, czy mnie to zachwyca. - Zwykły niedzielny spacer, nic więcej - powiedział Bruno uspokajająco. - A teraz, do dzieła. Istnieje stąd tylko jedno zejście, a to jest zamknięte. - Drzwi? - zapytał Kan Dahn. - Kłapa w dachu. Kan Dahn potrząsnął łomem. - Raz, dwa i po krzyku. - W pokoju na dole są strażnicy. I przynajmniej jeden z nich

nie śpi. Poprowadził ich do krawędzi muru po stronie zachodniej, przyklęknął, uchwycił się zakrzywionego pręta i wychylił nad ulicą Główną. Inni poszli jego śladem. - Znam rozkład tego budynku. Chcę wejść do środka oknem, które jest pod nami.

- To okno - powiedział Roebuck - ma potężne, grube kraty.

- Za chwilę nie będzie miało. - Bruno wyprostował się i wyjął z kieszeni foliową torebkę. Rozwinął ją, pokazując im dwa małe polietylenowe pojemniki. - Najlepszy środek perswazji dla żelaznych okratowań. Pod jego wpływem stają się miękkie jak plastelina.

- Co to za hokus_pokus? - zapytał Roebuck.

- Żaden hokus ani pokus. Nie obrażaj mnie. Zna to każdy szanujący się magik. Można zmiękczyć i wygiąć praktycznie każdy metal smarując go tym materiałem, a co dziwniejsze, przy pewnej ostrożności nie uszkadza ludzkiej skóry. Masa plastyczna w tych pojemnikach zawiera kwas, który wżera się między cząstki metalu i rozmiękcza je. Pewien izraelski magik twierdzi, że przy dostatecznej ilości czasu i tej pasty może zmiękczyć czołg. A tu mamy tylko dwa żelazne pręty.

- Jak szybko to działa?

- Pięć minut powinno wystarczyć, ale nie jestem pewien.

- A jeśli mają alarm? - zapytał Manuelo.

- Poradzę sobie z tym.

Bruno zrobił podwójną pętlę, założył ją sobie wysoko na uda, przewiązał się liną w pasie i przerzucił przez mur. Wyciągnął się na całą długość rąk trzymając się prętów, dopóki Kan Dahn nie przejął pieczy nad liną i nie zaczął go spuszczać. Obwiązany wokół pośladków i talii, z nogami na parapecie okna i jedną ręką na kracie, Bruno czuł się bezpiecznie jak dziecko w kołysce. W oknie były cztery pręty rozstawione, co dwadzieścia centymetrów. Wyjął z kieszeni dwie tuby masy plastycznej, odwinął je do połowy, i uważając, aby nie zgubić polietylenowej osłonki, obłożył masą dwa środkowe pręty, wygładzając ją i owijając z powrotem polietylenem, aby odciąć dopływ powietrza. Potem wspiął się po linie do metalowego ogrodzenia;

Kan Dahn wychylił się, chwycił go pod pachy i bez wysiłku przeniósł nad groźnie wygiętymi kolcami.

- Za pięć minut, Manuelo, zejdziesz tam ze mną i z Kanem Dahnem - powiedział Bruno. - Roebuck zostanie tutaj. I pilnuj swojej torby: nie możemy sobie pozwolić na jej stratę. Czy mogę prosić o nożyce do drutu, Manuelo?

Teraz Kan Dahn wślizgnął się w podwójną pętlę i obwiązał w pasie liną, którą zaasekurował wokół trzech prętów - zrozumiała przezorność zważywszy masę jego ciała - po czym spuścił się do okna. Zacisnął potężne pięści wokół dwóch środkowych krat i zaczął je rozsuwać. Zapasy były krótkie i nierówne. Kraty wygięły się, jakby były z lichej plasteliny, ale Kan Dahn nie zadowolili się zrobieniem otworu: natarł raz jeszcze i wyrwał kraty z muru. Podał je na dach. Bruno zjechał do niego po drugiej linie. Gdy znalazł się przy oknie, zapalił latarkę i zajrzał przez szybę.

Ukazał mu się całkiem niewinnie wyglądający pokój, ponuro umeblowany metalowymi szafkami, metalowymi stołami, wyściełanymi metalowymi krzesłami. Nie było widać śladu niebezpieczeństwa. Kan Dahn wziął od niego latarkę, a Bruno wyjął zwitek brązowego papieru, rozwinął go i przycisnął jedną stroną do szyby okiennej. Papier był samoprzylepny. Odczekał kilka sekund i mocno uderzył w środek okna pięścią. Szyba wypadła na środek pokoju, nie czyniąc właściwie żadnego hałasu. Bruno wziął latarkę od Kana Dahna i trzymając w tej samej ręce nożyce do drutu przełożył głowę i jedno ramię przez powstały otwór. Natychmiast zlokalizował biegnące na widoku przewody instalacji alarmowej, przeciął je, sięgnął do klamki i otworzył okno.

Po dziesięciu sekundach obaj z Kanem Dahnem byli w środku, po drugich dziesięciu

przyłączył się do nich Manuelo. Miał ze sobą łom Kana Dahna. Drzwi pokoju były otwarte, korytarz pusty. Trzej mężczyźni ruszyli nim do otwartych drzwi na lewo. Bruno dał znak Manuelowi, który stanął z przodu i trzymając nóż za ostrze, ostrożnie wysunął koniuszek trzonka zza futryny. Prawie natychmiast rozległo się dyskretne pukanie w szybę kłapy na górze, akurat na tyle głośne, aby zwrócić uwagę strażnika z kartami, lecz nie obudzić pozostałych trzech. Mężczyzna przy stole podniósł pytająco głowę i już było po wszystkim. Trzonek noża Manuela trafił go nad uchem, a Kan Dahn podtrzymał upadające ciało, zanim dotknęło podłogi. Bruno zdjął ze stojaka jeden z automatów i wziął na muszkę pozostałych trzech mężczyzn. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył, było użycie broni, ale oni nie musieli o tym wiedzieć, a poza tym człowiek rozbudzony ze snu nie będzie się kwapił do dyskusji ze schmeisserem. Lecz oni nadal spali kamiennym snem, nawet, kiedy Kan Dahn otworzył kłapę i Roebuck ze swoją torbą zszedł po drabinie. Bruno wyjął długopis gazowy i podszedł do prycz, a wraz z nim Roebuck uzbrojony w stosowną ilość sznura. Zostawili wszystkich czterech strażników bezpiecznie związanych i zakneblowanych, trzech z nich pogrążonych w jeszcze głębszym śnie niż poprzednio.

Zablokowali kłapę, co było zapewne nadmierną ostrożnością, zamknęli za sobą drzwi i zabrali klucz.

- Na razie idzie jak po maśle - powiedział Bruno.

Podniósł w górę schmeissera, którego pożyczył z pokoju strażników.

- A teraz chodźmy do Van Diemena.

Kan Dahn przystanął w pół kroku ze zdumioną miną.

- Do Van Diemena? Po co mielibyśmy do niego iść, teraz czy później? Wiesz, gdzie jest jego gabinet i laboratorium. Powinniśmy pójść prosto tam, wziąć te dokumenty, na których ci zależy... jesteś całkiem pewien, że je rozpoznasz?

- Jestem pewien.

- A potem zwinąć manatki i zniknąć w cieniu nocy. Fachowa robota, czysta, szybka i cicha. Oto, co lubię.

Bruno przyjął tę deklarację z powątpiewaniem.

- Najchętniej roztrzaskałbyś tu w Łubianie czaszkę każdemu, kogo spotkasz. Dam ci cztery powody, dla których nie możemy zrobić tego na twój sposób, a potem już bez dyskusji, w każdej chwili może nastąpić zmiana warty. Czas działa na naszą niekorzyść.

- Zmiana warty słodko śpi w swoim pokoju.

- To niekoniecznie musi być nowa warta. Strażnicy mogą meldować się po zejściu z posterunku gdzieś w dowództwie. Może zjawić się ktoś z rutynową inspekcją. Nie wiem. A teraz, powód pierwszy: te papiery mogą być w prywatnym mieszkaniu Van Diemena. Powód drugi: należy go wtedy przekonać, żeby powiedział, gdzie są. Powód trzeci; jeśli jego segregatory z dokumentacją są zamknięte, a byłoby dziwne, gdyby było inaczej, to włamując się do nich narobimy sporo hałasu w pomieszczeniach, które są tuż obok. Ale czwarty powód jest najważniejszy. Powinniście się domyślić.

Po ich minach widać było, że się nie domyślają.

- Zabieram go ze sobą do Stanów.

- Zabierasz go... - Roebuck spojrzał na niego z niedowierzaniem. - Mąci ci się w głowie. Zbyt wiele przeszedłeś.

- Czyżby? Po jakie licho mamy zabierać dokumentację, zostawiając go tutaj? To jedyny człowiek, który zna te przeklęte wzory, czy cokolwiek to jest i wystarczy, że usiądzie i napisze je z powrotem.

- Wiesz, to mi nie przyszło do głowy - powiedział Roebuck, zaczynając z wolna rozumieć.

- Zdaje się, że nie tylko tobie. Dzwonne, prawda? W każdym razie jestem pewien, że Wuj Sam znajdzie dla niego jakieś niezgorsze, stosowne zajęcie.

- Takie jak dalsze prace nad tą cholerną antymateria? - Z tego co o nim wiem, Van Diemen wybrałby raczej śmierć. Jest renegatem, jak wiadomo. Musiały zaistnieć jakieś bardzo żywotne polityczne i ideologiczne powody, dla których nawiał tu z Niemiec. Nigdy nie będzie z nami współpracował.

- Ale to jest karalne - powiedział Kan Dahn. - Porwanie jest przestępstwem w każdym kraju na świecie.

- To prawda. Jednak to lepsze niż śmierć. Co mam zrobić? Kazać mu przysięgać na Biblię, czy jakieś stosowne dzieło marksistowskie, które wpadnie nam w ręce, że nigdy nie odtworzy żadnego z tych wzorów? Przecież wiecie, że się nie zgodzi. A może zostawić go w spokoju, żeby mógł bez przeszkód pisać pamiętniki... o tym jak wyprodukować tę straszliwą broń?

Zapadła wymowna cisza.

- Sami widzicie, że nie mam dużego wyboru. Więc co powinienem zrobić? Zastrzelić go w imię prawdziwego patriotyzmu?

Przez chwilę nie padła żadna odpowiedź, bo też nie było na to odpowiedzi.

W końcu Kan Dahn rzekł:

- Musisz wziąć go do Stanów.

Rozdział dziesiąty

Drzwi Van Diemena były zamknięte. Kan Dahn napał na nie i stanęły otworem. Zostały wyłamane przy zawiasach i Bruno pierwszy wskoczył do środka ze schmeisserem w rękach; uprzytomnił sobie, na szczęście w samą porę, że bez broni palnej na widoku są od razu na straconej pozycji - każdy napotkany strażnik widząc ich nieuzbrojonych będzie miał nieodpartą chęć użycia własnego automatu.

Przestraszony starzec, wsparty jednym łokciem na łóżku, drugą ręką przecierający oczy ze snu, miał szczupłą, arystokratyczną twarz, siwe włosy, siwe wąsy i brodę: wyglądał na zupełne przeciwieństwo popularnego wizerunku szalonego naukowca. Nie wierząc własnym oczom przenosił wzrok z intruzów na przycisk na stoliku nocnym.

- Jeśli go pan dotknie, to koniec z panem.

Słowa Bruna brzmiały całkiem przekonująco i Van Diemen został przekonany. Roebuck podszedł do przycisku i przeciął kabel.

- Kim jesteście? Czego chcecie? - głos Van Diemena był spokojny, bez nuty strachu.

Starzec sprawiał wrażenie człowieka, który zbyt dużo wycierpiał, żeby się jeszcze czegokolwiek bać.

- Chcemy pana. Chcemy plany pańskiego wynalazku do produkcji antimaterii.

- Rozumiem. Mnie możecie zabrać w każdej chwili. Żywego lub martwego. Żeby dostać plany, musicie mnie najpierw zabić. I tak ich tu nie ma.

- Nieprawda. - Zakneblujcie go i zwiążcie mu ręce na plecach. Potem się rozejrzemy. Poszukamy kluczy i dokumentów, a może tylko jednego klucza? Przeszukanie, które trwało około dziesięciu minut i zostawiło po sobie nieopisany bałagan, nie dało rezultatów.

Bruno stał, nie wiedząc, co robić. Czas coraz szybciej im uciekał.

- Przetrząśnijcie jego ubranie.

Przeszukali ubranie i dalej nic nie znaleźli. Bruno podszedł do związanego i zakneblowanego starca na łóżku, przyjrzał mu się z namysłem, wyciągnął rękę i delikatnie ujął złoty łańcuszek, który profesor miał na szyi. Nie wisiał na nim krzyżyk ani Gwiazda Dawida, ale coś, co było dla Van Diemena jeszcze cenniejsze niż te symbole dla katolika czy Żyda: błyszczący, starannie wyczyszczony klucz z brązu. Całe dwie ściany gabinetu Van Diemena były obstawione metalowymi kartotekami. Razem było ich czternaście, a każda miała cztery wysuwane szuflady. Pięćdziesiąt sześć dziurek od klucza. Roebuck bez powodzenia próbował trzydziestą. Wszyscy w pokoju patrzyli na niego z napięciem. Wszyscy, oprócz Bruna. Ten nie spuszczał oczu z twarzy Van Diemena, która przez cały czas pozostawała bez wyrazu. Nagle drgnął mu kącik ust.

- Ta szuflada - powiedział Bruno.

I tak było. Klucz przekręcił się z łatwością i Roebuck wyciągnął szufladę. Van Diemen chciał rzucić się naprzód, co, aczkolwiek zrozumiałe, było zupełnie niemożliwe, gdyż Kan Dahn obejmował go swoim potężnym ramieniem. Bruno podszedł do szuflady i zaczął szybko przeglądać dokumenty. Wyjął plik papierów, sprawdził pozostałe, potem sprawdził je ponownie i zamknął szufladę.

- To te? - spytał Roebuck.

- Tak. - Bruno włożył papiery głęboko do wewnętrznej kieszeni swojego szykownego garnituru.

- Cóż, to jakby już po wszystkim - powiedział z pewnym żalem Roebuck.

- Nie martwiłbym się na zapas - pocieszył go Bruno. - Jeszcze wiele może się zdarzyć.

Zeszli na siódme piętro. Van Diemen szedł zakneblowany z rękami związanymi z tyłu, gdyż w budynku mieszkał personel więzienia i było więcej niż prawdopodobne, że profesor zechce dać znać o zaistniałej sytuacji. Na tym piętrze nie było straży i nie bez powodu: personel więzienny zawsze można zastąpić innym, wyników badań Van Diemena nie. Bruno skierował się prosto do drzwi u podnóża schodów. Nie były zamknięte. Podobnie jak kartoteki wewnątrz, bo tu też nie było powodu ich zamykać. Bruno zaczął otwierać szufladki jedną po drugiej, wyjmował akta, szybko je przeglądał, po czym rzucał po prostu na podłogę. Roebuck patrzył na niego z niejakim zdumieniem.

- Jeszcze przed chwilą paliłeś się do wyjścia. Co to w ogóle za pomieszczenie?

Bruno spojrzał na niego przelotnie.

- Nie pamiętasz wiadomości, jaką mi przekazałeś?

- Ach, to!

- Właśnie, ach, to! "4.30. Zachodnie wejście. Żadnych problemów. Ręczę głową." Trzymają tu akta więzienne.

Nic więcej Bruno nikomu nie wyjaśniał. Nagle znalazł to, czego chciał, dokładny wykres z rzędami nazwisk z boku. Przestudiował go szybko, kiwnął głową z widoczną satysfakcją, rzucił papier na podłogę i odwrócił się ku drzwiom.

- Zapisaleś już sobie wszystko w głowie? - spytał Roebuck.

- Mniej więcej.

Ominęli windę, zeszli schodami na czwarte piętro i przeszli oszklonym korytarzem do bloku więziennego. Był w tym pewien element ryzyka, ale niewielki: jedyni ludzie, którzy mogli obserwować to szczególne akwarium, to strażnicy z wieżyczek, a oni akurat nie byli się w stanie w tej chwili z tego wywiązać. Bruno zatrzymał ich przy zamkniętych drzwiach na końcu korytarza.

- Poczekajcie. Wiem, gdzie jest wartownia: za rogiem na lewo. Ale nie wiem, czy są tu jacyś strażnicy.

- No więc? - zapytał Roebuck.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

- Idę z tobą.

- Nie. Nikt cię jeszcze nie widział i chcę, żeby tak zostało. Nie zapominaj, że artysta cyrkowy Roebuck ma dziś wieczorem występ. Podobnie jak Manuelo i Kan Dahn. No i oczywiście Vladimir i Yoffe.

Manuelo spojrzał na niego z osłupieniem.

- Twoi bracia?

- Naturalnie. Są tutaj. Jak myślisz, gdzie mieliby ich zamknąć?

- Ale... ale te żądania okupu?

- Swoisty sposób bycia tutejszej służby bezpieczeństwa. Moi bracia mogą wziąć udział w przedstawieniu zupełnie bezkarnie, nikt im nic nie zarzucał. Zresztą, cóż można im

zarzucić? Byli tylko zakładnikami, gwarantami mojego dobrego sprawowania. Nie sądzicie chyba, że milicja przyzna się do ich uprowadzenia i żądania okupu? To by wywołało międzynarodowy skandal.

- Trzeba przyznać, że jesteś dość skryty - zrobił mu wymówkę Manuelo.

- To najlepszy sposób, żeby ujść z życiem.

- A jak masz zamiar teraz tego dokonać?

- Wydostając się stąd.

- Jasne. Żaden problem. Po prostu rozwiniesz skrzydła i odlecieś.

- Mniej więcej. Roebuck ma w swojej torbie takie małe urządzenie. Włączę je i po dwudziestu minutach przyleci wielka ważka.

- Ważka? Helikopter? Skąd, na miłość boską?

- Z zakotwiczonego w pobliżu amerykańskiego okrętu marynarki wojennej.

Nie wiedzieli, co na to odpowiedzieć.

- Bardzo skryty - powiedział wreszcie Roebuck. - To znaczy, że tylko ty jeden wyjeżdżasz?

- Zabieram Marię. Tutejsza milicja ma nagrane rozmowy świadczące, że tkwiła w tym po uszy. Patrzyli na niego nic nie rozumiejąc. - Zapomniałem wam powiedzieć. Maria jest agentką CIA.

- Cholernie skryty - mruknął ponuro Roebuck. - A jak masz zamiar się z nią spotkać?

- Pojadę po nią do cyrku.

Kan Dahn potrząsnął ze smutkiem głową.

- Jesteś kompletnie, kompletnie szalony.

- Czy inaczej byłbym tutaj? - Bruno pstryknął czarnym długopisem, odbezpieczył pistolet maszynowy i ostrożnie otworzył drzwi.

Było to więzienie jak każde inne, z rzędami cel wzdłuż czterech ścian wychodzącymi na korytarz odgradzony z drugiej strony wysoką siatką od głębokiej studni klatki schodowej, biegnącej w górę przez całą wysokość budynku. Z tego, co Bruno zdołał dostrzec, nie było żadnych strażników na widoku, w każdym razie na czwartym piętrze. Podeszedł do siatki, spojrzał w górę, a potem piętnaście metrów w dół na betonową podłogę. Trudno było stwierdzić z całą pewnością, ale wyglądało na to, że nikt nie patroluje budynku, nie było też nic słychać. A strażnicy więzienni, zwłaszcza wojskowi, nie wyróżniają się zbytnią lekkością kroków. Parę metrów w lewo, zza oszklonych drzwi dobiegało światło. Bruno skradł się ku nim na palcach i zajrzał do środka. Siedziało tam przy stoliku dwóch, i tylko dwóch strażników. Najwyraźniej nie spodziewali się wizyty nikogo z przełożonych ani żadnej inspekcji, gdyż stała przed nimi butelka wódki i dwie szklanki. Oczywiście grali w nieodłączne karty.

Bruno pchnął drzwi.

Obaj mężczyźni zwrócili twarz w jego stronę i znaleźli się oko w oko z zimną lufą automatu. - Wstać.

Posłuchali niezwłocznie.

- Ręce na kark. Zamknąć oczy. Mocno.

I tym razem się nie ociągali. Bruno wyjął długopis gazowy, nacisnął dwa razy i cicho gwizdnął na towarzyszy.

Kiedy wzięli strażników, Bruno przeglądał rzędy ponumerowanych kluczy wiszących na ścianie. Na szóstym piętrze Bruno wziął klucz numer 613 i otworzył drzwi celi. Jego dwaj bracia, Vladimir i Yoffe, popatrzyli na niego nie wierząc własnym oczom, a potem podbiegli i uściskali go bez słowa. Bruno uśmiechając się, odsunął ich na bok, wyjął następne klucze i otworzył kolejno cele 614, 615 i 616. Stojąc przed celą 616 spojrzał z gorzkim uśmiechem na swoich braci oraz towarzyszy i Van Diemena, którzy tymczasem nadeszli.

- Miły gest, żeby zamknąć wszystkich Wildermannów razem, nie uważacie?

Troje drzwi otwarło się niemal jednocześnie i trzy postacie wysunęły się na korytarz, dwie z nich bardzo niepewnym krokiem. Ci dwoje, którzy z trudem chodzili, byli starzy, przygarbieni i siwi, jedno z nich było kiedyś mężczyzną, a drugie kobietą, ich pokryte więzienną bladością twarze nosiły piętno cierpienia, bólu i wycieńczenia. Trzecia postać należała do młodego mężczyzny, który był młody już tylko wiekiem.

Stara kobieta spojrzała na Bruna zamglonym, przygasłym wzrokiem.

- Bruno - powiedziała.

- Tak, matko...

- Wiedziała, że kiedyś się zjawisz.

Objął ramieniem jej chude plecy.

- Przepraszam, że to tak długo trwało.

- Jaka wzruszająca scena - powiedział doktor Harper. - Bardzo, bardzo wzruszająca.

Bruno cofnął rękę i odwrócił się bez pośpiechu. Doktor Harper, trzymając przed sobą Marię w charakterze tarczy, celował w niego pistoletem z tłumikiem. Obok, uśmiechając się drapieźnie, stał podobnie uzbrojony pułkownik Siergiejew. Za nimi wznosiła się potężna postać Angela, którego ulubioną bronią była śmiertelnie groźna pałka wielkości kija baseballowego.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy? - ciągnął doktor Harper. - To znaczy, nie mieliście chyba zamiaru nigdzie wychodzić?

- Owszem, mieliśmy zamiar.

- Rzuć ten automat - rozkazał Siergiejew Brunowi.

Bruno schylił się, położył broń na podłodze i prostując się błyskawicznym ruchem pochwyił Van Diemena, stawiając go przed sobą. Drugą ręką sięgnął do kieszeni na piersi po czerwony długopis, wcisnął przycisk i ponad ramieniem Van Diemena wycelował w twarz Harpera. Na ten widok twarz doktora ściągnęła się ze strachu, a jego palec zacisnął się na spuście. Siergiejew, nie uśmiechając się już, syknął z wściekłością:

- Rzuć to! Dostanę cię z boku.

Była to trafna obserwacja, ale na swoje nieszczęście Siergiejew mówiąc to, przeniósł wzrok na Bruna, wszystkiego na dwie sekundy, niemniej dla człowieka o szybkości i zręczności kobry jakim był Manuelo, dwie sekundy to śmiesznie długi przeciąg czasu: Siergiejew zginął, nawet tego nie poczuwszy, z nożem wbitym po rękojeść w szyję. W ułamek sekundy później zarówno Van Diemen jak i Harper leżeli na podłodze, Van Diemen z kulą w piersi przeznaczoną dla Bruna, Harper ze strzałką wbitą w policzek. Angelo, z twarzą wykrzywioną niepohamowaną wściekłością, wydał z gardła zwierzęcy pomruk i rzucił się naprzód wymachując ogromną pałką. Kan Dahn, poruszając się jeszcze szybciej i z niezwykłą zwinnością jak na mężczyznę o jego posturze, uchylił się przed ciosem, wyrwał pałkę z rąk Angela i odrzucił ją z pogardą na bok. Walka wręcz, która nastąpiła, była równie tytaniczna co krótka, a chrzęst łamanego karku Angela przypominał trzask suchej gałęzi pod siekierą drwala.

Bruno objął ramieniem dygoczącą jak w febrze dziewczynę, a drugim otoczył oszołomioną, przerażoną i nic nierozumiejącą starą kobietę.

- Koniec, już po wszystkim - powiedział. - Jesteście teraz bezpieczni. Powinniśmy stąd szybko wyjść. Chyba nie masz nic przeciwko temu, ojcze, prawda?

Ale stary człowiek patrzył na leżące ciała i nie odpowiedział.

Bruno mówił dalej, do nikogo w szczególności:

- Przykro mi, jeżeli chodzi o Van Diemena. Ale może lepiej się stało. I tak nigdzie nie było dla niego miejsca.

- Nigdzie? - spytał Kan Dahn.

- W jego świecie może tak, ale nie w moim. Był do głębi amoralny - nie niemoralny -

wymyślając tak piekielną broń. Całkowicie pozbawiony skrupułów, nieodpowiedzialny człowiek. Wiem, że to zabrzmi okrutnie, ale świat obejdzie się bez niego.

- Dlaczego doktor Harper po mnie przyszedł? - spytała Maria. - Mówił coś o nadajniku i taśmach, które mu zginęły z przedziału.

- Tak, zgadza się. Roebuck je ukradł. Nie można ufać tym Amerykanom.

- Toteż mi nie ufasz. I nic mi nie mówisz. - W jej głosie nie było pretensji, tylko brak zrozumienia. - Ale może mi powiesz, co będzie, kiedy doktor Harper odzyska przytomność.

- Umarli nie odzyskują przytomności. Przynajmniej nie na tej planecie.

- Umarli? - Nie potrafiła już wykrzesać z siebie ani śladu emocji.

- Te strzałki były nasycone śmiertelną trucizną. Jakaś rafinowaną odmianą kurary, jak sądzę. Chcieli, żebym zabił ich własnych ludzi. Na szczęście byłem zmuszony posłużyć się tym w obronie przed psem. Teraz już martwym psem.

- Chcieli, żebyś zabił ich własnych ludzi?

- Wyglądałoby to dla mnie bardzo niewesoło, i dla Ameryki też, gdybym zabił któregoś z tutejszych strażników i został złapany na gorącym uczynku. Tak, byli gotowi poświęcić własnych ludzi. Ludzkie tacy jak Harper i Siergiejew nie mają serca ani duszy. Zastrzeliliby własnych rodziców, gdyby miało to posłużyć ich osobistym korzyściom politycznym. Nawiasem mówiąc, było postanowione, że i ty masz umrzeć. Zostałem, naturalnie, poinstruowany, żeby nie strzelać strzałkami do Van Diemena, gdyż ma rzekomo słabe serce. Cóż, teraz rzeczywiście jego serce miewa się nie najlepiej. Harper wpakował mu w sam środek kulę. - Spojrzał na Marię. - Wiesz, jak się obsługuje nadajnik, który Roebuck ma tu w torbie?

Przytaknęła.

- Dobrze, wyślij więc sygnał wywoławczy. - Zwrócił się do Kana Dahna, Roebucka i Manuela: - Sprowadźcie moich rodziców po schodach powoli, dobrze? Nie mogą iść szybko. Poczekam na dole.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał Kan Dahn podejrzliwie.

- Brama jest wyposażona w blokadę zegarową, więc ktoś musiał ich wpuścić. Ten ktoś jest tam nadal lub gdzieś w pobliżu. Nikt was dotąd nie widział i chcę, żeby tak zostało. - Podniósł z podłogi automat. - Mam nadzieję, że nie będę musiał go użyć.

Kiedy w pięć minut później spotkali się na parterze, Bruno zrobił już, co było do zrobienia. Kan Dahn obejrzał dwóch związanych, zakneblowanych i chwilowo nieprzytomnych strażników z niejaką satysfakcją.

- Z moich obliczeń wynika, że związaliśmy dzisiaj trzynaście osób. Dla niektórych to z pewnością nieszczęśliwa liczba. No więc teraz wzlecisz w niebo i do widzenia.

- Tak jest. - Bruno zwrócił się do Marii: - Czy nawiązałaś łączność?

Spojrzała na zegarek.

- Już wystartował. Spotkanie za szesnaście minut.

- Dobrze. - Popatrzył z uśmiechem na Kana Dahna, Manuela, Roebucka, Vladimira i Yoffe'ego. - My weźmiemy ciężarówkę, a wasza piątka niech dyskretnie wróci do Pałacu Zimowego. Au revoir i wielkie dzięki. Zobaczymy się na Florydzie. Życzę przyjemnego wieczoru w cyrku.

Bruno pomógł rodzicom i najmłodszemu bratu wejść od tyłu do ciężarówki, sam usiadł z przodu z Marią i ruszył na spotkanie z helikopterem. Zatrzymał samochód jakieś trzydzieści metrów za drewnianym mostem nad wąską, rwącą rzeką. Maria spojrzała na drzewa rosnące gęsto po obu stronach drogi.

- Czy tu ma wylądować?

- Za zakrętem. Na polanie. Ale najpierw muszę jeszcze coś zrobić.

- Naturalnie. - Jej głos był zrezygnowany. - A można spytać co?

- Muszę wysadzić most w powietrze.

- Rozumiem, musisz wysadzić most w powietrze. - Nie okazała zdziwienia, doszła już do takiego stanu, że nie mrugnęła okiem, gdyby oznajmił, że ma zamiar zrównać z ziemią Pałac Zimowy.

- Dlaczego?

Wziął ładunki amatu i wysiadł z ciężarówki, a Maria za nim. Idąc w stronę mostu powiedział:

- Czy nie przyszło ci do głowy, że kiedy rozlegnie się warkot helikoptera, a słyhać go z dużej odległości, milicja i wojsko wylegną z uli jak rozwścieczone pszczoły? Nie chcę, żeby nas dopadły.

Maria była zdruzgotana.

- Zdaje się, że jest bardzo wiele rzeczy, które nie przychodzą mi do głowy. Objął ją ramieniem i pozostawił to bez odpowiedzi. Razem weszli na środek mostu, gdzie Bruno umieścił ładunki pomiędzy dwiema podporami, a potem wyprostował się i przyjrzał im uważnie.

- Czy jesteś ekspertem w każdej dziedzinie? - zapytała Maria.

- Nie trzeba być ekspertem, żeby wysadzić drewniany most. - Wyjął z kieszeni kombinerki. - Trzeba tylko mieć podobny przyrząd, żeby zgnieść ampułkę zapalnika chemicznego, i oczywiście dość oleju w głowie, żeby natychmiast się oddalić.

Wciąż stał wpatrując się w most, więc wreszcie zapytała:

- Czemu nie zgniatasz zapalników.

- Z dwóch powodów. Po pierwsze muszę to zrobić tylko z jednym, resztę uruchomi wybuch pierwszego ładunku. Po drugie, jeśli wysadzę most w tej chwili, wściekle pszczoły przylecą tu natychmiast i jeszcze znajdą sposób, żeby przekroczyć rzekę albo przejechać jakimś pobliskim mostem. Poczekamy, aż usłyszymy helikopter, wysadzimy most, pojedziemy na polanę i reflektorami ciężarówki oświetlimy teren lądowania.

- Słyszę już warkot helikoptera - powiedziała Maria.

Skinął głową, pochylił się, zgniótł zapalnik, wziął ją za rękę i zbiegli z mostu. Dwadzieścia metrów dalej odwrócili się właśnie w momencie, kiedy nastąpił wybuch. Huk był zupełnie zadowalający, podobnie jak rezultat. Środek mostu, którego konstrukcja i tak była krucha, po prostu rozpadł się jak domek z kart i spadł do rzeki. Przesiadka na helikopter i przelot na statek przebiegły bez przeszkód; pilot prowadził podrygującą maszynę nisko nad ziemią, by nie dostać się w zasięg radaru.

Gdy już znaleźli się na okręcie, Bruno zaczął się tłumaczyć przed rozszłoszczoną Marią.

- Wiem, że cię oszukiwałem i bardzo przepraszam, ale nie chciałem, żebyś zginęła. Domyślałem się od początku, że większość naszych rozmów jest nagrywana. Musiałem przekonać Harpera, że włamanie nastąpi we wtorek. Był przygotowany, żeby złapać mnie tej nocy na gorącym uczynku.

- A Kan Dahn, Roebuck i Manuelo?

- Byli w tym od samego początku.

- Ty wstrętny, przebiegły... Ale co właściwie sprawiło, że zacząłeś podejrzewać Harpera?

- Moja słowiańska krew. Obrzydliwa, podejrzliwa natura, jaką mamy my, Słowianie. Jednym z niewielu miejsc w cyrku, jeszcze w Stanach, które nie miało podsłuchu, było biuro. Elektroniczny wykrywacz, który Harper przyniósł, miał w jego zamyśle rzucić podejrzenie na cały cyrk. Jeśli pośród nas nie było wtyczki, to musiał to być Harper. Tylko czterech ludzi było wtajemniczonych w sprawę: admirał, Pilgrim, Fawcett i Harper. Admirał jest poza podejrzeniem, Fawcett i Pilgrim zginęli. A więc Harper. Ten ochmistrz na statku, Carter, miał dbać nie o to, żeby moja kabina nie była na podsłuchu, lecz właśnie żeby była. Tak samo

zresztą jak twoja.

- Nie masz na to żadnych dowodów.

- Czyżby? Korespondował z Gdynią i miał tysiąc pięćset dolarów w swojej kajucie. W nowych banknotach. Mam numery serii.

- Tamtej nocy spotkał go na pokładzie przykry incydent...

- To Kan Dahn był tym incydem. Potem Harper powiedział, że da mi wytrych, który otworzy każdy sejf. Musiał mnie uważać za kompletnego głupca. Potrzeba by setki wytrychów, żeby móc otworzyć każdy sejf bez względu na typ zamka. Mogło to oznaczać tylko jedno: miał dostęp do prawdziwych kluczy Van Diemena. I ciągle mnie pytał, w jaki sposób mam zamiar dostać się do Łubianu. Powtarzałem, że jeszcze zobaczę. W końcu przekazałem mu swoje plany - stek kłamstw - zdradzając je tobie w twojej kabinie. Jak może pamiętać, to Harper zaproponował, abyśmy się spotkali właśnie tam. No i oczywiście, tobie też nie ufałem.

- No wiesz!

- Nie chodzi o to, żebym miał coś specjalnie przeciwko tobie, po prostu nie ufałem nikomu. Przekonałem się, że jesteś czysta dopiero, kiedy powiedziałaś, że to Harper osobiście wyznaczył cię do tego zadania. Gdybyś była w spisku, twierdziłabyś, że to admirał.

- Teraz ja tobie już nie będę ufać!

- I niby dlaczego byliśmy wszędzie śledzeni przez służbę bezpieczeństwa? Ktoś musiał dawać im cynk. Kiedy się przekonałem, że to nie ty, nikt inny nie pozostawał.

- Czy dalej spodziewasz się ze mną ożenić?

- Będę musiał. Dla twojego dobra. To znaczy, kiedy już odejdziesz z CIA. Nie mam nic przeciwko wyzwoleniu kobiet, ale sądzę, że to zajęcie nie jest dla ciebie. Wiesz, dlaczego Harper cię wybrał? Bo uważał, że ty przysporzysz mu najmniej kłopotów. I miał rację. Mój Boże, nigdy nawet nie odgadłaś, w jaki sposób Harper wciągnął Fawcetta do klatki z tygrysami, sam nie doznając żadnego uszczerbku.

- Cóż, skoro jesteś taki mądry...

- Uśpił tygrysy strzałkami z narkotykiem.

- Oczywiście. Chyba rzeczywiście powinnam się wycofać. Ty jesteś z tych, co nie robią błędów, prawda?

- Owszem, zrobiłem błąd. I to poważny. Taki, który mógł kosztować życie wielu ludzi. Uwierzyłem, że czerwony długopis na strzałki jest tym, którego użył na tygrysy. Lecz nie był. Miał śmiertelny ładunek. Gdyby nie ten doberman... No cóż, może to i słuszne, że Harper zginął z własnej ręki, by tak rzec. Złapał się we własne sidła, czyli inaczej mówiąc, kto mieczem wojuje od miecza ginie.

- Jeszcze jednej rzeczy, oprócz wielu innych, nie rozumiem. Tej kwestii z uprowadzeniem Van Diemena. Z pewnością w CIA musieli przewidzieć, że zdoła on odtworzyć swoją pracę. - Przewidzieli. W ich zamyśle miałem zabić go strzałkami z czerwonego długopisu. A gdybym tego nie zrobił, miał się tym zająć we wtorek Harper, który prawdopodobnie miał całe kieszenie takich długopisów. Harper by się z tego wywinął, był równie przebiegły jak inteligentny, i nie byłoby nikogo, żeby świadczyć przeciwko niemu. Ja bym już nie żył. Spojrzała na niego i zadrżała. Uśmiechnął się.

- Już po wszystkim. Harper opowiedział mi bajeczkę o słabym sercu Van Diemena i nalegał, żebym użył przeciwko niemu czarnego długopisu z gazem. Nie było potrzeby użyć żadnego z nich. Życzeniem Harpera, i oczywiście jego mocodawców, było utrzymanie Van Diemena przy życiu. Jak powiedziałem, Harper zginął z własnej ręki, a Van Diemen z ręki Harpera. Harper jest całkowicie odpowiedzialny za śmierć swoją i profesora.

- Ale dlaczego, dlaczego to robił?

- Kto to może wiedzieć? Chyba nigdy się tego nie dowiemy. Zaprzysięgły wróg Ameryki? Milion dolarów w gotówce? Motywacje podwójnego agenta są trudne do

zrozumienia. Ale teraz to już nie ma znaczenia. Przy okazji przepraszam, że tak naskoczyłem na ciebie tamtego wieczoru w Nowym Jorku; nie wiedziałem wtedy, czy moja rodzina jeszcze w ogóle żyje. Rozumiesz oczywiście, czemu Harper wysłał nas wtedy do restauracji: chciał w tym czasie założyć podsłuch w mojej kabinie. Co mi przypomina: muszę wysłać telegram, żeby aresztowano Cartera. I Morleya, rzekomego przyjaciela Harpera, który założył podsłuch w moim przedziale. A teraz chciałbym zadać ci pewne delikatne pytanie.

- Tak?

- Czy mogę iść do toalety?

Gdy się tam znalazł, wyjął z kieszeni pracę Van Diemena, wziętą z jego gabinetu. Nawet na nią nie spojrział, tylko podarł na drobne kawałki, wrzucił do klozetu i spuścił wodę.

Kapitan Kodes zapukał do drzwi biura cyrku i wszedł nie czekając na odpowiedź. Wrinfield spojrział na niego z lekkim zaskoczeniem.

- Szukam pułkownika Siergiejewa, panie Wrinfield. Widział go pan?

- Dopiero przed chwilą przyszedłem. Jeśli jest na widowni, to pewno zajął swoje stałe miejsce.

Kodes kiwnął głową i pospieszył do hali widowiskowej. Nocne przedstawienie było w pełnym toku i jak zwykle rozgrywało się przy szczelnie wypełnionej sali. Kodes przedarł się do sektora naprzeciwko areny, ale nie znalazł tam Siergiejewa. Przez moment stał niezdecydowany, a potem jego wzrok, w sposób nieunikniony, instynktownie podążył śladem osiemnastu tysięcy par oczu na widowni.

Przez długą chwilę Kodes stał nieruchomo, jak skamieniały, nie chcąc przyjąć do wiadomości tego, co widzi. Ale wzrok go nie mylił. To, na co patrzył, było niemożliwe, a jednak rozgrywało się na jego oczach: dwa Orły Ciemnością wykonywały swój zwykły, jeżący włosy na głowie, numer na trapezach. Kodes odwrócił się i wybiegł. W drzwiach wejściowych minął się z Kanem Dahnem, który uprzejmie go pozdrowił, lecz należy wątpić, czy Kodes go zauważył. Wpadł jak burza do biura Wrinfielda, tym razem nie zadając sobie nawet trudu pukania.

- Orły Ciemności! Orły Ciemności! Skąd się oni tu do diaska wzięli?

Wrinfield popatrzył na niego z całym spokojem.

- Porywacze uwolnili ich. Zawiadomiliśmy milicję. Nic pan nie wiedział?

- Nie, do wszystkich diabłów, nic nie wiedziałem! - ryknął Kodes, po czym wybiegł z biura i pognął do samochodu.

Poszarzały na twarzy i osłupiały Kodes stał na szóstym piętrze budynku więziennego. Szok, jaki przeżył, znajdując zakneblowanych i związanych strażników przy bramie i w wartowni, był niczym w porównaniu z głębokim wstrząsem na widok trzech leżących przed nim ciał: Siergiejewa, Van Diemena i Angela.

Wiedziony nieomylnym instynktem Kodes udał się do zakładu pogrzebowego. Ledwo zauważył, że zarówno w biurze od frontu, jak i w kostnicy z tyłu pali się światło. Podeszedł prosto do trumny, którą tak niedawno na krótko okupował Bruno, i uchylił wieko. Doktor Harper, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, wyglądał godnie i spokojnie. Jego dłonie trzymały duży, czarno obramowany artykuł wycięty z gazety, obwieszczający o śmierci Bruna.

W swoim waszyngtońskim gabinecie admirał odchylił się w fotelu patrząc z niedowierzaniem na Bruna i Marię.

- Dobry Boże! Co za garnitur!

- Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby. - Bruno spojrział na swoje ubranie bez wielkiego entuzjazmu. - Dostałem to od pewnego faceta w Krau.

- Naprawdę? W każdym razie witajcie w kraju, Bruno i pani, panno Hopkins.

- Pani Wildermann - poprawił go Bruno.

- Co to do diabła ma znaczyć?

- Święty związek małżeński. Dostaliśmy specjalne pozwolenie dla par, którym się spieszy. A nam się spieszyło.

Admirał walczył z apopleksją.

- Wiem w ogólnych zarysach, co zaszło w ostatnich dniach. Chciałbym teraz poznać szczegóły.

Bruno przekazał mu szczegóły, a kiedy skończył, admirał powiedział:

- Doskonale. No cóż, zajęło nam to dużo czasu zanim zdołaliśmy połączyć jedno z drugim. Van Diemena i twoją rodzinę.

- To prawda.

Maria patrzyła to na jednego, to na drugiego ze zdumieniem.

- A teraz daj mi plany - powiedział admirał z ożywieniem.

- Zniszczyłem je.

- To oczywiście. Ale twoja pamięć je przechowała.

- Moja pamięć uległa całkowitej destrukcji. Amnezja.

Admirał pochylił się nad biurkiem, oczy zwęziły mu się, a ręce zacisnęły na blacie.

- Powtórz to.

- Zniszczyłem papiery nie zaglądając, co w nich jest.

- Zniszczyłeś papiery nie zaglądając, co w nich jest. - Zostało to wypowiedziane w formie twierdzącej, nie pytającej.

Głos admirała był bardzo spokojny.

- Dlaczego?

- A co dobrego, pana zdaniem, mogło z tego wyniknąć? Następna zimna wojna?

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Mówiłem już. Bo nienawidzę wojny.

Przez dłuższy czas admirał mierzył go zimnym wzrokiem, w końcu odtajał i zaskoczył ich głośnym wybuchem śmiechu.

- Miałem szczerą chęć wylać cię z pracy. - Westchnął, nadal się uśmiechając. - Ale zapewne masz rację, ogólnie rzecz biorąc.

- Wylać go? - spytała Maria, nic nie rozumiejąc.

- To ty nic nie wiesz? Od pięciu lat Bruno jest jednym z moich najlepszych i najbardziej zaufanych agentów.